



# *Elizabeth Gage*



# GRZECH

Tytuł oryginału: *Confession*

# ***PROLOG***

## *Prolog*

Wszystko zasypał śnieg. Zaspy sięgały dwóch, trzech metrów, zgarnięte na pobocza ulic dorównywały wysokością znakom drogowym.

Burza śnieżna, która przybrała na sile w sobotę po południu, a osiągnęła swój szczyt wieczorem, sparaliżowała ruch w całej okolicy. Jedynie pługi śnieżne i pojazdy na płożach mogły się poruszać po zasypanych ulicach. Drogi były zamknięte dla ruchu. Szczęściem nie wyłączono elektryczności, ale wszelka normalna aktywność i tak zamarła. Jedynie kilka osób z miasteczka wybrało się na raketach śnieżnych na wzgórze nad jeziorem. Reszta siedziała w domach.

W niedzielę opady zmniejszyły się na tyle, że służby miejskie mogły oczyścić ulice i dziś ludzie bez przeszkód dotarli do pracy.

Mała została tego dnia w domu pod opieką Pam, gdyż matka miała spotkanie w sprawie pracy. Pam oglądała w domu telewizję, a dziewczynka lepiła na dworze bałwana, kiedy w ogródku pojawił się nieznajomy.

– Cześć – zwrócił się do dziewczynki. – Jak masz na imię?

– Natalie.

– I co robisz?

– Bałwana – odparła dziewczynka z uśmiechem. Nieznajomy cofnął się o krok, założył ręce na piersi.

– To jeszcze dużo roboty przed tobą – zauważył. Kula śnieżna, którą mała ulepiła, miała może trzydzieści centymetrów. Dziewczynka milczała.

– Nie ma ci kto pomóc? – zapytał mężczyzna.

– Pam – odparła – ale ona ogląda telewizję. Program skończy się o drugiej.

– No – powiedział mężczyzna, spoglądając w stronę domu – to ja ci pomogę.

Przykucnął, potoczył kulę szybko po śniegu. Śnieg lepił się dobrze, bo temperatura podniosła się w ciągu nocy. Po chwili kula miała średnicę metra.

– Gotowe – powiedział. – Dobry początek, prawda?

Dziewczynka uniosła głowę, skrzyżowała ramiona przybierając dorosłą pozę.

– Chyba.

– Teraz ulepimy następną kulę – powiedział mężczyzna, grzejąc pod pachami zmarznięte dłonie. – Będzie to środkowa część bałwana. Wiesz, jak się nazywa ta część ciała człowieka?

Mała pokręciła głową.

– A ty wiesz?

– Wiem. Nazywa się tors.

– Tors! Jakie głupie słowo!

– Może i głupie – odrzekł z uśmiechem. – To ulepimy teraz tors, dobrze?

Kłęczeli oboje w śniegu, kiedy z domu wyszła Pam. Była to tęgawa czternastolatka o blond włosach i młodzieńczym trądziku, który wprawiał ją w kompleksy. Na ramionach miała narzuconą w pośpiechu puchową kurtkę.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała.

Mężczyzna się podniósł, pozostawiając dziewczynkę klęczącą w śniegu. Na twarzy Pam malowało się wahanie między podejrzliwością a dziewczęcym zainteresowaniem. Nieznajomy był bardzo przystojny.

– Mam nadzieję – powiedział. – Szukam pewnego domu, ale nie znam zupełnie tego miasta i chyba zgubiłem drogę.

– Jakiego domu? – zapytała Pam.

Lake Geneva było miasteczkiem, w którym mieszkała całe życie. Znała każdą rodzinę, każdy dom, może z wyjątkiem luksusowych willi, należących do ludzi, którzy –przyjeżdżali tu na sezon letni, i kondominiów, które pobudowano koło hotelu uzdrowiskowego.

– Oto adres.

Wyjął z kieszeni kartkę i podał dziewczynie. Uśmiechnął się, a ona nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu.

– Oczywiście, wiem, gdzie to jest – powiedziała. – Po drugiej stronie jeziora. Dobrze, że pan mnie zapytał, bo nie znając drogi, trudno tam trafić.

Spojrzała na Natalie, która ciągnęła nieznajomego za połę płaszcza.

– Narysuję panu plan – oznajmiła i zawróciła w stronę domu. – Zaraz wracam.

– Poczekamy tu z Natalie – odparł. – Musimy ulepić, tors, prawda, Natalie?

Mała prychnęła śmiechem na to zabawne słowo.

Pam się zawahała, czy powinna jej pozwolić zostać z nieznajomym na dworze. W końcu dziewczynka jest pod jej opieką. Zauważyła teraz, że nieznajomy nie ma rękawiczek i jego dłonie są czerwone z zimna.

– Ależ pan potrzebuje do tego rękawiczek – powiedziała. – I te pańskie spodnie!

Spodnie mężczyzny były o wiele za dobre na taką pogodę. Butów nie mogła dojrzeć, bo tonęły w śniegu. Nie, jego ubiór jest zupełnie nie na miejscu. Takiego eleganckiego płaszcza nie można dostać w żadnym tutejszym sklepie.

Pam weszła do domu, wyjęła z szafki parę męskich rękawic i rzuciła je z ganku w stronę nieznajomego. Wróciła do kuchni, znalazła papier i ołówek, narysowała mały plan. Kiedy wyszła ponownie na dwór, nieznajomy umieszczał drugą śnieżną kulę na pierwszej, a Natalie przyglądała się mu z widocznym zachwytem. Łatwo było się domyślić, że dziewczynce brakuje kontaktu z mężczyzną, odkąd ojciec opuścił dom.

– Musi pan wrócić do miasta – jęła tłumaczyć Pam z planem w ręku. – Niech pan jedzie Center Street i skręci w lewo w Elm Street. W ten sposób okrąży pan jezioro.

Zastanowiła się przez chwilę, czyby z nim nie pojechać jako przewodniczka, ale szybko odrzuciła tę myśl. Nie może przecież wsiąść z obcym do samochodu. No, i musi pilnować Natalie.

– Za jakieś trzy kilometry zobaczy pan przydrożną restauracyjkę, nazywa się „Pod Szczytem Sosny” – podjęła. – Skręci pan w prawo przy następnym znaku stop. Jest tam małe osiedle, ze cztery ulice. Niech pan jedzie cały czas pod górę, na sam szczyt, i tam skręci w pierwszą ulicę w prawo.

Nieznajomy uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Nie za szybko mówiłam? – spytała.

– Nie – odparł. – Pomogę tylko Natalie ulepić bałwanowi głowę i ruszam w drogę.

Szybko pomógł dziewczynce ulepić trzecią kulę, którą umieścił na dwóch pozostałych. Bałwan był wcale wysoki. Nieznajomy pochylił się, żeby ucisnąć małej dłoń.

– Nie zapomnij o ładnym kapeluszu dla twojego bałwana – powiedział.

– No, i o fajce. Twój tatuś ma gdzieś w domu fajkę?

Pam posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Natalie mieszka z mamusią – wyjaśniła. – Ale poradzimy sobie, prawda, Natalie?

Mała kiwnęła głową. Mężczyzna otrząsnął śnieg ze spodni.

– Ależ pan przemókł – zauważyła Pam. Miała ochotę zaprosić go do środka. Gdyby to był jej dom, wrzuciłaby jego spodnie do suszarki, zrobiła mu kawę. – Pan tu z wizytą? – spytała.

– To się okaże – odparł. – Może się jeszcze spotkamy. – Wydawał się ubawiony jej zainteresowaniem. –No, czas na mnie – zakończył, zwracając rękawice.

– Dziękuję, że pan pomógł Natalie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dawno nie lepiłem bałwana.

Dziewczyna patrzyła, jak się oddala odgarniętą śniegu dróżką, a potem wsiada do samochodu. Na dachu i masce auta lśniły krople wody, nie było siadu śniegu. Musiał przyjechać z daleka, pomyślała. W miasteczku wszystkie samochody miały jeszcze na dachach śnieżne czapy.

Auto ruszyło bezszelestnie, brodząc kołami w świeżo spadłym śniegu. Pam i Natalie pomachały nieznanemu, a on odpowiedział im z samochodu, który nabierał szybkości, zjeżdżając ze wzgórza. Pam rzuciła okiem na przeciwległy brzeg jeziora. Przez prześwit między drzewami mogła stąd dojrzeć osiedle, którego szukał nieznanomy. Uświadomiła sobie, że zapomniała go zapytać o nazwisko ludzi, do których jedzie. To nic, pocieszyła się zaraz. Dowie się prędzej czy później. W końcu to taka mała miejscowość.

Obróciła się do Natalie.

– Chodź, poszukamy szalika i kapelusza dla twojego bałwana.

Trzymając się planu nakreślonego przez Pam, mężczyzna przejechał przez centrum pełnego świątecznych dekoracji miasteczka. Miasteczko było

spokojne, ruch uliczny niewielki. Przyjezdni zatrzymywali się w hotelu za miastem, w śródmieściu widziało się jedynie półciężarówki i samochody miejscowych.

Minął wspomnianą przez Pam restaurację, nieczynną do wiosny, jak informowała wywieszka, i skierował się w górę ulicy. Była to dzielnica starych drewnianych domków, na niektórych podwórkach stały przyczepy z żaglówkami. Pod koniec ulicy zaczynały się jednak parcele z nowymi willami i widniały puste place. Znalazł dom, którego szukał, i przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, zatrzymał samochód. Wysiadając, uświadomił sobie, że ma zgrabiałe ręce i stopy. Wsunął prawą dłoń pod płaszcz, żeby ją ogrzać. Z góry rozciągał się piękny widok na jezioro. Koło brzegu woda była zamarznięta i pokryta śniegiem, ale środek połyskiwał pięknie błękitem.

Stanąwszy przed domem, poczuł przelotny niepokój. Zawahał się, czy będzie w stanie to zrobić, więc czym prędzej powrócił do rozważań, które snuł przez cały czas jazdy tutaj. Po przeanalizowaniu wszystkiego od początku do końca – a umysł miał w tym świetnie wyćwiczony – utwierdził się w swoim postanowieniu. Wiedział, że podjął właściwą decyzję.

Na podjeździe dostrzegł ślady opon prowadzące w dół ulicy. Podeszedł wolno w stronę domu i zajrzał przez okno.

Zobaczył kominek i sfatygowaną kanapę, na której leżała kobieta. Chyba spała, bo na jej piersiach spoczywała otwarta książka. Podeszedł do drzwi i już miał sięgnąć do dzwonka, ale się zawahał. Spróbował przekręcić klamkę – drzwi nie były zamknięte. Nic dziwnego, to przecież spokojne miasteczko.



Wszedł do środka, szybko zamknął za sobą drzwi. Starał się nie robić hałasu, wiedział jednak, że może go zdradzić nagły przypływ lodowatego powietrza.

Niepotrzebnie się obawiał, kobieta ani drgnęła. Leżała przed dogasającym kominkiem, który ogrzewał równomiernie pokój, chociaż z bierwion pozostały już tylko żarzące się węgle. Na jej twarzy malował się spokój, sen uczynił ją jeszcze piękniejszą. Podeszedłszy bliżej, zauważył jednak, że brew ma zmarszczoną. Nękają ją widać złe sny.

W rękę ścisnął pistolet, lecz serce rwało mu się ku niej. Nie będzie to łatwe.

„Przyczyna i skutek – powtórzył w myśli. – Zbrodnia i kara”.

Pistolet mierzył w jej stronę. Pewnie, celnie, jak po sznurku. W palcach nie czuł już zimna. Chciał, żeby się przebudziła, ale wahał się przerwać ciszę.

Nie potrzebował. Otworzyła oczy, jak gdyby wyrwana ze snu samą jego obecnością. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Sama do tego doprowadziłaś – powiedział.

Zdawała się nie rozumieć. Była jeszcze na wpół uśpiona, pogrążona większą częścią świadomości we śnie, choć wiedziała, kto przed nią stoi.

Dłoń byłaby mu zadrżała, gdyby nie dodał mu siły jej wzrok, który zawisł na lufie.

„To ważne – pomyślał. – W końcu to ona do tego doprowadziła. Niech mi teraz pomoże”.

Pomogła. Uśmiechnęła się sennie, akceptująco.

I wtedy nacisnął spust.

# ***CZEŚĆ PIERWSZA***

# *Rozdział 1*

*Półtora roku wcześniej*

Pewnego upalnego lipcowego wieczoru Rebeka Lowell stała przed lustrem w sypialni swego nowojorskiego mieszkania na Upper East Side. Patrzyła w swoje odbicie.

Nie była to rzecz, która by jej sprawiała przyjemność – odbicie wymagało zbyt wielu retuszków. Musiała oczywiście poczynić korekty w twarzy, która patrzyła na nią z lustra, drobne zmiany, które sprawiają, że będzie mogła pokazać się ludziom. Ponadto musiała jednak przestroić swoje wewnętrzne ja, tak by po odejściu od lustra mogła żyć z własnym obrazem. To było o wiele trudniejsze.

Rebeka nigdy nie była uważana za atrakcyjną, nawet jako szczupła ruchliwa studentka, nim macierzyństwo zaokrągliło jej figurę i pogrubiło rysy. Nie żeby była brzydka. Miała ładnie wykrojony nos i policzki, jej twarz rozświetlały duże inteligentne oczy, melancholijne, niekiedy smutne. Krótkie włosy nosiły pierwsze ślady siwizny, tuszowanej przez fryzjerkę umiejętnym uczesaniem. Karnację miała bladą, wiadomo było, że pokryje się ona prędzej czy później zmarszczkami jak skóra jej matki, ale na razie wciąż jeszcze wyglądała świeżo.

Rebeka nosiła się z naturalną godnością, roztaczała aurę spokojnej dojrzałości. Promieniowało od niej ciepło kobiety, która żyje, czuje i tęskni, ale czegoś jej brakowało. Brakowało tego, co pewne kobiety czyni godnymi pożądaniami, inne pięknymi. Można było w jej oczach dopatrzeć się tych niewykorzystanych możliwości, jakiegoś nie sprawdzonego wyzwania. Nikt nie wiedział o tym tak dobrze, jak ona sama.

Odwróciła się od lustra. Dziesięć razy dziennie uciekała od swego spojrzenia, w którym dostrzegała prawdziwą siebie. „Nie jesteś tym, kim byś mogła być” – myślała nieodmiennie. Otrząsnęła się, wyprostowała, rzucając światu wyzwanie, przybierając pozę osoby pewnej siebie, osoby, na której polegają inni. Na moment sama prawie uwierzyła w tę mistyfikację.

– Rebeka, pomóż mi z tym.

Do sypialni wszedł rażnym krokiem jej mąż. W wieku pięćdziesięciu lat osiągnął wszystko, co było do osiągnięcia. Wysoki, opalony, sprężysty, wytrawny tenisista i turniejowy gracz w golfa, ze skroniami lekko przyprószonymi siwizną i oczami śmiejącymi się nieodmiennie na wszystkich fotografiach, Damon Lowell był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną w kręgu swoich znajomych i obiektem zazdrości przyjaciół.

Zdawał się uosobieniem siły i prestiżu, na których grał umiejętnie od dwudziestu lat. Był współnikiem w renomowanej firmie adwokackiej, członkiem wszystkich liczących się klubów i organizacji, istnym filarem społeczności, w której się obracał. Zrealizował wszystko, do czego drogę otwierał mu dyplom Uniwersytetu Harvarda, a nawet więcej. Jego pewność siebie przerażała czasami Rebeke, choć wobec niej zachowywał się zawsze z nienaganną kurtuazją. Przysuwał jej krzesło, przytrzymał drzwi, obejmował ją i przytulał w towarzystwie. Do jego stałego repertuaru należały rzucane mimochodem uwagi o jej poczuciu humoru i inteligencji, liczył się dla niego jednak nie tyle ich prawdziwy walor, co obraz ich małżeństwa, jaki kreowały na użytek znajomych.

Ojciec Damona, jak głosiła fama rodzinna, zachowywał się identycznie wobec swojej małżonki. Rebeka nie miała okazji przekonać się o tym osobiście, bo starszy pan Lowell leżał na łożu śmierci, kiedy go

poznała. Był nie tylko lekarzem, lecz także prawnikiem specjalizującym się w patentowaniu leków i nowych technik medycznych. Fotografie w albumach rodzinnych ukazywały niezwykle podobieństwo między ojcem a synem, zwłaszcza identyczny rozbrajający uśmiech. Im wyżej Damon się wspinał po szczeblach kariery, do której dostęp mu przetał ojciec, tym bardziej zatracił własną osobowość i wchodził w skórę rodzica. Zdumiewające, ale fakt ten tylko umacniał jego pozycję w oczach innych.

– Dziękuję, kochanie – powiedział, kiedy Rebeka kończyła wiązać mu krawat.

Miała tuż przed twarzą jego opaloną szyję, czuła świeży, krzepki zapach skóry. Widziała, jak jego oczy omiatają pokój. Damon pozostawał zawsze czujny, nie pozwalał sobie nigdy na chwilę luzu. Często się zastanawiała, jakie myśli się kryją za tymi rozbieganymi oczami. Dziś o tym nie myślała.

– Gotowe – powiedziała, wygładzając krawat. Damon się pochylił, musnął ustami jej policzek.

– Wyglądasz szalowo – pochwalił. – Ale pośpiesz się. Roy obędzie mnie ze skóry, jeśli znowu się spóźnimy.

Wybierali się na przyjęcie do Roya Mintera. Mieli być pozostali wspólnicy firmy – Bob Krieg, Evan Gaeth i inni – a także kilka osobistości oficjalnych. Firma Damona zajmowała się prawną stroną projektu Hightower, karty, na którą swoją karierę polityczną postawił burmistrz, a Damon został wybrany na rzecznika firmy do kontaktów z Ratuszem. Nie po raz pierwszy ich kancelaria odgrywała ważną rolę w sprawach miasta i stanu – gubernator, od czasu kiedy był jeszcze skromnym radnym miejskim, polegał na radach i wpływach Boba Kriega, kolegi, z którym dzielił na studiach pokój w akademiku –jednakże projekt Hightower był czymś

szczególnym. W grę wchodziły wyjątkowo duże pieniądze i sprawa zdążyła im już przysporzyć zarówno wrogów, jak przyjaciół.

Reprezentowanie firmy w tym kontrowersyjnym przedsięwzięciu stanowiło dla Damona nobilitację. Odkąd zaczął się zajmować Hightower, jego zdjęcia pojawiały się w prasie niemal co tydzień, a prestiżowy magazyn „New York” zamieścił nawet o nim artykuł w jednym z wiosennych numerów. Udział w projekcie mógł mu pewnego dnia przynieść stanowisko w rządzie federalnym. Projekt Hightower, jeśli zostanie doprowadzony do pomyślnego końca, zmieni oblicze centrum Nowego Jorku tak jak niegdyś centrum Rockefellera.

Oznaczało to, że Damon będzie w ustawicznych rozjazdach między Nowym Jorkiem, Albany i Waszyngtonem, ale niekoniecznie, że będzie rządził w domu.

– Czekam na ciebie – powiedział do żony, wychodząc.

W sekundę po jego wyjściu wpadła do pokoju ich córka, Dusty, zupełnie jak aktorka czekająca w kulisach, żeby zająć miejsce kolegi, który zszedł ze sceny.

– Mamo, pomogłabyś mi z tym?

Wybierała się właśnie na randkę z nowym chłopakiem, a do domu przyjechała, żeby wziąć strój, który zostawiła, przeprowadzając się do dzielnicy uniwersyteckiej. Ciemne spodnie i jedwabna bluzka nie były strojem zdecydowanie wizytowym, ale miały kosztowny wygląd. Rebeka kupiła je córce kilka miesięcy temu.

– Zobaczymy – powiedziała Rebeka, mrużąc oczy, żeby zapiąć złoty łańcuszek na szyi Dusty.

Dusty była zgrabną blondynką, o może tylko trochę zbyt grubych łydkach. Miała ładne ramiona i ręce, łatwo opalającą się skórę po ojcu,

piękne niepokojące oczy. Wszyscy uważali, że odziedziczyła je po Damonie, ale naprawdę przypominały swoim wyrazem oczy matki – były spokojne, trochę zalęknione, trochę nieobecne.

Dusty wyglądała na osobę, którą w istocie była – bogatą dziewczyną, przywykłą do luksusu, predysponowaną do osiągnięcia sukcesu i szczęścia. Zdawała się jednak czuć trochę nieswojo w takiej roli. I w tym też przypominała matkę.

– Muszę lecieć. Zapomniałam o korkach.

– Może cię podrzucić? – zaproponowała Rebeka.

– Nie, dzięki, jadę w odwrotnym kierunku. Rebeka nie po raz pierwszy stwierdziła, że Dusty unika ojca. Weszła, gdy zniknął z pola widzenia.

Nabrała zwyczaju omijania go szerokim łukiem, odkąd zaczęła dorastać, może wcześniej. Nie dlatego nawet, żeby go nie lubiła. Podziwiała go, chętnie się nim popisywała przed kolegami, lubiła, gdy jej mówiono, że odziedziczyła po nim urodę. Zarazem czuła jednak przed nim respekt, nie szukała nigdy dobrowolnie jego towarzystwa.

Damon, pochłonięty swoimi problemami, albo nie zauważał dystansu rosnącego między nim a córką, albo wolał o tym nie mówić. Rebeka też sprawy nie poruszała z żadnym z nich. Cieszyłaby się, gdyby się lepiej rozumieli, ale czuła, że nie może nic na to poradzić. Naraziłaby się tylko każdemu osobno albo obojgu razem.

Nowy chłopak jej córki, którego imienia Rebeka nie pamiętała, był najnowszym z długiej listy jej kolejnych adoratorów, Dusty mówiła o nim jednak ostatnio coraz częściej i coraz bardziej serio. Studiował prawo na Uniwersytecie Columbia, wcześniej zaś, podobnie jak Damon, kształcił się na Uniwersytecie Harvarda. Pochodził z dobrej rodziny. Jakże on się nazywa? Rebeka nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

– Jak wyglądam? – spytała Dusty, obracając się do matki.

„A jak może wyglądać dwudziestolatka z takimi oczami... ” – pomyślała Rebeka.

– Podejdź bliżej – powiedziała i zdjęła nitkę z jej jedwabnej bluzki.

Poczuła zapach lakieru do włosów.

– Znow rozdwajają ci się końcówki – zauważyła. –Może byś poszła do Sally? Zamówię ci wizytę.

Sally była fryzjerką Rebeki, prawdziwym skarbem. Z niezrozumiałych powodów Dusty nie chciała korzystać z jej usług i od dłuższego czasu chodziła do jakiejś fryzjerki niedaleko uniwersytetu. Rebeka uważała, że włosy Dusty proszą się o przerzedzenie, ale nie chciała robić z tego problemu. Dziewczyna tryskała młodością i wyglądałaby uroczo nawet w warkoczykach.

– Nie przejmuj się – rzuciła Dusty.

– Racja.

Nie miałyby sensu sprzeciwiać się córce. Nie teraz. Rebeka znalazła się w punkcie, kiedy wszystko zaczynało jej się wymykać z rąk. Jej matka oraz kilkoro przyjaciół było chorych, a nadzieja, że wkrótce wyzdrowieją, stawała się coraz bardziej wątpliwa. Dusty dorastała szybko, ich dawna bliskość poddawana była co rusz rozlicznym próbom. Rebeka chciała, by córka korzystała z jej wsparcia, starała się zarazem nie przytłaczać jej matczyną miłością. Dlatego nigdy nie krytykowała jej ubiorów, jej sposobu spędzania czasu, jej chłopców. Czasami tylko przybierała wobec wyborów Dusty pozę pobłażliwego humoru, starannie jednak kryła głęboką troskę o jej przyszłość.

Dostrzegłszy wzrok Dusty w lustrze, Rebeka stwierdziła, że dziewczyna promienieje.



– Mamo, chciałabym, żebyś poznała Toniego.

Toni, oczywiście! Toni Delafield. Ilekroć usłyszała jego imię, nazwisko nasuwało się samo. Dobre stare nazwisko. Przez swoich i Damona krewnych, Rebeka знаła kilka gałęzi rodziny Delafieldów.

– Naprawdę? – spytała ze śmiechem. – Już myślałam, że go przed nami ukrywasz.

– Nie, nie, on jest po prostu bardzo zajęty. Rebeka była ciekawa Toniego, ponieważ Dusty nie

śpieszyła się z zaproszeniem go do domu. Zachowywała się, jakby chciała zachować to na jakąś specjalną okazję. Nasuwało to Rebecce przypuszczenie, że traktuje sprawę poważnie. Zazwyczaj chętnie i często zapraszała do domu swoich chłopców. Jedynymi, których nigdy nie przyprowadziła, byli Brandon, chłopak z Baltimore, z którym chodziła w college'u, i Michael, którego poznała przez swoją przyjaciółkę, Susan. Sposób, w jaki o tych dwóch mówiła, kazał Rebecce zwracać na nich szczególną uwagę. Po zerwaniu z Brandonem, Dusty była przez dobry miesiąc wytracona z równowagi

– Bardzo chciałabym go poznać. Ojciec również.

Dusty zamilkła na chwilę. Przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

– Mamo, nie sądzisz, że mam za szeroką twarz?

Rebeka się uśmiechnęła.

– A co on o tym myśli?

– Ach, on mówi, że jestem wcieleniem doskonałości. Ale wiesz, jacy są mężczyźni.

Zaczerwieniła się lekko.

Słusznie czy nie, Rebeka uznała to za dowód, że Dusty żyje z Tonim. Odsunęła jednak od siebie tę myśl. Dawno postanowiła nie wtrącać się w

intymne życie córki, chyba że Dusty sama zacznie o tym mówić. Na szczęście Dusty nie kwapiła się ze zwierzeniami.

Nie były to łatwe czasy dla matek. Dziś seks nie jest tym samym co dziesięć lat temu. Teraz sypianie na prawo i lewo to nie kwestia moralności czy zajścia w ciążę, to sprawa bycia na fali. Na Dusty można było jednak polegać. Nigdy nie była szczególnie przedsiębiorcza ani samowolna, a z wiekiem zaczęła wykazywać wszelkie oznaki odziedziczonej po matce ostrożności. Zachowywała się rozsądnie, nie zrobiłaby nic, co by jej mogło skomplikować życie. Ani na polu seksu, ani na żadnym innym.

Rebeka przyjmowała to z mieszaniną żalu i ulgi. Żalu, że jej ładna i inteligentna córka nie zazna pewnie w życiu nic godniejszego uwagi niż egzystencja żony i matki w jakiejś podmiejskiej dzielnicy, tak jak ona i wszystkie jej znajome. Ulgi, że takie względnie spokojne bytowanie uchroni ją przed rozterkami, jakie są dziś udziałem wielu kobiet. Nie jest to epoka szaleństw, lecz za powściągliwość trzeba także płacić cenę.

Tak więc Rebeka nie zadawała pytań, a Dusty umiała to docenić. Matka i córka żyły ze sobą pogodnie i szczęśliwie, wiedziały o sobie, ile chciały, lubiły ze sobą przebywać.

I oto teraz Dusty miała przyprowadzić do domu młodego człowieka, którego najwidoczniej traktuje serio. Kto wie, czy nie szykują się zaręczyny? Dusty rozpoczyna ostatni rok studiów, może myśli o ślubie w czerwcu. Rebeka znów poczuła ukłucie ni to żalu, ni ulgi. Spojrzała na swoją uśmiechniętą córkę.

– Mówiłam właśnie ojcu, że najwyższy czas, żebyś nam przedstawiła ten twój klejnot bez skazy. Chciałabyś go przyprowadzić na obiad?

Dusty, co było do przewidzenia, nie połapała się, że jej matka zacytowała Tennessee Williamsa. Rebeka miała słabość do literatury,

pozostała jej ona od czasu studiów, może dlatego, że przypominało jej to młode lata. W jej wypowiedzi wkradały się czasami znane cytaty, ale ani Damon, ani Dusty, ani zresztą nikt inny, nie zauważał tego.

– Nie, wolałabym, żeby wpadł w przyszły weekend do Sands Point – powiedziała Dusty. – Jego rodzice mają domek w Kings Point, Toni mógłby wrócić potem do siebie. Mógłby przyjść popływać na naszej plaży, potem byśmy zjedli razem lunch...

– A co z ojcem? Nie będzie miał żalu?

– Wolałabym, żebyś poznała Toniego pierwsza. Tato jest trochę... No, wiesz, jak chłopcy się czują w jego obecności.

Rebeka posłała córce uśmiech.

– Dobrze. Powiedz mu, żeby się nie wbijał w garnitur – dodała. – W końcu to nie jest żadna specjalna okazja.

– Mamuś, kocham cię. – Dusty uścisnęła matkę. – Baw się dobrze wieczorem.

– Ty też, kochanie.

Damon zapowiedział, że pozostanie w mieście przez weekend, nie pozna więc Toniego. Później będzie się dopytywał, co Rebeka o nim myśli. Wykazywał zaborczą troskliwość, gdy chodziło o córkę, nalegał na poznawanie jej chłopców, chciał wyrobić sobie o nich zdanie. Miał Dusty za złe, że nigdy nie poznał ani Brandona, ani Michaela, wyrażał nawet wątpliwości, czy w ogóle istnieją.

Rebekę czekał więc ważny lunch, ważny dzień. Ze względu na Dusty należy jednak podejść do tego jakby nigdy nic.

Kiedy Dusty wyszła, Rebeka przejrzała się jeszcze raz w lustrze. Myślała o nadchodzącym wieczorze. Znała współników Damona i ich żony równie dobrze, jak najstarsze toalety w szafie. Może jednak obecność ludzi

polityki, głównych doradców burmistrza, doda wieczorowi trochę pieprzu. Powinna się interesująco zaprezentować. Damon będzie ją obserwował kątem oka.

– Rebeko, idziesz wreszcie?

Jego głos dobiegł ostro jak cięcie noża. Zależy mu, żeby się nie spóźnić. Czeka na niego zbyt wiele ważnych osobistości.

Po przyjęciu odwiezie ją do domu i wyjdzie ponownie, a ona spędzi samotnie kolejną noc. Gdy Damon wróci nad ranem, będzie udawała, że śpi. On zaś będzie pachniał świeżo wziętym prysznicem, spod tego zapachu będzie jednak przebijał inny zapach, zapach, który nauczyła się tolerować przez te wszystkie lata, bo wiedziała, że nic na to nie może poradzić. Zapach, który będzie mogła wdychać do woli, niewiele bowiem sypiała ostatnimi czasy.

Starając się uwolnić od tej myśli, nieopatrznie spojrzała jeszcze raz w lustro. Zobaczyła swoje oczy i odwróciła się.

## *Rozdział 2*

Przyjęcie było śmiertelnie nudne, jak się spodziewała. Zmuszona była porozmawiać z żonami kilku wspólników męża. Doreen Blackman, której już się nieco plątał język, pochwaliła jej fryzurę. Barbara Krieg nudziła ją przez dwadzieścia minut, porównując postępy uniwersyteckie swojej córki z postęпами Dusty. (Cindy Krieg, która rozpoczynała ostatni rok na Wellesley College, była popychana przez Barbarę do ustawicznego współzawodnictwa z Dusty, odkąd obie dziewczynki zdały do siódmej klasy. ) Caron Minter, najbardziej przysięgła snobka w towarzystwie, nawet się z Rebeką nie przywitała.

Mężczyźni oczywiście się nie fatygowali. Po długich latach znajomości z Damonem wiedzieli, że nie wymaga on, by zabawiali jego żonę.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Damon ją zdradza. Co gorsza, zarówno wspólnicy, jak ich małżonki doskonale wiedzieli, kto jest jego aktualną kochanką. To właśnie było dla Rebeki największą torturą i głównie dlatego czuła taki wstręt do firmowych przyjęć.

Kochanka Damona, lobbystka Alison Shore, pracowała dla jakiejś firmy tekstylnej. Damon poznał ją przed laty. Nie była skończoną pięknoscią, ale tryskała życiem, jak na lobbystkę przystało. Miała długie, trochę może zbyt czarne, ale zwracające uwagę włosy. Lubiła się ubierać w koktajlowe suknie o wąskich ramiączkach, uwydatniających jej kragłe ramiona, które ściągały spojrzenia w każdym salonie, podobnie jak jej wyzywający, zmysłowy śmiech.

Panna Shore (nigdy nie zamężna) nie była pierwszą kochanką Damona, który jednak trzymał jej się od dość dawna i według wszelkich danych – cóż za ironia! – pozostawał jej wierny. W każdym razie Rebeka nie wiedziała o żadnych innych jego kochankach. Dwa razy do roku Damon jeździł w interesach do Chicago, ale Rebeka wiedziała, że naprawdę spędza ten czas z Alison w jakimś kurorcie w Wisconsin.

Po tak długiej znajomości czują się pewnie jak stare małżeństwo, myślała Rebeka. I to właśnie stanowiło najdotkliwszą zadrę.

Kolejny wypad do Chicago był planowany na nadchodzący wrzesień, co czyniło to przyjęcie tym przykrzejszym dla Rebeki. Jeden ze współników Damona, Evan Gaeth, wręcz zapytał Damona o ten wyjazd w jej obecności.

– To jesienią wybierasz się znów do Chicago?

Damon uśmiechnął się, niespieszony.

– Kto wie, czy będę miał w tym roku czas. Ta cała historia z Hightower...

Wzruszył z rezygnacją ramionami, Evan zaś kiwnął głową i odpłynął, zerkając z ukosa na Rebeke.

Po przyjęciu Rebeka spędziła bezsenną noc. Czekanie na Damona przerastało tym razem jej siły. Kiedy wśliznął się w końcu nad ranem do łóżka, leżała wstrząsana dreszczem obok niego jeszcze pół godziny, po czym wstała. Zmęczenie po nieprzespanej nocy nie opuszczało jej przez resztę tygodnia. Spędziła czwartek i piątek, odpowiadając na listy i ustalając z dostawcami szczegóły przyjęcia, które Damon miał w przyszłym miesiącu wydać na cześć burmistrza. Rozmawiała też dwa razy z mieszkającą na Florydzie matką, która przeszła ostatnio operację.

Irene, matka Rebeki, podwójna wdowa, umierała na raka. „Umierała” nie było jednak chyba właściwym określeniem. Wykryto u niej nowotwór,

kiedy jeszcze żył jej rozwiedziony pierwszy mąż, Frank. Zdążyła od tej pory wyjść ponownie za mąż, pochować drugiego męża, Rogera, po czym „zeszła się” z niejakim Wesem, z którym odbywała liczne podróże, ilekroć siły jej na to pozwalały.

Irene była silną, nieugiętą kobietą. Choć lekarze uznał jej nowotwór za nieuleczalny, zdawała się nie przyjmować tego do wiadomości. Żyła ze swoją chorobą już piętnaście lat, nie zmieniając trybu życia. Od czasu swojej drugiej operacji zdążyła zbić majątek na florydzkim handlu nieruchomościami, podróżowała także częściej niż kiedykolwiek. Rebeka zmuszona była przyznać, że nawet rak nie jest w stanie pokonać starszej pani. Lekarze wydali na nią wyrok, znaczy, że choroba zrobiła już swoje i ona wygrywa tę walkę.

Wes, obecny przyjaciel Irene, podziwiał jej żywotność i był równie potulny, jak jej drugi mąż, Roger. Za to Frank Winthrop, jej pierwszy mąż, wykazał więcej hartu. Ożenił się z Irene ze względu na liczne koneksje, jakie łączyły ich bostońskie rody, ale właściwie nigdy jej nie lubił. Rzucił ją, kiedy Rebeka była jeszcze dzieckiem, zostawił jednak Irene hojną odprawę rozwodową, żeby „mieć ją raz na zawsze z głowy”. Rebeka widziała go potem tylko dwa razy. Kiedy ukończyła uniwersytet, pokazał się na uroczystości rozdania dyplomów, skacowany i obrażony, że nie dostał oficjalnego zaproszenia. Potem zjawił się na jej ślubie z Damonem (którego rodzinę, Lowellów, łączyły z Winthropami rozliczne więzy). Starszy już wtedy i trawiony chorobą, która miała go wkrótce zabrać, zapałał z miejsca sympatią do Damona, natomiast nie okazał specjalnej serdeczności córce, która była mu zupełnie obca po latach rozłąki.

W piątek Rebeka i Damon mieli zaproszenie na kolację do Parkerów, którzy mieszkali przy tej samej ulicy i byli starymi przyjaciółmi. Damon



grywał co niedzielę z Juddem w tenisa w lokalnym klubie, Rebeka jadła czasem z Mimi lunch, na co nie miała jednak w tym tygodniu czasu.

Mimi zaczęła wypytywać Rebeke o nowego chłopaka Dusty.

– Poznałaś go już?

– Nie, mam go poznać jutro.

– Naprawdę zawrócił Dusty głowę?

– Na to wygląda – przyznała Rebeka. – Ale miała już chłopaków, których traktowała serio. Z młodymi nigdy dzisiaj nie wiadomo.

– Czy myślisz, że oni... no, wiesz... ?

– Nie wiem – odparła Rebeka zmęczonym głosem. Niezdrowa ciekawość przyjaciółek stanowiła dopust, który musiała znosić. Obracała się niestety w kręgach, w których intelektualne możliwości kobiet ograniczały się do plotek. Rebeka nie była do tego stworzona. Nie żeby się uważała za lepszą od innych, ale zwykła myśleć samodzielnie, a flirty i dramaty przyjaciół i znajomych nie miały znaczenia w świecie jej uczuć. Znała w życiu tylko jedną dziewczynę odporną tak jak ona na urok plotek – koleżankę z akademika, Katie, która poślubiła później maklera giełdowego, po to by go wkrótce rzucić i zamieszkać z drugą kobietą na chicagowskiej starówce.

Ale dlaczego przypomniało jej się nagle Chicago? Ach, tak, ta zbliżająca się podróż Damona.

Teraz była sobota. Rebeka kończyła nakrywać stół do lunchu dla Dusty i Toniego. W Sands Point panowała piękna pogoda, więc mieli zasiąść do stołu na cienistym tarasie. Kucharka Ruta przygotowała niecodzienną pieczeń po meksykańsku; poda ją na zimno, wraz z sałatką ziemniaczaną własnego przepisu Rebeki. Wino chłodziło się w lodówce, na



młodych czekały różnorodne przekąski, stół był nakryty jak najbardziej po domowemu.

Gdyby miał się zjawić Damon, przygotowałyby wszystko inaczej. Wyciągnęłyby najlepsze srebra i porcelanę, podała *montrachet* albo *pommard* z dobrego rocznika. Mąż zawsze dbał, żeby okazać klasę, nigdy nie zapominał, kim jest.

Przykazał Rebecce, żeby się dobrze przyjrzała młodemu człowiekowi, a potem wszystko mu dokładnie opowiedziała.

– Ufam twojej opinii – dodał przymilnie na pożegnanie.

Rebeka była w głębi duszy rada, że Damona nie będzie na lunchu. Jego obecność wyprowadzała ją zawsze z równowagi. Wzięłyby oczywiście Toniego w obroty, uważał bowiem, że żaden młody człowiek nie jest wystarczająco dobry dla jego córki. Rebeka nigdy nie mogła się nadziwić, dlaczego Damon przejawia taką zaborczość wobec Dusty, którą poza tym przez całe życie mało się interesował.

Nie była psychologiem, ale wiedziała, że nie pozostaje to bez wpływu na osobowość córki. Mogła sobie łatwo wyobrazić wahanie Dusty, czy poślubić kogoś takiego jak Damon, czy raczej kogoś mniej ambitnego, spokojniejszego. Jej poprzedni chłopcy byli raczej w typie Damona – silni, pewni siebie, wyraźnie nastawieni na osiągnięcie sukcesu. Ale Dusty zrywała z nimi. Rebeka miała wrażenie, że córka doznaje ulgi za każdym razem, gdy kończy się, przynajmniej na jakiś czas, eksperyment związku z kimś takim jak ojciec.

Stała przy oknie, patrząc na zatokę. Na oceanie roilo się od żaglówek, dzień miał w sobie coś odświeżającego. Był już lipiec, ale słońce przygrzewało z upajającą czerwcową świeżością. Wszystko lśniło.

Jak zwykle pośpieszyła się z przygotowaniami, więc do przyjazdu Dusty i Toniego pozostała jeszcze godzina. Wyglądała przez okno, bębniąc palcami po parapecie.

„Zrób to sam w ten weekend!” – dobiegł skądś z uderzającą wyrazistością głos z radia. W stronę domu dryfowała mewa, unoszona prądem powietrza. Zaszczekał pies.

Rebeka postanowiła pójść na plażę i poopalać się trochę, zanim się zjawia młodzi. Sama podkreślała rodzinny charakter lunchu; może nadać swobodny ton, czekając na gości w kostiumie kąpielowym

Poszła na górę, wciągnęła dwuczęściowy kostium, który najlepiej uwydatniał jej figurę – w końcu może sobie pozwolić na odrobinę kokieterii – i narzuciwszy jedwabne kimono, zeszła na plażę z pledem, leżakiem i tomem opowiadań Paula Bowlesa,\* który czytała od tygodnia.

Ich dom jako jedyny w promieniu półtora kilometra posiadał prywatną plażę. Tych pięćdziesiąt metrów piasku kosztowało Damona ładną sumkę, uważał jednak, że to korzystna inwestycja.

Dzień był rzeczywiście piękny. Rebeka usadowiła się na leżaku, otworzyła książkę, ale rychło porzuciła lekturę. Rozpostarła koc i wyciągnęła się, książkę zostawiając na leżaku. Słońce miała z tyłu, więc mogła patrzeć w niebo, które wydawało się wyjątkowo błękitne.

Leżała wpatrzona w błękit, przymykając od czasu do czasu oczy. Słońce rozgrzewało jej skórę jak silna ręka masażysty. Dochodziły ją jakieś głosy – nagły krzyk dziecka, terkot kosiarki do trawy – głosy, które wkrótce jęły się rozplýwać w upalnej senności. Wietrzyk niósł tchnienie oceanu. Rebeka zamknęła oczy, zmysły usypiała rozkoszna kombinacja ciepłego słońca i chłodnej bryzy.

*Paul Bowles (ur. 1910) – to pisarz amerykański, mieszkający przez większą część życia w Maroku, które posłużyło mu za tło akcji wielu opowiadań i powieści. O bodajże najgłośniejszej z jego powieści, zatytułowanej „Opiekuńcze niebo” (The Sheltering Sky, 1949), jest kilkakrotnie mowa dalej. (Wszystkie przypisy tłumacza)*

Zasnęła widać, bo spowił ją inny rytm. Za zamkniętymi oczami jęły się przesuwac obrazy ludzi w jakichś dziwnych miejscach. Wykrzykiwali niezrozumiałe rzeczy, gestykulowali. Jakiś mężczyzna podciągnął rękaw i pokazał dwanaście różańców na przedramieniu. Za nim podskakiwała kobieta bez ramion, parszając na niego wyzwiskami.

Głosy ze snu wyparł inny głos, dochodzący z plaży, znajomy głos Dusty. Dochodził od strony oceanu. – Mamo! Mamo!

Głos był wesoły, nabrzmiały śmiechem. Otworzywszy oczy, Rebeka zobaczyła dwoje młodych idących w jej kierunku. Oczy miała jeszcze zaprószone snem, toteż scena ta robiła nieco nierealne wrażenie. Dusty szła po piasku tanecznym krokiem, jej biały dwuczęściowy kostium odbijał od gładkiej młodej skóry i złocistej opalenizny, na którą pracowała od początku lata. Za nią szedł nieco wolniej młody mężczyzna. Oboje ociekali wodą.

Oczy chłopca kryły się w cieniu brwi. Był wysoki, długonogi, miał szerokie ramiona i męski tors, zadający kłam jego niedojrzałej młodości. Pozostał trochę w tyle, pozwalając Dusty zbliżyć się pierwszej do matki. Ręce trzymał opuszczone, spoglądał z góry na Rebeke.

– A! – Posłała im uśmiech. – Musiałam się zdrzemnąć. Jak długo już tu jesteście?

Dusty uklękła obok niej na piasku.

– Zobaczyliśmy, że śpisz, i postanowiliśmy się najpierw wykąpać. Nie chcieliśmy cię budzić. Ale nie powinnaś tak spać na słońcu, mamó. Usmażysz się!

Rebeka zerknęła na swoje ramiona – były rzeczywiście zaczerwienione. Słońce nie chwyciło jej łatwo, więc nie posmarowała się dziś olejkami.

– Dobrze mi zrobi trochę opalenizny – zbagatelizowała sprawę.

Najwyższy czas odezwać się do młodego człowieka, pomyślała. Dusty najwyraźniej zapomniła o dobrym wychowaniu, więc stał wciąż nieporuszony na tle błękitnych fal, nie spuszczać wzroku z Rebeki.

– Toni Delafield? – zaryzykowała.

– Och, przepraszam, mamó. – Dusty się zawstydzila. – Toni, to moja mama. Mamó, to Toni. Jeszcze raz przepraszam.

– Nic się nie stało.

Rebeka wyciągnęła do chłopca rękę, nie podnosząc się z miejsca. Toni się pochylił, uściskał ją.

– Cieszę się, że mogę panią poznać. Dusty dużo mi o pani opowiadała.

– Nie wątpię. – Rebeka uśmiechnęła się nie bez ironii. – Będzie pan teraz tak uprzejmy i pomoże wstać starszej pani?

Nie wiedziała, skąd jej się wzięła ta swoboda wobec niego, ale najwyraźniej go to ujęło. Pochylił się, podał jej rękę. Jego dłoń była ciepła, wciąż wilgotna od słonej wody. Ująwszy ją, Rebeka poczuła szorstkie włosy na wierzchu dłoni, dostrzegła, jak napinają się jego mięśnie, kiedy pociągnął ją ku sobie.

– Dziękuję – powiedziała.

Chłopiec milczał. Oczy miała na wysokości jego piersi. Ocean, połyskujący za jego ramionami, zdawał się jeszcze bardziej niebieski.

– To co robimy? – spytała, przenosząc wzrok z córki na Toniego i z powrotem.

Stanowili piękną parę – drobna blondynka i wysoki chłopak o ciemnych włosach i brązowych oczach.

– Umieramy z głodu – odrzekła Dusty, spoglądając na Toniego, który musiał wcześniej o tym napomknąć.

– Więc chodźmy zjeść – powiedziała Rebeka, sięgając po książkę leżącą na leżaku. – Wszystko gotowe. Chociaż miałam trochę kłopotu z Rutą.

– Proszę mi pozwolić.

Toni złożył leżak, wsunął go pod pachę. Wyciągnął też rękę po książkę, którą Rebeka chętnie mu podała. Schyliła się jeszcze po ręcznik i całą trójką ruszyli w stronę domu.

– Lubi pani twórczość Paula Bowlesa? – spytał młody człowiek.

– Owszem. – Rebeka posłała mu uprzejmy uśmiech. – Należy od dawna do moich ulubionych pisarzy. Chyba odkąd byłam w pana wieku.

– Na pierwszym roku studiów mieliśmy w lekturach jedną z jego książek – powiedział Toni. – „Opiekuńcze niebo”. Nigdy jej nie przeczytałem, ale podobał mi się tytuł.

– Znam ją, to świetna powieść. Czytałam ją wieki temu, ale pamiętam do dzisiaj.

– Czy jego opowiadania są podobne do powieści?

– Tak... Nie... Niezupełnie. – Rebeka się zmieszała. Od lat nikt nie pytał jej o literaturę. – Powinien je pan przeczytać. Na pewno się panu spodobają. Akcja większości rozgrywa się w północnej Afryce. Upał, kurz... To działa na wyobraźnię, przynajmniej naszą, białych.

Toni pokiwał głową. Obrócił książkę w rękę. Rebeka zwróciła uwagę na jego palce, długie, delikatne, wrażliwe. Wszystko w nim zdawało się jeszcze chłopięce, ale już na pograniczu męskości. Szedł po jej lewej stronie, Dusty lekko w tyle, po prawej. Rebeka wyczuwała w nim jakąś opiekuńczość, niemal zaborczość.

Zdaje mi się, pomyślała, patrząc nad swoim bladym ramieniem na pięknie opalone, silne ramiona Dusty, która przeszła teraz do przodu. Chłopak stara się być po prostu miły dla matki swojej dziewczyny.

Niemniej przez cały czas lunchu czuła na sobie jego skupioną uwagę. Na jej pytania o rodzinę i przyjaciół odpowiadał naturalnie i wyczerpująco, ale także ją naciągał na mówienie o sobie. Wydawał się przy tym bardziej zainteresowany nią samą niż jej małżeństwem czy życiem rodzinnym Dusty.

– Znam kilkoro Delafieldów – powiedziała Rebeka. – Moja matka spotykała się z nimi w Northeast Harbor. Keenan i...

– ... Trina – podpowiedział Toni. – To kuzyni mojego ojca. Właściwie ich nie znam. Dla mnie to tylko imiona.

Odpowiedź ta, nie wiedzieć czemu, ucieszyła Rebeke.

Toni jadł z apetytem, jak przystało na młodego mężczyznę, ale maniery miał dobre; widać było, że odebrał staranne wychowanie. Dusty dokuczała mu uwagami o jego pływaniu i jakichś drobnych niedociągnięciach, Toni raz, w żartach, dotknął jej ramienia. Sprawiali wrażenie idealnej pary.

Toni nie był jeszcze w pełni uformowany – i w tym leżał po trosze jego wdzięk. Czuło się, że jakaś jego część kryje się jeszcze przed światem, niegotowa na wybór określonej przyszłości. Miał w sobie wrażliwość, kruchość, a zarazem niecierpliwą męską żądzę życia. Nic

dziwnego, że Dusty się w nim zadurzyła. W jego oczach było coś z łani, ale zarazem zdawały się one przewiercać człowieka na wylot.

Rebeka wciąż czuła w jego pytaniach – a może jej się tylko wydawało? – jakiś osobisty ton i powściąganą szacunkiem intymność. Mówił o swoich ulubionych książkach, „Armie Kareninie”, „Pani Bovary”, szukał u niej aprobaty dla swoich gustów literackich. Kiedy Dusty wytknęła mu jakieś jego dziwactwo, Toni posłał Rebecę porozumiewawczy uśmiech.

– Niech pani nie wierzy we wszystko, co pani słyszy – powiedział.

Wyglądało, że bardzo mu zależy na pozyskaniu sobie Rebeki, nie tylko jako matki jego dziewczyny, ale także dla niej samej.

– Żałuję, że mąż nie mógł zjeść dziś z nami lunchu. Bardzo chce pana poznać.

Zauważyła mimowolny błysk w oczach Dusty. Dziewczyna była wyraźnie zadowolona z nieobecności ojca. Chciała widać przedstawić Toniego najpierw matce – jeśli zyska jej aprobatę, będzie w niej miała sojuszniczkę w razie ojcowskich obiekcji.

– Rozumiem, jest człowiekiem bardzo zajęтым. Ważną osobą.

– Udaje tylko ważnego – zaprotestowała Dusty. – W rzeczywistości za jego pomrukami kryje się łagodny miś.

Toni obserwował Rebeke. Przyszło jej do głowy, że się zastanawia, jak ona się czuje w roli żony tak wpływowego mężczyzny. Czy nie wiąże się to dla niej ze stresem. Z jakim istotnie się wiąże.

Po lunchu Dusty i Toni poszli się wykapać i popływać na żaglówce. Kiedy wrócili, Toni zaczął się żegnać.

– To był wyjątkowo przyjemny dzień – powiedział, ściskając Rebecę dłoń. – Dziękuję za zaproszenie.



– Miło mi było pana poznać. – Rebeka odwzajemniła uścisk. – Proszę nas odwiedzać. I niech pan prowadzi uważnie.

– Może się pani nie obawiać. Zawsze uważam.

Tej ostatniej uwadze towarzyszyło dziwnie ciepłe spojrzenie. Oddalił się potem na swoich długich nogach, a Dusty pospieszyła za nim, śmiejąc się z czegoś głośno.

Rebeka sprzątała wolno po lunchu. Wiedziała, że Damon nie wróci do późna. Dzwonił, że zje kolację na mieście. Stojąc w kuchni, patrząc przez okno na cieśninę, poczuła się bardzo samotna.

Pod wpływem impulsu wzięła pled i poszła na plażę. Słońce wciąż jeszcze stało nad drzewami, ale zmieniło się oświetlenie. Jest smutniejsze, pomyślała. Jak refren piosenki zamierającej w drugim pokoju. Nad nielicznymi teraz żaglówkami wisiał złotawy fiolet. Pusta plaża przyzywała.

Usiadła z rozmysłem w tym samym miejscu, co przedtem. Powracały jej echa przedpołudniowego lenistwa, nie zamknęła jednak oczu. Błękit fal jest taki wymowny, taki przejmujący! Ileż widział już ten ocean! Ile porannych ludzkich nadziei, ile pisków uciechy przyjezdnych dzieci i ich protestów, kiedy trzeba było wracać. Ilu młodych kochanków bawiących się w promieniach słońca i skradających po zmroku w mniej niewinnych celach.

Świadkiem wszystkiego były przewalające się fale. Nie tylko tego, co się rozgrywało na oczach, lecz także ludzkich pragnień, snów, porywów. Czy dlatego zdają się takie smutne? I czy to naprawdę smutek? Może to tylko gra bezbrzeżnej tęsknoty.

Siedziała na plaży niemal godzinę, patrząc, jak woda granatowieje w miarę ściemniania się nieba. Zachciało jej się pić, więc postanowiła wrócić. Otrząsając pled z piasku, ujrzała nagle oczyma wyobraźni roześmianą parę



nadchodzących młodych, usłyszała melodyjny głos Dusty. Chłopiec trzymał się trochę za nią, nie widziała jego oczu skrytych w cieniu.

Coś między nimi zaszło, stwierdziła. Coś zrodzonego z jego chęci podobania się jej, przedstawienia się z jak najlepszej strony – i z jej własnej podatności na te zabiegi. Coś, czego Dusty chyba nie zauważyła. I co prawdopodobnie nie zapisało się trwalszym wrażeniem w pochłoniętym własnymi sprawami, młodym umyśle chłopca.

Ale coś wystarczającego, by Rebeka nie spała przez całą noc.

## *Rozdział 3*

Środa. Od minionego weekendu z Rebeką działo się coś dziwnego. Sypiała źle. Nie pozwalały jej zasnąć niezrozumiałe impulsy, dziwne porywy. Leżała na wznak, próbując bezskutecznie okiełznać myśli, kłębiące się w głowie. Zapadły zbyt głęboko, by dać się odsunąć na długość ramienia, zanalizować spokojnie i trzeźwo.

„Co się ze mną dzieje?” – zastanawiała się.

Wciąż powracał jej obraz Dusty i jej chłopaka wychodzących z oceanu. Żałowała teraz, że nie ma syna. Między matką a córką istnieje rodzaj bliskości i zrozumienia, ale czegoś temu brak. Brak owej iskry żarliwej matczynej lojalności wobec chłopca. Oto jedna z rzeczy, które ominęły Rebekę w życiu.

Okiem wyobraźni widziała chłopaka córki. Obejmował niewinnie Dusty, patrzył na nią wesołymi oczami, w których się malowała chłopięca obawa, żeby się nie ośmieszyć. Syn, jakiego pragnęła Rebeka, nie różniłby się zbyt wiele. Byłby zupełnie inny od Damona, który nigdy nie miał tej chłopięcej wrażliwości, który był zawsze prowodyrem i uosobieniem ambicji.

Patrząc we własną przeszłość, Rebeka uświadomiła sobie teraz, że właściwie nie było w niej młodych mężczyzn. Nigdy nie miała brata, nie zbliżyła się z żadnym kuzynem. Uczęszczała do szkoły dla dziewcząt, jako nastolatka podpierała na zabawach ściany, nigdy nie miała chłopaka. Damon pojawił się później, kiedy kończyła studia. Tak więc nigdy dotąd nie miała do czynienia z dojrzewającymi chłopcami. Nie zaprzętała sobie nimi zresztą

zbytnio głowy. Wydawali jej się egzotyczni, prawie jak stwory z innej planety.

W poniedziałek Damon nie wrócił w ogóle do domu. Leżąc jak zwykle bezsennie, poczuła przypływ gniewu. Jak może ją tak traktować? Wiedziała jednak, że nie czas po tylu latach na urządzanie scen.

Sama w łóżku, zaczęła rozmyślać o swoich młodych latach. Wydawało jej się wówczas, że może osiągnąć wszystko, zostać, czym tylko zechce. Bujała swobodnie w obłokach i nigdy nie przyszło jej do głowy skarcić się za zbyt szalone rojenia. Rozczarowania nie zdążyły jeszcze przyćmić ich blasku.

Jako młoda dziewczyna zasypiała z obrazem przystojnego chłopca trzymającego ją w ramionach, przyciskającego usta do jej warg. Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki pościel ożywała obecnością mężczyzny. W jej ówczesnych rojeniach było jednak coś z bajki o Kopciuszką, bo przebudzenie kończyło piękny sen, tak jak uderzenie zegara kończyło przygodę Kopciuszka.

Nawet dni były wówczas zabarwione uniesieniem. Kiedy wstawiała rano do szkoły albo na sobotnie lekcje jazdy konnej, wszystko zdawało się nowe i świeże. Za oknami błyszczało słońce, poranny wietrzyk poruszał koronkowe firanki, wszystko było dojmujące i pełne obietnic. Świat nie wstrzymał jeszcze tchu, nie krztusił się –i wszystko mogło się wydarzyć, absolutnie wszystko.

We wtorek Damon wrócił wcześniej do domu. Może wyczuł jej reakcję na swoją poniedziałkową nieobecność. Przed północą wsunął się koło niej do łóżku. Rebeka zdążyła już zgasić światło. Poczuła na ramieniu dotknięcie jego dłoni, niemal zaproszenie. Nie otworzyła jednak oczu.

W środę Damon zaprosił ją na lunch do „Tre Scalini”. Wykroił dla niej okienko po poranku w biurze, a przed popołudniowym spotkaniem w Ratuszu.

Wiedziała, dlaczego ją zaprosił. Ostatnio coraz więcej wieczorów spędzał poza domem. Ponadto zbliżały się jego wakacje z kochanką. Zwykle Damon nie troszczył się zbytnio o uczucia żony, ale był dość bystry, by zauważać, kiedy jego obojętność grozi przebraniem miarki. Takie lunche były z jego strony niezbyt subtelną próbą łatania dziur, trzymania żony w szachu.

Wybrał przyjemną restauracyjkę z dobrą włoską kuchnią, ale Rebeka nigdy nie miała apetytu w środku dnia, szczególnie w restauracjach. Jedwabne kostiumy kobiet i opalenizny biznesmenów odbierały jej zupełnie apetyt.

– Nie wiesz, jaka szczęściara z ciebie – przywitał ją Damon. – Puściłem kantem samego burmistrza Lazare'a, żeby się z tobą spotkać.

– Tak? – uśmiechnęła się. – Czuję się zaszczycona.

– Muszę z nim uważać. Ma maniery kmiotka i instynkty szczura, ale nie jest głupi. Wie, w jakich układach z gubernatorem jest Bob Krieg. Obserwuje nas jak sęp. Próbuje nas przechytrzyć, zresztą my jego też. – Westchnął. – Od lat nie żyłem w takim napięciu. Prawie nie sypiam po nocach.

Rebeka ukryła domyślny uśmieszek. Słowa Damona, apelujące do jej współczucia, przemieniły się w mimowolne przyznanie winy. Było to typowe dla większości ich rozmów, w których z reguły unikali wzmianek o konkretach ich pożycia.

Rebeka nigdy nie walczyła z niewiernością męża. Zawsze była osobą wstrzemięźliwą, a z wiekiem coraz wyraźniej ponad takie sprawy

nakazywało jej się wznosić poczucie własnej godności. Nie miała wpływu na romanse Damona, musiała więc się godzić z upokarzającą rolą zdradzanej żony. Ale mogła kontrolować własne zachowania.

Może po tych wszystkich latach górę brało w niej wychowanie. Jej matka, choć kobieta samolubna i kierująca się emocjami, umiała zawsze zachować godność. Także jej ojciec był mężczyzną imponującej dystynkcji. Wywodzili się oboje z dobrych bostońskich rodzin, które traktowały siebie poważnie. Jak na ironię, to po ojcu odziedziczyła Rebeka katolicyzm, choć to właśnie on porzucił rodzinę.

Prawdę powiedziawszy, to właśnie duma Rebeki sprawiła w znacznej mierze, że Damon się nią zainteresował. Starając się o jej rękę, nieraz podkreślał, że jest „prawdziwą kobietą”, w odróżnieniu od tych wszystkich „pustych” dziewczyn, które zna. Czy już wtedy myślał o tym, jakiego pokroju kobieta nada się na żonę adwokata? Nie знаła na to odpowiedzi.

O wpół do trzeciej Damon zerknął na zegarek.

– Muszę uciekać – oświadczył. – Chcesz, żeby James cię gdzieś podrzucił?

– Dziękuję. Wolę pójść na zakupy.

James był kierowcą w firmie Damona. Zwykł odwozić go do kolei podmiejskiej, chyba że korki uliczne w godzinach szczytu były tak koszmarnie, iż szybciej było wracać prosto autostradą Long Island niż dostawać się na Penn Station. Damon wracał też czasem razem z którymś ze wspólników firmy.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat dojeżdżanie do pracy stawało się dla Damona coraz bardziej uciążliwe. Z myślą o tym kupili mieszkanie w mieście. W miarę jak romanse stawały się częścią składową życia Damona, pozostawał on coraz częściej na noc w mieście. Mieszkanie było

utrzymywane w skrupulatnym porządku, lecz mimo to Rebeka natknęła się kilkakrotnie na ślady mężowskich schadzek. Może dlatego starała się tam nie nocować, chyba że jakieś spotkanie towarzyskie kończyło się zbyt późno, by się puszczać w długą jazdę do domu.

Patrzyła, jak Damon wsiada do limuzyny i jak ta się wolno włącza w ruch uliczny, niczym jakiś element pociągany przez taśmę produkcyjną.

Odczekawszy chwilę, ruszyła Pięćdziesiątą Ósmą Ulicą. Po zaledwie kilku krokach zatrzymał ją głos brzmiący niezupełnie obco.

– Zabawne, że panią tu spotykam.

Głos należał do młodego Toniego Delafielda. W ciemnym garniturze i krawacie w paski, Toni wyglądał bardzo przystojnie. Wyciągał już do niej rękę.

– Och! – wykrzyknęła, blednąc lekko. – Zaskoczył mnie pan. Nie spodziewałam się...

– Jestem umówiony w sprawie pracy – wyjaśnił. – Staż w firmie adwokackiej. Pewnie mnie spławiają, choć mój ojciec podobno szepnął za mną słówko.

Rebeka nie mogła go nie podziwiać. Elegancki garnitur stanowił ostry kontrast do jaskrawych kąpielówek, w jakich go pierwszy raz zobaczyła, także do jasnych spodni i sportowej koszulki, w jakie ubrany był w czasie lunchu w Sands Point. Jego uśmiechnięte oczy przywiodły jej na krótką chwilę obraz tamtej plaży, który rozwiął się zaraz jak sen. Całym wysiłkiem woli Rebeka przywołała się do porządku. Na moment ogarnęło ją zdumienie, że ludzie mogą się tak łatwo przemieszczać w czasie i przestrzeni, pojawiać się w miejscach odległych od tych, w których ich się spotkało, wyglądać zupełnie inaczej.

Stwierdziła, że wciąż trzyma jego dłoń, puściła ją więc, lekko zaczerwieniona.

– Nonsens – pocieszyła go. – Poznają się z miejsca na takim obiecującym młodym człowieku. W tym eleganckim garniturze będzie pan najprzystojniejszym mężczyzną w całym biurze.

– To bardzo miło z pani strony. Ale co pani robi w mieście?

– Byłam z mężem na lunchu.

W jej słowa wkradła się melancholijna nutka, ale Toni zdawał się tego nie zauważać.

– Pewnie powinienem żałować, że się z nim rozminąłem, ale prawdę mówiąc, nie żałuję – przyznał. – Z półsłówek Dusty przypuszczam, że pani mąż nie powitałby mnie z otwartymi ramionami.

– Ależ skąd – zaprzeczyła bez przekonania Rebeka. – Jestem pewna, że by pana polubił.

Gdyby Damon go zaakceptował, byłby to pierwszy taki przypadek.

– Niech pani posłucha – powiedział Toni. – Jeśli nie ma pani nic pilnego, to może byśmy wstąpili gdzieś na kawę? Chwila rozmowy z panią dodałaby mi otuchy przed tym spotkaniem.

Rebeka spojrzała na zegarek. Miała inne plany, ale pomysł wydał jej się godny uwagi. Będzie okazja do bliższego poznania adoratora Dusty, pomyślała.

– Czy ja wiem... – zawahała się. Zaskoczyło ją własne onieśmielenie.

– Proszę. – Toni posłał jej niewinne spojrzenie. – Czuję się zagubiony. Nigdy nie lubiłem miasta.

– Ja też nie. Dobrze, chodźmy.

Zaprowadził ją do pobliskiej kawiarni, która była prawie pusta. Z szafy grającej buchała muzyka – zbyt głośna piosenka rockowa, której melodię zagłuszała całkowicie perkusja.

– Przeczytałem książkę Paula Bowlesa, którą pani miała na plaży.

– Już pan zdażył? Mój Boże, to pan jest szybki!

Rebeka znów dosłyszała w swoim głosie ów nieco pobłażliwy, niemal matczyzny ton, który jakby należał nie do niej, niezbyt współgrał z jej prawdziwymi odczuciami.

– E–e, nie. Po prostu lubię dobre książki – odparł, bawiąc się szklanką z wodą. – W domu nie było nigdy dobrych książek. Idąc na studia, czułem się jak ciemny kmiotek.

– Pana rodzice nie czytają?

Roześmiał się.

– Mój ojciec jest znany z tego, że otwiera czasem „New York Timesa”, a matka studiuje „People”. Poza tym właściwie nie czytają.

– A pana siostra?

Rebeka przypomniała sobie, że Dusty wspominała coś o siostrze Toniego.

– Siostry – poprawił ją. – Mam trzy.

– Trzy! Jak mają na imię?

– Beth, najstarsza, ma dwadzieścia sześć lat. Potem idzie Judy, rok młodsza ode mnie. I Amy, szesnastolatka.

– Jak pan się czuje otoczony wianuszkami dziewcząt?

Toni wzruszył ramionami.

– Nieszczególnie. Czasem żałuję, że nie mam brata.

– Siostry przynajmniej nie biją – zauważyła.



– Beth potrafiła nieźle przyłożyć jako dziewczynka. – Roześmiał się. – Ale potem ją przerosłem. Właściwie nie jest taka zła – dodał. – Tamte dwie to smarkule.

Zamilkli na chwilę. Rebeka była ciekawa, czy siostry Toniego są ładne i czy są podobne do niego. Już miała zapytać, czy nie ma ich zdjęcia, ale się rozmyśliła. Zapyta Dusty.

– Wracając do Paula Bowlesa. Pierwsze opowiadanie, „Historia z daleka”, jest bardzo dziwne. Facet traci wszystko, przemienia się w zwierzę, w niewolnika.

Rebeka usiłowała sobie przypomnieć.

– Czy to historia tego profesora?

– Tak, właśnie.

– Jeśli zrobiło na panu wrażenie, to powinien pan przeczytać „Opiekuńcze niebo”. Tam z kolei na dno stacza się kobieta. Czytałam tę powieść, kiedy byłam mniej więcej w pana wieku. Nigdy jej nie zapomnę.

Była to przejmująca, sugestywna historia delikatnej Amerykanki, porwanej na pustyni przez wędrownych Arabów i więzionej w haremie jednego z nich. Rebeka była zaszokowana, a potem zafascynowana niemal dobrowolnym wyrzeczeniem się przez bohaterkę świata zachodnich wartości, jej poddaniem się seksualnej niewoli. Przetrzymana w zamknięciu, nie robiła nic prócz oczekiwania na wizyty arabskiego kochanka, a mimo to niemal nie było w niej buntu.

– Dużo pani czyta, prawda? – zauważył Toni.

– Och, nie! Nie jestem naprawdę odczytana. Ale staram się czytać książki, o których się mówi.

Toni nie spuszczał z niej wzroku. Chciała skierować rozmowę na Dusty, ale coś ją powstrzymywało. Toni poruszał sprawy interesujące ich oboje i Rebeka nie mogła się oprzeć przyjemności, jaką jej to sprawiało.

– Co jeszcze pani lubi? – spytał. Wzruszyła ramionami.

– Dobre filmy. Czasami muzea, nie za często. Mam też w domu trochę nagrań Mozarta, ale nie jestem zagorzałą melomanką.

– A telewizja?

– Od czasu do czasu.

– A telewizja niekomercyjna? Kanały filmowe?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Zbyt angielskie jak dla mnie.

Poczuła, że się czerwieni. W długie samotne wieczory, czekając na Damona, oglądała często telewizję, przeważnie dyskusje na żywo. Mimo swojej absurdalnej kakofonii, skrajnie przeciwstawnych opinii na kontrowersyjne tematy, które ani o milimetr nie zbliżały do prawdy, przynosiły jej jakby poczucie przynależności do rasy ludzkiej. Czasem oglądała na wideo jakiś stary film, który kiedyś szczególnie jej się podobał, ale ostatnio trudno jej się było na tym skupić. Zamykała się coraz bardziej w sobie, nie zwracając prawie uwagi na to, co się dzieje wokół.

– A pan?

Potrząsnął głową, uśmiechnął się.

– Wolałbym nie mówić o sobie.

Spojrzała na jego długie palce, obejmujące filiżankę z kawą, którą kelnerka przed chwilą postawiła na stole.

– To zaskakujące – zauważyła. – Myślałam, że mężczyźni lubią mówić o sobie.

Posłał jej znów to swoje dziwnie przenikliwe spojrzenie.

– Ja nie lubię. Może Dusty mówiła pani co innego, ale przecież jeszcze niewiele interesujących rzeczy wydarzyło się w moim życiu. Szkoła, studia, kupa wrzeszczących kolegów. Często o tym myślę i wydaje mi się to takie nieważne. Nie sądzę, żebym dotknął istoty życia.

Takie wyznanie w ustach młodego człowieka może mniej by zdziwiło Rebeke, gdyby Toni czegoś – a raczej kogoś – nie pominął. Nie chciała tego sama poruszać, bo mógłby to odczuć jako zarzut braku taktu.

– Jest pan dla siebie zbyt surowy – oświadczyła.

– Raczej szczery – odparł. – Czasem mi się zdaje, że prawie nic nie zrobiłem w życiu.

– Och, całe życie przed panem! Milczał.

– Przepraszam, że to powiedziałam. Mieć całe życie przed sobą to ciężkie brzemię. Zaślepieniem ze strony nas, starszych, jest zazdrościć komuś młodości. W końcu młodość to nie zawsze kaszka z mleczkiem, prawda?

Toni się pochylił.

– Pani umie to ująć w słowa. I ma pani rację. – Uśmiechnął się melancholijnie. – Chciałbym, żeby wszyscy starsi myśleli tak jak pani.

Roześmiała się.

– A więc oto kim jestem? Starszą osobą... No tak, niestety.

– Może to nie zabrzmiało jak komplement – jął się usprawiedliwiać. – Ale to był komplement.

– To ładnie z pana strony.

Spojrzała na zegarek.

– Muszę iść. Miło było pana spotkać. Jaki ten świat mały! Pan tu, w środku Manhattanu! Zawsze mnie zdumiewa, że ludzie potrafią być w

dwóch miejscach na raz. Bo ja wciąż pana widzę na plaży, biegnącego do mnie z Dusty. A przynajmniej tak pana widziałam pół godziny temu.

Toni odsunął jej krzesło i ruszyli w stronę wyjścia. Z szafy grającej popłynęła nowa melodia, powolna. Tym razem perkusja nie zagłuszała słów: „Tak cię potrzebuję, mała...”

Rebeka się uśmiechnęła, myśląc o wiecznych tęsknotach młodości. Podniósłszy wzrok na Toniego, spostrzegła, że coś go nurtuje.

– To wcale nie było przypadkowe spotkanie – wyrzucił nagle. – Wiedziałem, że panią tu dziś spotkam.

Uniosła brwi.

– Skąd?

– Dusty mi powiedziała, że jest pani dziś umówiona w śródmieściu na lunch. Zadzwoiłem do pani do domu i dowiedziałem się od gosposi, w której restauracji.

Wyszli z kawiarni, muzyka utonęła w szumie ruchu ulicznego. Rebeka usłyszała pisk hamulców i ostry głos klaksonu. Poszukała oczu Toniego.

– Dlaczego? A co z pańskim spotkaniem w sprawie pracy?

Wiedziała już, że pytania te nie mają sensu. Toni potrząsnął głową.

– Nie mam żadnego spotkania. Chciałem zobaczyć panią.

– Mnie? Czemu, na miłość boską?

Uśmiechnął się.

– Powinna pani wiedzieć bez pytania.

Rebeka zbladła.

– Pan żartuje, prawda?

Toni podszedł bliżej. Był wysoki, głową sięgała zaledwie jego ramienia.

– Niemądre pytanie. Nigdy w życiu nie byłem bardziej serio.

– Ależ...

Na wargi cisnęło jej się imię Dusty, przed oczami miała jej jasne włosy, ufną twarz. Przypomniała jej się Amerykanka z powieści, czekająca w swojej klatce na przystojnego Araba. Ręce jej drżały.

– Nie będę się narzucał. Proszę o mnie źle nie myśleć. Musiałem to powiedzieć.

Spojrzała mu w twarz. Poraził ją malujący się na niej ból. Toni mówił poważnie.

– Pochlebia mi pan – powiedziała, usiłując przywołać poprzedni niefrasobliwy ton. – Ale teraz proszę już iść i zapomnieć o wszystkim.

– To niemożliwe – roześmiał się.

Cofnęła się o krok, ale ten ruch sprawił tylko, iż Toni wydał jej się jeszcze bliższy. Przechodnie przepływali obok nich jak ławica ryb.

– A pani? – spytał. – Czy pani zapomni?

– Tak, dla pana dobra zapomnę. Czy pan wie, co pan mówi, ile pan ryzykuje? Poza tym jest jeszcze inna osoba, o której powinien pan pomyśleć.

– Już myślałem. Aż za dużo. Nic to nie dało.

Rebeka zmarszczyła czoło. A więc wszystko przeanalizował i podjął decyzję. Teraz prosi ją, żeby przeskoczyła pośrednie stadia i połączyła się z nim we wspólnej namiętności. Jego niecierpliwość przyspiesza bieg czasu. Czowała się jak w pułapce.

– Muszę iść. Nie mówmy o tym więcej.

Uświadomiła sobie nagle, że trzyma Toniego za przegub. Ujęła bezwiednie jego rękę! Czym prędzej zwolniła uścisk. Wokół zdawał się narastać szum ulicy.

– Zrobię, co pani każe, ale musiałem to pani powiedzieć. Świadomość, że pani wie... to dla mnie bardzo ważne.

Rebeka drżała. Paliła ją ręka, która ścisnęła jego przegub. Rozejrzała się w prawo, potem w lewo, wciąż unikając jego wzroku.

– Zatrzymać dla pani taksówkę? – zapytał.

Pokręciła przecząco głową, bardziej ze zmieszania niż z chęci odmowy. Popatrzyła na niego jeszcze raz – i oczyma wyobraźni ujrzała córkę.

Po chwili odwróciła się i odeszła. Na rogu Piątej Alei zatrzymało ją czerwone światło. Nie przyszło jej do głowy skrócić w lewo, żeby zniknąć Toniemu z oczu. Czekala w tłumie przechodniów, w uszach dźwięczały jej głuche głosy.

*Życia nie przekabacą*

*W kokainie się zatracą.*

Zazgrzytał ciężko autobus, zapiszczały hamulce ciężarówki. Rebece przeszedł dreszcz. Wreszcie zapaliło się zielone światło.

Zeszła z krawężnika, odkrytymi palcami stopy poczuła wilgoć kałuży, której nie zauważyła. Przyspieszyła kroku, ale w połowie jezdni się zatrzymała i spojrzała za siebie. Toni stał, gdzie go zostawiła. Odprowadzał ją wzrokiem. Popędzana przynagleniami przechodniów, przebiegła ulicę, nie oglądając się więcej.

## *Rozdział 4*

Do przyjęcia zostały tylko dwa tygodnie. Rebeka miała teraz tysiąc spraw na głowie. Musiała sobie sprawić nową sukienkę. Zdecydowała też, że potrzebne są nowe serwetki. Obeszła pół tuzina sklepów, nim znalazła na Piątej Alei właściwe w sklepie o dźwięcznej nazwie „Metisse”. Zauważyła również, że obicia w salonie są przybrudzone, więc zamówiła w Nowym Jorku ekspresowe czyszczenie. Potem sprawdziła, jak nowe serwetki prezentują się na stole, i uznała, że obrus wygląda przy nich nędznie. Kupiła więc nowy, by wkrótce stwierdzić, iż przy nowym nakryciu krzesła w jadalni robią wrażenie podniszczonych. Zamówiła znów ekspresowe czyszczenie tapicerki.

Martwiła się też swoim wyglądem. Wiedziała, jaką wagę mają dla Damona stosunki z burmistrzem Lazare, i obawiała się, czy jej blada cera i niewymyślna fryzura nie odbije się niekorzystnie na politycznych koneksjach Damona. Zamówiła więc wizytę u Sally i kazała sobie zrobić nową trwałą. Kupiła też świeży zestaw kosmetyków. Ogarnęła ją gorączka nadrabiania w ciągu dwóch tygodni zaniedbań dwudziestu lat.

O Tonim Delafieldzie prawie nie myślała. Na jego wspomnienie dostawała wypieków i kręciła z niedowierzaniem głową. Jego zadurzenie, nie dość że absurdalne samo w sobie, stanowiło policzek dla Dusty. Rebeka była zbyt dotknięta w imieniu córki, by czuć się mile połączoną własnym powodzeniem.

Cały ten epizod zdawał jej się nierzeczywisty, ilekroć wracała do niego myślą. Toni, mimo swej niewątpliwie szczerzej namiętności, jawił jej się jak postać z jakiejś sztuki. Czyniło to jego zachowanie tym bardziej bulwer-

sującym. Będzie musiała wybić Dusty z głowy spotkanie się z nim. To postanowienie, końcowy wniosek jej przemyśleń, stawało się czymś oczywistym. W wytworzonej sytuacji nie może dopuścić, żeby córka romansowała nadal z tym chłopakiem, a tym bardziej wyszła za niego za mąż. Sytuacja zrobiła się nieznośna.

Musi jednak postępować nader ostrożnie. Dusty jest wyraźnie zakochana, całe jej zachowanie wskazuje na to, że traktuje go jako poważnego kandydata na męża. Sprawy zaszły daleko. Może już za daleko.

Z drugiej strony, Dusty jej ufa. A skoro tak, to subtelna, wyważona odmowa dalszego akceptowania Toniego może mieć swoją wagę. Ale czy wystarczającą dla podważenia związku? Prawdopodobnie nie. Jako matka zasiałaby jednak ziarno niepokoju. Z czasem, dojrzewając, poznając innych mężczyzn, Dusty zmieniłaby może zdanie, zainteresowała się kimś innym.

Tak, to mogłoby się powieść. Dlaczego jednak ten plan niepokoił Rebekę do głębi? Jak gdyby sam pomysł odsunięcia córki od chłopca stanowił potwierdzenie jakiejś ukrytej, trudnej do pomyślenia prawdy o nim. Rebeka była bliska rozpacz.

Od tamtego fatalnego spotkania z Tonim czuła się jeszcze bardziej samotna. Damon miał coraz więcej spotkań, odwoływał kolejne lunchy, potem obiady, wreszcie plany na wieczór. Dusty nie dzwoniła od wizyty Toniego. W ostatniej rozmowie zapytała matkę, co o nim sądzi. Niestety Rebeka wyrażała się o nim w superlatywach. Była wtedy pod wrażeniem jego przyjaznego zainteresowania swoją osobą, a także ogarnięta nagłym, absurdalnym pragnieniem posiadania syna. Nie mogła przewidzieć, co się szykuje.

Kiedy nie miała nic do roboty, krążyła po domu jak po klatce, jakby czekając, że coś się wydarzy. Przerzucała pisma, próbowała oglądać



telewizyjne dyskusje, ale z trudem mogła się na nich skupić. Jedynym wnioskiem z nich była uporczywa myśl, jak puste musi być życie ludzi, którzy wyznają publicznie swoje sekrety. Jak mało godności własnej istnieje w świecie kobiet! Jak bardzo zależne od mężczyzn są one niemal w każdej swojej reakcji, w każdym swoim odczuciu.

Po krótkiej chwili wyłączała zwykle telewizor. Programy telewizyjne były jeszcze bardziej upokarzającym zwierciadłem jej stanu niż prawdziwe odbicie w lustrze.

Któregoś dnia siedziała w sypialni na brzegu łóżka, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

Cisza. Długa cisza zdradzająca czyjąś obecność na drugim końcu linii. Już miała powtórzyć „halo”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Uderzyła ją szalona myśl, że to może on. Wsłuchiwała się jeszcze chwilę w niepokojącą ciszę, po czym odłożyła słuchawkę.

Pomyłka, zdecydowała. Może jakiś włamywacz sprawdza, czy ktoś jest w domu. Albo jakiś maniak oczekuje na nutkę strachu, żeby zacząć się na niej wyżywać. Na załamanie głosu, które go podnieci.

Na myśl o tym zadrżała jej ręka. Wstała, obeszła sypialnię, potem cały dom. Sama w czterech ścianach, poczuła się nagle, jakby ją oblepiał ciasno plastik, którym w sklepach pakują produkty. Z trudem łapała oddech.

Nie mogła się wyzbyć myśli, że jej podstawowym obowiązkiem jako matki jest odciągnięcie Dusty od tego chłopaka. Byłoby tragedią, gdyby się pobrali, kiedy ona, matka, zna wstydlivy sekret. Myśl ta nie dawała jej spokoju.

Pewnie dlatego jej kłopoty z zaśnięciem jeszcze się pogłębiły. Zaczynała się wiercić i przewracać z boku na bok, ledwo się położyła. Mózg

buzował jej cichym, jednostajnym szumem, nieustannym jak bicie serca, nie pozwalającym zasnąć. Rozmyślania o Dusty stawały się przekleństwem. Nie mogła przestać o tym myśleć.

Niedospanie zaczynało zabarwiać wszystko dziwną, niesamowitą poświatą. Nic nie wydawało się całkiem realne. Znajome przedmioty, choć wyraźnie zarysowane, były jak widziane z oddali, przez źle dobrane okulary. Kiedy wyciągała rękę do kontaktu czy jakiejś rzeczy, własne ramię wydawało jej się długie na kilometr.

Pewnego dnia, zdesperowana, zażyła koło południa proszek nasenny i położyła się w nadziei, że pośpi przynajmniej do trzeciej. Przewracała się z boku na bok przez godzinę, wreszcie zapadła w wyboisty sen, jak lunatyk zsuwający się po stromych schodach.

We śnie była z powrotem w letnim domku swoich rodziców nad jeziorem Angela. Wraz z Dawidem Plummerem, chłopcem z sąsiedztwa, dopłynęli razem do tratwy na wodzie i teraz się opalali. W rzeczywistości Dawid nie zauważał jej istnienia, ale teraz, we śnie, ściągnął z siebie kąpielówki i jego ręka jęła sunąć po jej żebrach, drażnić jej pierś.

Tratwa kołysała się zawrotnie, jej rytm wzbierał w głębi jej ciała – raz, dwa, raz, dwa – aż raptem wyrwał ją ze snu dzwonek telefonu. Bez namysłu złapała za słuchawkę, lecz przebiegło jej przez myśl, że to znów ów tajemniczy osobnik, i zdławione „halo” zamarło na jej wargach.

– Mamo, to ty?

– Och, Dusty, kochanie.

– Mamo? – powtórzyła z niepokojem Dusty, słysząc zdyszany głos matki. – Dobrze się czujesz? Zadzwoiłam w nieodpowiednim momencie?

– Nie, nie, dziecko. Wbiegłam z dworu. Co u ciebie?

– Bombowo!

Rebekę zaskoczyło słowo, którego córka nigdy nie używała.

– Mamo, mogę zaprosić Toniego w piątek na kolację?

– W piątek? – Rebeka spróbowała sobie przypomnieć, jakie ma plany na weekend. – Zaczekaj, muszę pójść do kuchni, sprawdzić w kalendarzu...

– Rozmawiałam już z tatą. Uważa, że to świetny pomysł. Powiedział, że na pewno będzie w domu – mówiła Dusty, wyraźnie podekscytowana.

– Będzie? – Rebeka potarła czoło. – Jeśli tak, to postanowione. Przyrowadź Toniego. Ale nie strójcie się specjalnie. Jesteśmy...

– Wiem, wiem, jesteśmy zwykłymi ludźmi. To co, o szóstej?

– Zasiądziemy do stołu, o którejkolwiek się zjawicie. Rebeka zdobyła się z trudem na swój zwykły żartobliwy ton.

– Wspaniale. Kocham cię, mamo.

Po odłożeniu słuchawki Rebeka wyciągnęła się znowu na łóżku. Końcowe efekty proszka nasennego uleciały i teraz w jej głowie formułowały się zaskakująco chytre myśli. To dobrze, że Damon pozna Toniego. Uzmysłowi to chłopakowi, że Dusty ma wpływowego i opiekuńczego ojca. I że ona, Rebeka, ma męża, którego kocha i który ją kocha. I któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Na pokaz dla Toniego może nawet okazać Damonowi trochę cieplejszych uczuć. Co do Damona, to będzie ją jak zwykle obsypywał uściskami, uśmiechami, czułymi słówkami. To powinno odnieść spodziewany skutek.

Co więcej, jest bardzo prawdopodobne, że Damon nie będzie zachwycony Tonim. Jak dotąd nie przypadł mu do gustu żaden z adoratorów Dusty. Toni jest raczej niezdecydowany, nie dość ambitny jak na wymagania Damona. Damon z pewnością weźmie go w obroty, a to powinno zaważyć na opinii Dusty. (Istnieje oczywiście możliwość, że Dusty stanie w obronie Toniego, ale Rebeka nie brała tego na razie pod uwagę. )

Miała nadzieję, że będzie to dla Toniego nieprzyjemny wieczór, że poczuje się on wypchnięty poza ramy zamkniętej struktury rodzinnej. Rodziny stanowią przecież pewną zamkniętą strukturę. Ich rodzina nie należy może do najzdrowszych, najbardziej zżytych w świecie, ale nawet te istniejące słabostki stanowią o jej zwartości. Toni będzie się czuł jak ktoś z zewnątrz, jak intruz.

Sprawy potoczyły się jednak zupełnie inaczej. Toni, który się zjawił w twarzowej marynarce sportowej i krawacie, wyglądał wcale męsko. Damon zaprosił go na drinka do swojego gabinetu, gdzie rozmawiali przyciszonymi głosami, podczas gdy panie zajęte były w kuchni.

Kiedy zasiadali do kolacji, Rebeka już wiedziała, że Toni przekonał do siebie Damona. Ku jej zaskoczeniu, zdecydowała o tym właśnie chłopięć Toniego, jego delikatność. W przeciwieństwie do poprzednich adoratorów Dusty, młodych ludzi wykrojonych z tego samego męskiego pnia co Damon, Toni był jeszcze nie do końca ukształtowany, surowszy. I to najwidoczniej ujęło Damona.

– Mam zamiar szepnąć kilku znajomym słówko o tym chłopcu – powiedział do Rebeki na boku. – Trzeba go trochę popchnąć, to wszystko.

Mimo zawodu Rebeka poczuła niewczesny dreszczyk dumy, jakby to ona sprowadziła Toniego do domu, by pozyskać aprobatę Damona. Wyczuła wprawdzie w mężu pewne napięcie, kiedy dostrzegł on Dusty w zażyłej pozie z Tonim, opanował się jednak szybko, a nawet zdobył na głośny ojcowski entuzjazm, który zdaniem Rebeki zupełnie nie leżał w jego charakterze.

Wieczór mijał w odprężonej, ciepłej atmosferze. Tylko Rebeka trzymała się nieco na dystans. Za to Dusty była wyraźnie uszczęśliwiona, że Toni znalazł uznanie w oczach ojca.

– Przypadli sobie do gustu, prawda? – spytała matkę w kuchni. – Kamień mi spadł z serca. Wiesz, jaki jest tata.

Także Damon znalazł okazję, żeby szepnąć Rebecce:

– Wielka poprawa w stosunku do tych poprzednich typków, prawda? Nawet mi się podoba.

Rebeka poddała się biegowi wydarzeń, kiedy niespodziewanie stało się to, czego się najbardziej obawiała. Była po kolacji na górze, wychodziła z sypialni, gdy wpadła na Toniego.

– Przepraszam – usprawiedliwił się. – Dusty mi powiedziała, że tu jest łazienka. Zawsze mam kłopoty ze znalezieniem drogi.

– To ten zwariowany dom. – Rebeka się uśmiechnęła, zapaliła światło w korytarzu. – Łazienka jest za rogiem, nikt nigdy nie może jej znaleźć. Nie pan pierwszy, proszę mi wierzyć.

Usiłowała go wyminąć, spodziewając się po trosze tego, co nastąpiło – dotknął jej biodra, zatrzymał ją.

– To ponad moje siły – szepnął i pocałował ją delikatnie w usta.

Był to niewinny pocałunek, ale oszołomiła ją bliskość jego młodego ciała. Odszedł, a ona stała jak pijana. Usłyszawszy, jak zamykają się drzwi łazienki, zaczęła na uginających się nogach schodzić ze schodów.

A więc wszystko to kłamstwo. Ten miły wieczór, ta wzajemna sympatia, ta szczęśliwa rodzina, witająca z otwartymi ramionami chłopaka starającego się o względy córki.

Wszystko kłamstwo. A straszliwa prawda, prawda, z którą zmagala się przez cały ubiegły tydzień, pali jej teraz wargi.

U dołu schodów zobaczyła uśmiechniętych konspiracyjnie Damona i Dusty. Ojca i córkę kwitujących udany wieczór. Nie mogąc tego znieść, uciekła do kuchni. Odczekała, aż usłyszy wracającego na dół Toniego.

Dalszy ciąg wieczoru potoczył się ku swemu finałowi jak w sztuce teatralnej. Dusty pokazywała Toniemu albumy rodzinne. Damon, paląc cygaro, opowiadał Toniemu o jej dziecinnych latach, ten zaś mówił o własnej rodzinie, o siostrach. Na prośbę Damona wyjął fotografię rodzinną, którą podawali sobie z rąk do rąk. Kiedy zdjęcie dotarło do Rebeki, patrzyła niewidzącymi oczyma na obce twarze, czując na sobie spojrzenie Toniego.

Potem młodzi pożegnali się i wyszli.

I właśnie tej nocy Damon chciał się z nią kochać.

Objął ją, gdy się znaleźli w sypialni, przesunął dłońmi po jej plecach, przyciągnął ją do siebie.

– To już tak dawno – szepnął. – Zbyt dawno...

Jego dłonie dobrze znały jej ciało, lecz teraz, po tak długim czasie, zdawały się obce. Pomógł jej ściągnąć koszulkę, potem szybko zrzucił ubranie i zgasił światło.

Położył się obok niej. W pieścizotach był wprawny, choć niezbyt pomysłowy, zatrzymywał się zawsze na tych samych miejscach, na ten sam czas. Zdawał się jednak bardziej niż zwykle podniecony, jego oddech robił się szybszy i po krótkiej chwili znalazł się w niej.

Rebeka nie czuła nic. Zupełnie nic. Damon mógłby być równie dobrze w drugim pokoju, tak mało działał na nią jego dotyk. Dopiero kiedy pod koniec musnął jej usta wargami w niespodziewanym geście czułości, dopiero wtedy jej ciało przeszył spazm, niemal bolesny, wyzwolony delikatnym dotykiem warg, choć wszystko inne, co czynił, pozostawało odległe o milion mil. Tak oto się zakończył ten przedziwny wieczór.

## *Rozdział 5*

Najupalniejsze dni przypadły na koniec lata. Fale gorąca rozpełzły się po niebie jak wielkie, wolno rozbłyskające race. Miasto się dusiło. Ludzie uwięzieni w korkach ulicznych przeżywali piekło lejącego się z nieba żaru. Zarówno we wszystkich pięciu dzielnicach Nowego Jorku, jak na Long Island raz po raz zdarzały się spadki napięcia prądu.

Rebeka nie wychodziła z domu, klimatyzację trzymała cały czas włączoną. W ostatnich latach narzekała na jej nadmierny chłód, teraz się nim rozkoszowała.

Łaknęła chłodu. Szalejący na dworze żar był jak nieznośny hałas w mózgu. Potrzebowała spokoju, ciszy, bezruchu. Przejrzała wszystkie półki biblioteki w poszukiwaniu „najchłodniejszej” lektury. Już miała wybrać „Panią Bovary”, ale zdecydowała się w końcu na „Kuszenie świętego Antoniego” Flauberta. Czytała tę książkę na studiach, nie otwierała jej od tamtej pory. Broszurowe wydanie w żółtej okładce wyglądało jak obiekt muzealny, wyblakło po latach. Była pewna, że ta lektura nie poruszy jej uczuć.

Usiadła w gabinecie, jak najdalej od nieludzko nagrzanego oszklonej werandy, i zaczęła czytać. Czytanie po francusku nie przychodziło jej łatwo, a zawiły styl Flauberta z jego bogatym słownictwem przysparzał dodatkowych trudności. Przyjemność sprawiał jej wszakże wysiłek, który zdawał się odciągać jej myśli od wszystkiego innego.

W czwartek zadzwoniła Dusty, podzielić się dobrą nowiną.



– Toni i jego rodzina chcą mnie zabrać w październiku na narty do Aspen – oznajmiła. – Jeżdżą tam co roku. Mogę jechać, mam? Opuściłabym tylko jeden dzień zajęć.

– Muszę zapytać ojca – odparła Rebeka – ale jestem pewna, że się zgodzi. Nie połam sobie tylko nóg, kochanie!

Dusty miała więcej powodów do ekscytacji. Na ostatni rok college'u, który wkrótce się rozpoczynał, wybrała oprócz jednego wyłącznie kursy z głównej dziedziny swoich studiów – dziennikarstwa. Do tej pory myślała zawsze o studiach podyplomowych, od poznania Toniego przestała jednak o tym mówić. Rebeka podejrzewała, że tym planom może stanąć na drodze małżeństwo.

Dusty poznała też rodziców Toniego, którzy byli według niej trochę sztywni, ale poza tym niczego sobie. Polubili ją, a ona, uznawszy, że Toni zyskał aprobatę obojga rodziców, wyraźnie utwierdziła się w uczuciu do niego.

Rebeka znalazła się w kropce. Zamierzała swoim wpływem zniechęcić Dusty do Toniego, ale od tamtej fatalnej kolacji, kiedy Damon zapalał do niego sympatią, czuła, że sprawy wymykają jej się z rąk, że oto rozpoczął się nieuchronny proces, którego sama nie powstrzyma. Uzyskawszy aprobatę ojca, Dusty przywiązywała się coraz bardziej do Toniego. Promieniała radością.

Jedna Rebeka znała wstydliwą tajemnicę Toniego Delafielda. Jako matka nie mogła przejść do porządku dziennego nad ewentualnością małżeństwa córki z takim człowiekiem. Ale co robić, skoro wszyscy pochwalają ten związek? Miałaby teraz wylać na Dusty wiadro zimnej wody? A jeśli Dusty mimo wszystko za niego wyjdzie?



Wstrząsnęła się na tę myśl. Wyobraziła sobie spotkania rodzinne, wspólne święta, w końcu wnuki – i towarzyszące jej przy każdej okazji porozumiewawcze spojrzenia zięcia. Czasem jakieś ukradkowe półsłówko, może kradzioną pieśczętę – wszystko po to, by nie zapomniała straszliwej prawdy. Prawdy, która rozsadza jej nieustannie mózg, podczas gdy ona musi grać niewinną rolę dumnej matki.

Ucieczkę przed upałem i przed własnymi myślami próbowała znaleźć w lekturze. Czytając w oryginale Flauberta, brnąc przez słownictwo, które kiedyś sprawdzała w Laroussie, czuła, jak budzi się w niej po trochu utracone studenckie ja. Jakże była wtedy odmienna od Dusty! Nigdy nie zaznała takiej czystej radości, jaką przeżywa obecnie córka. Z drugiej strony, nie są w końcu od siebie takie odmiennie.

Tymczasem temperatura rosła. W ostatnim tygodniu sierpnia osiągnęła 36 stopni. Miasto omdlewało z upału, a Rebeka czuła się zmrożona.

Przed Świętem Dziękczynienia upał zaczął się zmniejszać. Temperatura spadła do 30 stopni, a prognozy zapowiadały dalsze ochłodzenie.

Rebeka nie widziała Dusty od ponad tygodnia. Kiedyś ciążyłaby jej ta rozłąka, teraz pragnęła być sama. Kryła się przed światem.

We wtorek postanowiła zejść z pledem i egzemplarzem Flauberta na plażę. Tak rzadko wychodziła ostatnio na słońce, że niemal zblakła jej skromna letnia opalenizna. Może nabierze trochę kolorów przed sobotnim przyjęciem.

Damon miał wrócić na kolację, więc przygotowywała jego ulubioną pieczeń. Mięso marynowało się od poprzedniego dnia. Tym razem Rebeka cieszyła się na wspólny wieczór. Liczyła na to, że jego opowieści o Hightower odciągną jej uwagę od własnych myśli.

Była w połowie trawnika, gdy usłyszała telefon. Wbiegła do domu i podniosła słuchawkę za czwartym dzwonkiem. Po drugiej stronie usłyszała głos Damona.

– Muszę dziś zostać w mieście – oznajmił. – Lazare w ostatniej chwili urządza roboczą kolację.

– Szkoda! – wyrwało jej się. – Cóż, nie ma rady.

– Nie mogę przeboleć, że ominie mnie twoja pieczeń. Napracowałam się nad nią.

Wiedziała, że kłamie. Troska zupełnie nie leżała w jego naturze. Była pewna, że spędzi noc z kochanką.

– Pieczeń można zamrozić – powiedziała.

– Zdyszana jesteś? – spytał.

– Szłam na plażę. Dobiegłam do telefonu.

– Wiesz co? Moglibyśmy się spotkać jutro w mieście. Zjedlibyśmy późną kolację, jak się uwolnię od Lazare'a. Miałbym czego oczekiwać przez cały dzień.

Teraz wiedziała już na pewno, że kłamie. Jego przymilanie się sprowadziło na jej usta uśmiezek.

– Świetnie – powiedziała.

– A zatem do zobaczenia jutro.

W jego głosie brzmiało już roztargnienie, wrócił widać do tego, co robił.

Rebeka odłożyła słuchawkę, wyjęła pieczeń z lodówki i wyrzuciła do kubła.

Potem zeszła na plażę.

Bryza od morza zdawała się nieść chłód, ale słońce prażyło niemiłosiernie. Był to jeden z tych dni, w których promienie palą żywcem

skórę mimo chłodzącego wietrzyku. Już miała wracać do domu, zdecydowała się jednak rozłożyć pled. Czytała chwilę, potem zamknęła oczy. Od kilku tygodni borykała się z myślami, ale wszystkie prowadziły w ślepią uliczkę.

Leżała na wznak, ręce miała wyciągnięte wzdłuż ciała. Tamtego dnia, kiedy Dusty przyprowadziła pierwszy raz Toniego, zasnęła dokładnie w takiej samej pozycji.

W głowie jęły jej się kłębić sny pełne piasku i gorąca. Na tle biblijnego nieba widziała świętego Antoniego, próbującego modlitwą odpierać drwiny tysiąca demonów, nękanego własnym nieczystym sumieniem, które w nieskończoność powtarza: „Nawet twoja walka z pokusami jest jedynie pychą w przebraniu!” Widziała marokańską pustynię i autobus uwożący bohaterkę Paula Bowlesa coraz głębiej w arabski świat, gdzie wyzbędzie się ona dumy i będzie potulnie prowadziła w klatce żywot niewolnicy, czekającej na miłosne zabiegi swego pana.

Obrazy senne dryfowały chwilę, po czym na powierzchnię wypływały myśli, raczej w dyskusji. Walka z demonami jest naszą powinnością, tak zostaliśmy wychowani. Wpojone zasady są jak kamień węgielny osadzony w ziemi. Lecz ziemia jest skądinąd tylko piaskiem, ruchomym piaskiem, który się osuwa spod nóg. Skała, której się czepiamy, wykrusza się na wietrze, nietrwalsza od piasku...

Rebeka zapadała coraz głębiej w sen. Czuła ulgę. Niech słońce pali jej skórę, co tam. Pragnęła tylko spać. Będzie dzisiejszej nocy spała sama.

Usłyszała szelest piasku, czyjś cień przesłonił jej słońce. Na ustach poczuła delikatny dotyk warg. Poznała ten dotyk.

Uchyliła powiek. Młody człowiek klęczał nad nią, dotykając jej delikatnie wargami. Słońce kryło się za jego głową, twarz była tylko owalem, niewiarygodnie bliska, lecz pozbawiona rysów.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała. Znow ją pocałował, przesunął czule wargami po jej policzku, po czole, a potem w dół, ku zagłębieniu szyi.

Nagły, powiew szarpnął okładką książki. Jego wargi muskały teraz jej obojczyk, wyniosłość piersi. Wszystko się sprzysięgło, żeby ją przywieść do tej chwili – jego długie milczenie, nadzieje Dusty, jej własne uniki, nawet ta zawiła francuszczyzna Flauberta, którą czytała po raz pierwszy, będąc w wieku Dusty. A teraz do uległości popycha ją to rozżarzone słońce, ta słona bryza.

„Nawet twoja walka z pokusą jest jedynie pychą...”

Powiew wiatru, silniejszy niż przedtem, zamknął książkę.

– Chodźmy do domu – szepnął.

– Ruta...

– Nie ma jej. Nie ma nikogo. Chodź, Rebeko. Po raz pierwszy wymówił jej imię.

Otworzyła oczy, spojrzała w jego twarz. Twarz, która była piękniejsza niż kiedykolwiek, zaskakująco niewinna w swoim pożądaniu.

Jej ciało też było niewinne. Bardziej niewinne niż kiedykolwiek. Kazało jej się podnieść, przyjąć pomocną dłoń. Szła za Tonim, a towarzyszył jej grzech wyrosły z jej myśli, zrodzony z niewinności ciała, mający trwać do końca jej czasu.

Przyjęła go i pozwoliła poprowadzić się do domu.

## *Rozdział 6*

W środę, po wieczorze spędzonym w ramionach Alison Shore, Damon wrócił do mieszkania na Park Avenue, spodziewając się zastać Rebekeę.

Był zmęczony. Blisko półtora miesiąca upłynęło mu na nieustannych spotkaniach z adwokatami i doradcami burmistrza. Próbował wypracować realistyczny plan finansowy dla projektu Hightower, ale ludzie burmistrza byli wazelinarzami i potakiewiczami, tak zapatrzonymi w politycznych bossów, że ich propozycje prowadziły do wciąż nowych zwłok, zahamowań i cięć.

Gubernator, który popierał projekt dla własnych celów, wyznaczył do sprawy swoich najlepszych ludzi, których większość Damon znał osobiście. Jednakże burmistrz nie nienawidził nikogo tak jak gubernatora i zamierzał wykorzystać projekt Hightower przeciwko niemu w przyszłorocznej kampanii wyborczej. Kręcił nosem na każde rozwiązanie, które nie byłoby korzystne dla miasta, a zgubne dla gubernatora. Pogodzenie dwóch sprzecznych stanowisk było rzeczą po prostu niemożliwą.

Sytuacja była więc delikatna, szarpiąca nerwy. Damon usiłował doprowadzić do zajęcia przez burmistrza bardziej racjonalnego stanowiska, a nie mógł przy tym powiedzieć w oczy bandzie jego totumfackich, że są skończonymi durniami. Była to polityka, dziedzina skądinąd Damonowi nieobca. Od lat, tak w firmie, jak i wśród co ważniejszych klientów, miał do czynienia z ludźmi o wygórowanym mniemaniu o sobie. Zawód adwokata zakłada umiejętność obchodzenia się z klientem jak z jajkiem, ale w całej swojej dotychczasowej karierze Damon nie spotkał takich patentowanych głupców. Wszystko to działało mu na nerwy.

Przyjemność sprawiało mu oczywiście znajdowanie się w centrum uwagi. Jego zdjęcie pojawiała się w prasie co najmniej raz w tygodniu, towarzysząc artykułom wychwalającym jego umiejętności mediatora i ambasadora do specjalnych poruczeń. Dzięki Hightower poznawał ludzi, którzy trzęśli tak Kongresem, jak i Białym Domem. Jeśli uda mu się doprowadzić projekt do pomyślnego końca, stanie się niewątpliwym kandydatem na wysoki urząd, zapewne na szczeblu federalnym.

Tymczasem jednak płacił wysoką cenę. Pod koniec dnia miał nerwy tak zszarpane, że nie mógł sobie wyobrazić wieczoru bez kojącego towarzystwa Alison. Tym razem spotkali się u niej, na Riverside Drive. Zjedli prostą kolację, potem pili brandy i kochali się. Damon potrzebował tych schadzek bardziej dla ukojenia nerwów niż dla zaspokojenia zmysłów. Alison wiedziała o tym i dobrze spełniała swoją rolę.

Oczywiście Damon miał poczucie winy, że spędza tak dużo czasu poza domem. Wiedział, że Dusty potrzebuje go zwłaszcza teraz, kiedy ma chłopaka z prawdziwego zdarzenia. No i jest Rebeka. Zrobiła się ostatnio jakaś daleka, wydaje się czymś zaabsorbowana, roztargniona.

Dlatego właśnie kochał się z nią w zeszłym tygodniu, chcąc ją przychylniej usposobić, a zarazem spełnić małżeński obowiązek, od którego nie miał w końcu zamiaru się uchylać. Och, żeby tylko udało się jakoś dotrzeć do rozpoczęcia zajęć przez Dusty. Będzie wtedy wolny, wyjedzie na urlop z Alison i wreszcie naprawdę odpocznie.

Cieszył się dziś na spotkanie z Rebeką. Miał zamiar znowu się z nią kochać. Może usposobi ją to do niego lepiej, co ważne ze względu na zbliżające się przyjęcie. Poza tym kiedy się ostatnio kochali, coś go w niej zaintrygowało. Zachowywała się jakoś inaczej, chociaż nie potrafiłby

powiedzieć, na czym to polega. Była jakby niedostępna, a jednocześnie bardziej zmysłowa. Chciał się przekonać, czy to się powtórzy.

Wyszedłszy jednak z pracy, nie mógł się oprzeć chęci wpadnięcia do Alison. Przywitała go w szlafrocisku i poszli od razu do łóżka. Potem ogarnęła go senność i zdrzemnął się godzinę. Kiedy się obudził, Alison zrobiła mu drinka. Zadzwoił do Rebeki, że się spóźni, ale nikt nie podnosił słuchawki. Może bierze prysznic, pomyślał.

– Jak sprawy z burmistrzem? – spytała Alison, sącząc brandy.

– Coraz większe wariactwo. Miałem nieraz do czynienia z narwanymi klientami, ale nigdy nie napotkałem takiego zadufania, urągającego wszelkiej logice. Nigdy!

Westchnął, leniwie gładząc jej udo.

– A najdziwniejsze w tym wszystkim, że Lazare mnie lubi – ciągnął. – Nie mam pojęcia, czemu. Opowiada mi świńskie kawały, naprasza się, żebym z nim grał co niedzielę w golfa. A jest najgorszym graczem, jakiego w życiu spotkałem.

– Szuka przyzwoitego towarzystwa – zażartowała Alison. – Powinieneś się cieszyć, że na ciebie padło. Założę się, że jesteś pierwszym harvardczykiem, którego dopuścił do komitywy.

Burmistrz Lazare był człowiekiem prymitywnym, zmysłowym, miał niespożyte siły. Wygrywał swoją ekspansywność przeciw wstrzemięźliwości Damona, zaskakująco jednak zabiegał o jego uznanie. Wiedział, że Damon wywodzi się z tej samej sfery co gubernator, że obaj studiowali na Harvardzie i byli członkami ekskluzywnej korporacji Porcellian, że obaj należą do klubów, o których członkostwo on nie ma się co ubiegać nawet teraz – i chciał mieć poczucie, że Damon jest po jego stronie w sprawie Hightower.



Czasem odciągał Damona na bok i opowiadał mu szczególnie pikantne historyjki o swoich podbojach miłosnych. Z jego przechwałek wynikało, że w ciągu dwudziestu lat przespał się chyba ze wszystkimi kobietami z zarządu miasta. Damon silił się na uprzejmy uśmiezek, ale zwierzenia te wyprowadzały go z równowagi, bo powszechnie znany był jego romans z Alison i to być może ośmielało burmistrza do poruszania z nim damsko-męskich tematów.

– Skóra mi cierpnie, jak tylko znajdę się z Lazarem w jednym pokoju – otrząsnął się.

– Znam go – odparła Alison. – Jest jak siła elementarna, której nikt i nic nie powstrzyma. Dlatego doszedł tam, gdzie jest. Nawet ludzie, którzy go nie cierpią, nie mogą mu się często oprzeć.

Uwaga ta zaniepokoiła Damona, choć nie wiedział, czemu. Objął Alison, uwielbiał dotykać jej ciała. Nie była już taka młoda, wyglądała prawie na czterdziestkę, ale to też stanowiło część jej uroku. Do jej seksapilu doszła teraz jakaś kobiecość, opiekuńczość. Coraz częściej przemyślał ostatnio o rozwodzie z Rebeką i związaniu się z Alison. Potrzebował kobiety, która by go rozumiała.

Nawet jeśli Alison zrobi się później za stara, żeby zaspokajać potrzeby jego ciała, to są przecież na świecie inne kobiety. Zauważył w ostatnich latach, że na widok młodych dziewcząt doznaje ucisku w kroczu, tak z fascynacji ich młodością, jak z nagiej żądz. Czasem czuł się nieswojo nawet w towarzystwie Dusty, choć zbytnie podobieństwo do Rebeki sprawiało, że nigdy nie była dla niego naprawdę atrakcyjna.

Małżeństwo z Alison to nie problem, myślał, tylko co z Rebeką? Byłby to dla niej oczywiście cios. Teraz, kiedy Dusty jest pełnoletnia, nie wchodzi w grę problem opieki nad dzieckiem, ale naprawdę nie chciał ranić Rebeki.



Poza tym jego ambicje polityczne. Rozwód musiałby być przeprowadzony bardzo dyskretnie, w najbardziej dogodnym momencie.

W pewnej mierze potrzebne by było współdziałanie Rebeki, jeśli nie wręcz pokierowanie przez nią sprawami. Często w przeszłości polegał na jej takcie, potrzebowałby go więc i teraz. Nie powinna odmówić, jest przecież znana ze wspaniałomyślności. A on zapewnił jej w końcu dwadzieścia trzy lata szczęśliwego życia, dbał o nią. Poza tym, co tu kryć, nie była znowu takim łakomym kąskiem. Powinna się raczej czuć jego dłużniczką.

Myślał o tym, wchodząc do budynku. Portier William pozdrowił go, uchylając czapki.

– Dobry wieczór panu.

– Dobry wieczór. Widział dziś William moją żonę?

– Nie, dzisiaj nie widziałem. Ale mam dyżur od szóstej, może przyszła wcześniej.

– Pewnie tak.

Damon wjechał na górę, wszedł do mieszkania.

– Rebeko? – zawołał w stronę kuchni. – Przepraszam, że się spóźniłem. Zatrzymano mnie. Gdzie jesteś?

W mieszkaniu było ciemno. Przeszedł wszystkie pokoje, zapalając kolejno światła. Ani śladu żony.

Zatrzymał się, zastanowił. Gdzie ona jest, u diabła? Czyżby się nie zrozumieli? Przecież umawiali się wczoraj przez telefon i wszystko wydawało się jasne.

Wszedł do kuchni, by sprawdzić, czy nie zostawiła kartki przy telefonie, ale nic nie znalazł. Zmarszczył brwi. Gdyby nie przekonanie, że Rebeka czeka tu na niego, zostałby dłużej u Alison.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer domu. Czekał, licząc odległe sygnały: pierwszy, drugi, trzeci, czwarty. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszał nagrany głos żony:

– Dzień dobry, nie możemy odebrać w tej chwili telefonu, ale proszę zostawić nazwisko i numer. Oddzwonimy natychmiast po odebraniu wiadomości...

W słuchawce rozległ się długi sygnał. Damon odchrząknął i zaczął mówić:

– To ja. Jestem w mieście. Miałaś tu być. Jesteś tam?

Cisza. Nikt nie podnosił słuchawki.

– Rebeko, jesteś tam?

W jego głosie zabrzmiała nutka irytacji. Cisza.

– Rebeko, to...

Automatyczna sekretarka się wyłączyła.

Co się stało? Czyżby znów się pogorszyło Irene? Ech, cokolwiek się stało, on jest zbyt zmęczony, żeby się tym teraz zajmować. Miał zabójczy dzień. Weźmie prysznic, spróbuje jeszcze raz zadzwonić do domu i pójdzie spać.

Poderwał go ostry dzwonek telefonu.

– Halo? – Damon szybko podniósł słuchawkę.

– Tato?

– Dusty! Dzwonisz o tej porze?

– Chciałabym porozmawiać z mamą.

W jej głosie brzmiało zdenerwowanie. Nigdy nie umiała ukrywać swoich emocji. Coś musiało się stać.

– Ja nie... – Damon uświadomił sobie raptem niezręczność sytuacji. Nie może przyznać wobec Dusty, że nie wie, gdzie jest Rebeka. – Nie ma jej tutaj, złotko. A ja ci nie mogę pomóc?

– Dzwoniłam do domu, ale nikt nie odpowiada. – Głos Dusty się załamywał. – Muszę z mamą koniecznie porozmawiać.

Damon wzruszył ramionami, pokręcił głową. Do diabła z tą Rebeką!

– Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie jest. Wróciłem minutę temu. Miała tu na mnie czekać, ale mieszkanie jest puste. Mieliśmy razem zjeść kolację. – Rozejrzał się po pustej kuchni. – Też dzwoniłem do domu, ale odpowiada tylko maszyna.

Zaległa chwila milczenia.

– Nie zostawiła ci żadnej wiadomości ani nic? – spytała Dusty.

– Nie. Sam tego nie rozumiem.

– Więc... więc nie wiesz, gdzie jest?

Damon się uśmiechnął.

– Na pewno wszystko z nią w porządku. Może zmieniła plany i zapomniała mnie zawiadomić. Znajdzie się niedługo. Idź spać, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła rano. Skądkolwiek się odezwie.

– Ale...

– Nie martw się, Dusty. Ja się tym zajmę, ty idź spać. Dusty z ociąganiem posłuchała rady ojca.

Damon głowił się jeszcze z dziesięć minut, co się mogło stać z Rebeką, po czym wziął prysznic, zażył proszek nasenny i poszedł do łóżka.

Spał źle. Obudził się z piekącymi oczyma koło siódmej. Przypomniał sobie jakoś telefon domowy Ruty i zadzwonił z aparatu przy łóżku. Niestety, Ruta także nie miała pojęcia, gdzie się podziewa jej pani. Właśnie się

zbierała do wyjścia, chciała bowiem przyjechać wcześniej i rozpocząć przygotowania do sobotniego przyjęcia.

Szykując się, Damon jeszcze dwa razy zadzwonił do domu, po czym pojechał do biura. Czekala go kupa pracy. Był umówiony na roboczy lunch z Tomem Blackmanem i innymi. Spał mało, a zapowiadał się jeszcze jeden ciężki dzień.

Kazał sekretarce łączyć się z żoną, a sam poszedł na zebranie, które go unieruchomiło na trzy kwadransy. Po powrocie nacisnął guzik telefonu wewnętrznego:

– Nancy, dodzwoniłaś się do mojej żony?

– Nie, proszę pana. W pańskim nowojorskim mieszkaniu nikt nie odpowiada, a w domu odebrała gosposia, która mówi, że nie widziała dziś pani Lowell.

Po tych słowach Damon uświadomił sobie po raz pierwszy, że powinien zacząć myśleć o jakiejś wymówce. Jeśli wydarzyło się coś złego, coś wstydlivego, jego sekretarka nie powinna o tym wiedzieć.

– W porządku. Wiem, gdzie jej szukać. Sam do niej zadzwonię. Dziękuję, Nancy.

Kilka minut później, korzystając z tego, że został na chwilę sam, połączył się z gosposią.

– Nie ma żadnego śladu? – zapytał. – Żadnej kartki do mnie?

– Nic nie zauważyłam. Nie powiedziała panu, gdzie się wybiera?

Znów górę wzięła w nim instynkt stwarzania pozorów. Mimo zdenerwowania zdawał sobie sprawę, że musi działać ostrożnie.

– Jakoś się pewnie nie dogadaliśmy. Nie przerywaj sobie pracy. Któreś z nas się do ciebie odezwie.

– Tak, proszę pana.

W głosie Ruty brzmiało powątpiewanie. Damon odłożył wściekły słuchawkę.

Resztę przedpołudnia spędził na zebraniach, które się wlokły niemiłosiernie. Przed lunchem zatelefonował do Sarasoty, gdzie mieszkała Irene. Rozmawiała z nim podejrzliwie, bo nie miał zwyczaju do niej dzwonić. Zapytał o zdrowie, a potem, czy miała ostatnio jakieś wieści od córki.

– Tydzień temu – odparła.

– Była zdenerwowana?

– Nie powiedziałabym. Wiesz, że się świetnie trzyma.

Damon skrzywił się na ten przytyk.

– No, to uważaj na siebie. Rebeka na pewno zadzwoni jeszcze w tym tygodniu.

– Do widzenia, Damonie.

W głosie Irene nie było odrobiny ciepła. Nigdy nie lubiła zięcia i oczywiście wiedziała o Alison.

Po lunchu zadzwonił do Mimi Parker, zapytać, czy nie rozmawiała dziś z Rebeką. Nie, rozmawiała z nią ostatnio przedwczoraj. Przypomniał jej o sobotnim przyjęciu i odłożył słuchawkę.

Zatelefonował też do Alison, uprzedzić, że przyjdzie późno. Po pracy kazał się zawieźć na Long Island, żeby zbadać sprawę na miejscu. W domu panowała cisza. Ruta skończyła pracę i wyszła. W kuchni piętrzyły się naczynia i inne rzeczy przygotowane na przyjęcie.

Ani śladu Rebeki.

Damon zajrzał do jej szafy, ale nie był w stanie stwierdzić, czy coś zniknęło. Rebeka, jak większość kobiet, miała mnóstwo ubrań, a on nie

zwracał na nie od lat uwagi. To samo dotyczyło jej walizek. Damon nie pamiętał nawet dobrze, jak wyglądają.

Stał pośrodku sypialni – niepokój walczył w nim o lepsze z rosnącym gniewem – kiedy zadzwonił telefon. Nie czekając, aż sprawdzi na automatycznej sekretarce, kto dzwoni, podniósł słuchawkę.

– Halo?

– A, to ty, tato. – Głos Dusty był jeszcze bardziej roztrzęsiony niż wieczorem. – Mama się znalazła?

– Nie, złotko. Niestety nie.

Damon był zbyt wściekły, by kryć przed nią prawdę. Wszedł z bezprzewodowym telefonem do łazienki. Na toaletce porozkładane były jak zwykle kosmetyki Rebeki. Jeśli czegoś brakowało, nie potrafił tego powiedzieć.

Potem rzucił okiem na swoje własne rzeczy i stwierdził, że coś jest nie tak. Na zwykłym miejscu nie było srebrnego puzderka na dzienną porcję lekarstw, które dostał w prezencie od żony kilka lat temu.

Otworzył apteczkę. Puzderko stało na półce. Pod nim leżała karteczka. Od razu zrozumiał, że Rebeka wstawiła puzderko do apteczki, by Ruta nie znalazła zostawionego mu listu.

Dusty coś mówiła, kiedy rozwijał karteczkę, ale Damon nie słyszał, co.

– Chwileczkę, kochanie.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, rozwinął papier.

*Kochany Dantonie, odchodzę. Przepraszam. R.*

Stał, wpatrując się z osłupieniem w te parę słów. Z niedowierzania otworzył usta. Docierała do niego pełna wymowa srebrnego puzderka ukrytego w apteczce.

Tymczasem głos Dusty się załamywał, pojawiła się w nim wręcz nutka hysterii.

– Przepraszam, złotko, co mówiłaś?

– Tato, Toni zniknął.

## *Rozdział 7*

Następne dni były dla Damona piekłem.

Najgorsze było to, że on jeden wiedział, co zaszło, i nie mógł się nikomu zwierzyć. Najważniejszą rzeczą stanowiło teraz utrzymanie całej historii w tajemnicy. Z punktu widzenia kariery nie mogło być gorszego momentu na ujawnienie kryzysu małżeńskiego, a cóż dopiero na przyznanie, że żona go rzuciła. Gdyby wieść o tym się rozeszła, wpłynęłoby to niekorzystnie nie tylko na jego stosunki z burmistrzem, lecz także na jego pozycję we własnej firmie.

Musiał też pomyśleć o Dusty. Nie mógł zbyt długo zwlekać z powiedzeniem jej prawdy. Tę sprawę odłożył jednak na później. Było to na razie ponad jego siły.

Tymczasem skoncentrował się na ukuciu jakiejś historyjki dla świata. Połączył się z sekretarką.

– Nancy, obdzwoń moich współników i powiedz, że matka Rebeki jest ciężko chora i Rebeka pojechała na Florydę, żeby być przy niej.

– Bardzo panu współczuję.

– Dziękuję.

Damon odetchnął. Była to doskonała zasłona dymna, gdyż wszyscy w firmie wiedzieli od dawna o chorobie Irene.

Teraz kolej na burmistrza i ludzi od Hightower. Damon był bliski podniesienia słuchawki i polecenia sekretarce, żeby odwołała przyjęcie, ale instynkt wytrawnego gracza wziął ostatecznie górę. Niech przyjęcie się odbędzie. Powie wszystkim, że Rebeka postara się przyjechać na tę okazję.



Jeśli się nie pojawi, wszyscy będą mu współczuć. Może wygrać nawet jej nieobecność na swoją korzyść.

Damon znalazł dyskretną agencję detektywistyczną, Hamlin Associates, z której usług korzystała czasem jego firma. Zadzwoił do jej szefa, Dicka Hamlina, i przedstawił sytuację.

– Zniknęła, ale nie mogło jej się nic złego stać, bo zostawiła liścik – wyjaśnił. – Muszę wiedzieć, gdzie jest.

– Były jakieś znaki ostrzegawcze, że zamierza odejść?

– Skądże! – zaprzeczył Damon. – Miewała swoje humory, ale to u niej normalne.

– Była na ciebie wkurzona, pokłóciliście się?

– Nie. Nie mieliśmy ani jednej kłótni przez wszystkie te lata – oznajmił z dumą Damon. – Dlatego tak mnie to niepokoi.

Dick wysłał człowieka, żeby się rozejrzył po domu Lowellów i po ich mieszkaniu w mieście. Detektyw ustalił, że Rebeka wzięła ze sobą trochę ubrań i kosmetyków. Wyglądało, że się pakowała w pośpiechu.

Podjęła też dziesięć tysięcy dolarów ze wspólnego konta i zabrała z sejfów bankowych trochę biżuterii oraz papiery wartościowe wystawione na jej nazwisko.

Damon polecił Dickowi odnalezienie Rebeki, zastrzegł jednak, żeby nie próbował jej sprowadzać do domu. On to załatwi sam.

Teraz nie miał już wyjścia, musiał powiedzieć córce prawdę. Zadzwoił do niej tego samego wieczoru, po wyjściu detektywa.

– Nie wiem dlaczego, kochanie, ale mama odeszła. Zabrała trochę pieniędzy i trochę ubrań. Nie bierz sobie tego za bardzo do serca. Chce być pewnie przez jakiś czas sama, przemyśleć sprawy. Z pewnością niedługo się odezwie. Będę cię o wszystkim informował.

Dusty z trudem panowała nad głosem. Ona też od kilku dni nie miała wiadomości od Toniego, który przepadł gdzieś jak kamień w wodę. Damon nie przejął się tym zbytnio.

– Rozmawiałaś z jego rodzicami?

– Tak, wczoraj. Nic nie wiedzą. Jego matka szaleje ze strachu. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

– Hm, dzwoń, jak tylko coś będziesz wiedziała. I daj mi znać, gdybym mógł ci w czymś pomóc.

– Dobrze, tato.

Damon nie przywiązywał wagi do zbiegu czasowego ucieczki żony ze zniknięciem młodego Toniego Delafielda. Widział w tym tylko czynnik zaciemniający sprawę, który musi usunąć z pola swego widzenia, żeby zachować umysł jasny wobec bardziej naglącego wyzwania, spowodowanego nieobecnością Rebeki.

Zaczynał powoli pojmować powody jej odejścia. Źle się działo w ich małżeństwie, bardzo źle. Nie spisywał się jako mąż w ostatnich latach, liczył się z Rebeką coraz mniej i mniej. Nawet nie próbował ukrywać swojego związku z Alison. Rebeka nie miała nigdy łatwego życia, ostatnio jednak zrobiło się ono jeszcze trudniejsze. Ojca straciła jako dziewczynka, teraz umiera na raka jej matka. Sama też się starzeje. Wiek średni jest zawsze trudny dla kobiety. Nie protestowała, kiedy Dusty wyprowadziła się z domu, ale Damon zauważył, że coś się w niej jakby załamało. Doskwierała jej samotność.

Rozmyślenia te uspokoiły nieco Damona, pomogły mu bowiem zrozumieć postępek żony, który wydawał się z początku całkowicie absurdalny, niepojęty. Prawniczy umysł pozwolił mu się wczuć w stan

ducha Rebeki, a im bardziej się utwierdzał w przekonaniu, że ją rozumie, tym bardziej był przekonany, że Rebeka prędzej czy później wróci.

„Nie jest kobietą, która zostawia męża i córkę, która odchodzi, nie oglądając się za siebie – rozumował, spacerując po mieszkaniu. – Nie, to do niej niepodobne!”

Musiało ją do takiego kroku popchnąć coś szczególnie bolesnego, ale jej potrzeba uczucia, miłość do rodziny, sprowadzą ją z powrotem. Był tego pewien.

„To tylko kwestia czasu, tak, kwestia czasu” – powtarzał sobie.

Tymczasem musiał jednak stawić czoło czemuś, czego się nigdy nie spodziewał – pierwszym trudnym dniom życia jako porzucony mąż. Rebeka zostawiła po sobie przykrą wyrwę. Po pierwsze, zbliża się to przyjęcie. Wciąż były jakieś telefony, na które by normalnie odpowiadała Rebeka. Dzwonili goście, ktoś z kwiaciarni, restaurator, który miał obsługiwać przyjęcie. Damon musiał się zdać na Rutę i na pomoc Nancy, chociaż wiedział, że nie załatwią wszystkiego ani w przybliżeniu tak dobrze, jak Rebeka.

Do tego dochodził nagi fakt jej nieobecności. Dom wydawał się bez niej przeraźliwie pusty, mieszkanie w mieście także. Łóżko było puste. Brakowało mu spokojnego głosu żony, tej kojącej domowej muzyki, kiedy wracał po dniu nerwowej, wyczerpującej pracy. Brakowało widoku jej bladej, zawsze jakby lekko zatroskanej twarzy, jaki go witał wieczorami.

Rano nie czekała na niego w kuchni świeżo zaparzona kawa. To Rebeka regulowała zawsze termostat, płaciła rachunki, które piętrzyły się teraz na stoliczku w holu. Rebeka gasiła wieczorem światła. Rebeka przygotowywała kolację, kiedy nie było Ruty. Rebeka wybierała mu rano

krawat, przynosiła sprzed drzwi gazetę. Rebeka masowała mu przed snem plecy – jeśli oczywiście wracał na noc do domu.

Musiał się teraz zajmować tym wszystkim sam. Codziennie wyskakiwało coś nowego, a każde nowe odkrycie uświadamiało mu na nowo rozmiary straty. Po trochu docierało do niego, jak głęboko Rebeka była zakorzeniona w jego życiu, docierało tym boleśniej, że korzenie zostały przecięte za jednym zamachem.

– Niech to diabli! – klął, ilekroć o jej odejściu przypominał mu nie zapłacony rachunek lub pusta półka. – Niech to wszyscy diabli!

Te wyzwania dla jego cierpliwości rodziły w nim podskórny gniew. Nie ma czasu odpowiedniego na takie przykre niespodzianki, ale Rebeka wybrała najgorszy z możliwych. Po pierwsze, przyjęcie – odchodząc, zostawiła jemu cały kram na głowie. Po drugie, Dusty, która szaleje po stracie chłopaka i dzwoniłaby do matki sto razy dziennie, gdyby ta była obecna. Nie wspominając już o sprawie Hightower i stresie, o jaki go to przyprawia.

– Wybrała sobie czas! – mruczał pod nosem, zmagając się z ekspresem do parzenia kawy, który zawsze nastawiała Rebeka. – Po prostu wspaniale!

Choć nie przyznawał się przed samym sobą do rosnącego gniewu, łapał się na myśli, że odpłaci Rebecce. To, co cierpiała do tej pory, to nic w porównaniu z tym, co ją czeka po powrocie.

Zastanawiał się, czyby nie poprosić Alison, żeby się do niego przeprowadziła, ale po namyśle odrzucił ten pomysł. Po pierwsze, wywołałoby to plotki, zwłaszcza że rozpuścił tę historyjkę o chorobie Irene. Po drugie, Alison niewiele by mu pomogła. Ma swoje własne życie, obowiązki zawodowe, kalendarz pełen spotkań. Co więcej, nie jest kobietą stworzoną do zajmowania się sprawami praktycznymi. Ma do tego swojego

Piętaszka, dziewczynę, która jej prowadzi dom, załatwia korespondencję, robi rezerwacje podróżne i tak dalej. Jej mieszkanko jest miłe, w sam raz na schadzki, ale ona sama nie ma w sobie nic z pani domu, a gospodyni z niej marna. Nie chciałyby chyba zresztą nią być.

Przyjęcie odbyło się zgodnie z planem, dziewięć dni po zniknięciu Rebeki. Stawili się wszyscy współnicy z żonami. Panie otaczały Damona, zasypując go wyrazami współczucia z powodu choroby Irene.

– Współczuję ci, Damon – zagruchała Doreen Blackman, cmokając go w policzek.

– To straszne! – wykrzyknęła Justine Gaeth. – I to właśnie teraz, kiedy masz takie ważne sprawy na głowie.

Justine nigdy nie grzeszyła taktem. Potrafiłaby zrobić Irene scenę, że ta się poważyła umierać w najbardziej niedogodnym dla Damona momencie.

– Biedna Rebeka – westchnęła Mimi Parker. – Wisiało to nad nią tyle lat. Jak to znosi?

– Bardzo dzielnie, zważywszy na okoliczności – zapewnił ją Damon.

Był to dla niego ciężki wieczór. Nie dość, że musiał utrzymywać pozory, iż Rebeka jest na Florydzie, musiał jeszcze robić strapioną minę, udając, że jest przejęty chorobą Irene. W rzeczywistości nigdy nie pałali do siebie miłością. Damon nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Rebeka jest tak przywiązana do osoby tak samolubnej i płytkiej.

Wspólnicy Damona byli bardziej powściągliwi w wyrażaniu współczucia, a ludzie burmistrza, bezwzględni jak zawsze, w ogóle o tym nie wspomnieli. Mimo to Damon mógł sobie pogratulować. Instynkt go nie zawiódł, zmyślona historyjka obracała się na jego korzyść. Grał rolę stoickiego mężczyzny, którego żona sumiennie spełnia swój święty obowiązek w tragicznej chwili.

Niemniej jednak po przyjęciu był wykończony psychicznie. Zostawił Rutę ze sprzątającymi ludźmi restauratora, a sam pojechał prosto do Alison. Czekwała na niego z otwartymi ramionami.

– Chodź, kochany.

Miała na sobie ciemny jedwabny szlafroczek, wyglądała ponętniej niż kiedykolwiek. Damon powstrzymywał się przez cały wieczór od alkoholu, teraz więc stary bourbon, którego mu naląa, rozpałił gorącą falą jego zmysły. Ściągnął z niej szlafroczek, popchnął ją na łóżko. Rozbawiła ją jego zapalczywość i przez chwilę, nie wiedzieć czemu, zaśmiewali się na łóżku. Widok śmiałych ciemnych sutków kochanki przywiódł Damonowi na myśl blade ciało żony. Przypomniały mu się nieobecne, bolesne oczy Rebeki, tak odmienne od wesołego, łobuzerskiego spojrzenia Alison.

– Masz jeszcze na to ochotę po ciężkim wieczorze? – zapytała ze śmiechem. – Nie przeceniasz swoich sił?

– Przekonasz się!

Wziął ją zajadle, jakby chciał swoją rozkoszą odegrać się na Rebecce. Alison wydawała mu się dziś młodsza, bardziej podniecająca niż zwykle. Damon wbijał się w nią z zapamiętaniem, aż jej podniecenie jęło narastać w ekstazę. Kiedy poczuł, że jest bliska orgazmu, uderzył niemal okrutnie i osiągnął spazm równocześnie z nią.

Potem, z głową na jej piersi, zapadł w głęboki sen. Zmęczenie zlewało się tak słodko z pulsowaniem zmysłów, że zapomniał niemal, iż został porzucony.

## *Rozdział 8*

Grace Island miało w sobie jakąś cechę nierealności, niezdecydowania. Jakby nie wiedziało, przy jakim charakterze się opowiedzieć. Albo, co gorsza, jakby nie miało w ogóle charakteru.

O tej porze roku mgły zaczynały się snuć o różnych porach i w najrozmaitszych miejscach. Napływały z gór i kładły się jak kłębki waty cukrowej na rogach ulic, w parkach, na plażach. Czasami jakiś splacheć mgły zalecał się do korony drzewa albo spowijał ją tak całkowicie, że zdawała się sięgać nieba. Na placach zabaw było rzeczą powszednią, że jakiś dzieciak niknął na szczycie zjeżdżalni, po czym wystrzelał z wesołym śmiechem z mlecznej mgły, wśród oklasków innych dzieci.

Górne partie budynków były przeważnie niewidoczne, choć czasami wynurzało się raptem jakieś trzydzieste piętro, z oknami malowanymi złotem przez słońce południa, podczas gdy niższe piętra kryły się we mgle.

Większość turystów zdążyła opuścić miasto, bo był już wrzesień, po Święcie Pracy. Ceny hotelowe spadały na łeb, na szyję. Pokoje, za które jeszcze dwa tygodnie temu płacono po kilkaset dolarów za dobę, miały się wkrótce zacząć zapełniać biznesmenami przyjeżdżającymi na konferencje i spotkania. Pochłonięci swoimi sprawami, nie będą oni zauważali wszechobecnej mgły, chyba że przyjdzie im do głowy odsunąć zasłony w swoich pokojach. Nielicznych zajętych pokojach, ściśle mówiąc, bo większość pozostanie pusta do czerwca.

Z ekonomicznego punktu widzenia Grace Island miało podwójne oblicze. Z jednej strony, wzdłuż sześciomilowej plaży, rozsiadły się ku zachodowi hotele i kondominia, które wypełniały się w sezonie bogatymi



turystami z całej Kanady, a ostatnio coraz częściej także ze Stanów. Rozciągające się w drugą stronę miasto miało prosperujące centrum handlowe, ze stalowymi wieżowcami, korkami ulicznymi, pewną dozą spalin – zbyt znaczną dozą według miejscowej ludności – oraz z mieszkańcami znanymi z cery bladej z powodu braku słońca, które świeciło mocniej tylko w lipcu i sierpniu. Większość stałych mieszkańców zresztą rezydowała obecnie w osiedlach noclegowych trzy kwadransy jazdy autostradą od luksusowych plaż. We wschodniej części miasta zagnieździło się dla odmiany trochę slumsów, niektóre całkiem blisko centrum, krótkie pięć minut spacerkiem od najdroższych hoteli.

Poza sezonem poważnym problemem stawało się bezrobocie. Mówiło się o zalegalizowaniu hazardu, żeby kasyna przyciągały turystów przez okrągły rok, sprzeciwiali się temu jednak konserwatywni radni miejscy, w większości potomkowie katolickich osadników, tak że nic w tej sprawie nie robiono. Miejscowi skarżyli się, że w lecie nie stać ich na mieszkanie we własnym mieście, a w pozostałych porach roku nie mogą namówić do odwiedzin nawet krewnych, bo odstrasza ich wszechobecna mgła. Nic dziwnego, że pienieł się alkoholizm, notowano też coraz więcej samobójstw.

„Royal Grace” był jednym z licznych hoteli z oknami wychodzącymi na ocean. Nienajtańszy, ale i nienajdroższy, miał własne korty tenisowe, dwa baseny, salę ćwiczeń i atrium, które stanowiło pewną atrakcją kilkanaście lat temu, ale przestało robić wrażenie, odkąd pobudowano wspanialsze hotele. Liczył ze dwieście pokoi, z których większość stała teraz pusta.

W pokoju numer 617, na szerokim, podwójnym łożu, leżała przykryta pledem Rebeka Lowell, trzymając w ramionach Toniego Delafielda.



W tym momencie mózg miała niemal całkowicie wyprany z myśli. Wsłuchiwała się w swój oddech i w oddech śpiącego kochanka. Na nogach czuła sztywność prześcieradła, pod głową zbytnią miękkość poduszki. Okna były zasłonięte, ale wiedziała, że gdyby odsunęła story, nie zobaczyłaby nic prócz mgły, bieli, która nie tylko otula rzeczy, ale pozbawia je materialności, tak że nie wiadomo, gdzie mają górę, gdzie dół i czy w ogóle istnieją. Taka mgła zdaje się wnikać pod skórę, odbierać ochotę do myślenia.

Rebeka rozkoszowała się luksusem niemyślenia. Przedtem jej umysł ustawicznie buzował, pochłonięty wykonywaniem codziennych czynności, robieniem planów, podejmowaniem decyzji. Teraz nie pochłaniało go nic prócz biernego, bezprzedmiotowego postrzegania. Taki stan umysłu wydawał jej się kiedyś niemożliwy. Czuła, że może to prowadzić do zguby, ale w tej chwili paralizujący narkotyk tłumił nawet złe przeczucia.

Doznania te miały oczywiście dużo wspólnego z nagłym przebudzeniem jej zmysłów. Po faz pierwszy dotarło do jej świadomości istnienie naturalnych praw ciała. Zaszokowana początkowo ich odkryciem, szybko nauczyła się ulegać ich dyktatowi, pozwolić się unosić ich rytmom.

Trzymała teraz w ramionach śpiącego Toniego, przy twarzy miała jego zmierzwiłone włosy. Pachniał młodością, świeżością, jakby dla niej dopiero co stworzony.

Przypomniła jej się ów dzień na Manhattanie, kiedy mu powiedziała, że ma wrażenie, jakby egzystował w dwóch wymiarach. Teraz dotyczyło to również jej. Nosila w sobie całe swoje dawne życie, z każdym jego szczegółem, ale ona sama, jako przechowujące to wszystko naczynie, była odmieniona, dawne pewniki rozsypały się jak szkiełka w kalejdoskopie, utraciły jakąkolwiek wagę. Znajdowała przyjemność w tym procesie, który

ją wydrażał od środka, pozwalając światu napelnić ją od nowa, w nowy sposób.

Wiedziała, że kiedyś za to zapłaci. Nikt bezkarnie nie rozrywa materii własnego życia, przekonanie o prawie do szczęścia bywa często jedynie złudzeniem. Nie bała się jednak zbytnio. Uczyła się odwracać plecami do ostrzegawczego głosu rozsądku. Uczyniła skok w nieznanne – i była przygotowana na upadek.

Toni otworzył powoli zaspane oczy. Budząc się, przywarł do niej silniej, jak dziecko. Oplatał ją długimi ramionami, twarz ukrywał na jej piersi.

– Jesteś – wymruczał.

Uśmiechnęła się. Wciąż mu się wydawało, że Rebeka jest ulotnym snem i że nie znajdzie jej po przebudzeniu. Pocałowała go w czoło, potem we włosy.

– Która godzina? – spytał.

Spojrzeli oboje na mały zegar stojący na szafce. Wskazywał piętnaście po piątej. Światło w pokoju było mętne, mogło oznaczać równie dobrze świt, co zmierzch.

– Czas wstawać – powiedziała. – Nie możemy tak spędzić życia.

Zaskoczona stwierdziła, że spędzili w łóżku całe popołudnie. Cały dzień właściwie, wyłączając śniadanie, które zjedli na dole.

– Ale możemy sobie pomarzyć – odparł.

– Możemy.

Wsunął kolano między jej nogi, dłonią pogładził udo. Czuli się ciepło, przytulnie, sennie. Zaczynali być głodni, wiedzieli, że głód wypędzi ich wkrótce z łóżka, ale na razie poddawali się błogiemu lenistwu.

– Zjedźmy dziś na mieście – zaproponował, bawiąc się jej włosami. – Nie możemy bez końca prowadzić życia jaskiniowców. Odkryłem miłą knajpkę. Powiedział mi o niej portier.

– Wspaniale.

Toni uniósł się na łokciu.

– Chciałbym, żebyś się ubrała wyzywająco i elegancko. Chcę się tobą pochwalić.

Oblała się rumieńcem. Czowała jeszcze spojrzenia obsługi hotelowej i nielicznych gości, którzy ją widzieli z Tonim. Był od niej o połowę młodszy, mógłby być jej synem, manifestował jednak, że Rebeka do niego należy.

Obejmował ją, tulił, trzymał za rękę. Poza tym mieszkali w jednym pokoju, w pokoju z małżeńskim łóżkiem.

Rebeka starała się przyjmować wyzwanie z podniesionym czołem, nie przejmować się otoczeniem. Ale nie leżało to w jej naturze. Unikała więc ludzkich spojrzeń, pozostawiając działanie Toniemu, który – trzeba przyznać – stał na wysokości zadania. To on rozmawiał z ludźmi, i to wcale elokwentnie, on aranżował wszystko

– Ty też się ubierz elegancko – powiedziała.

– Czemu nie? W końcu świętujemy.

Był to jeden z jego powtarzanych co rusz żarcików. Przy najbliższej okazji podkreślał, że powinni się cieszyć, bo przecież świętują. Co świętują? Wyzwolenie się od więzów świata.

Toni wyglądał przystojnie niezależnie od stroju. Zarówno w ciemnych garniturach i jedwabnych krawatach, jak w swetrach i sztruksowych spodniach. A także bez nich, kiedy, szczupły, szczeniący, wychodził z

łazienki w samych tylko slipkach i kiedy je potem nieco wstydliwie zsuwał, zbliżając się do niej. Był taki młody, świeży, nie do końca ukształtowany.

Wstał i poczłapał boso do łazienki. Rebeka została w łóżku. Przeciągając się, patrzyła, jak drzwi się za nim zamykają. Przyszło jej ponownie do głowy, że powinna się poważnie zastanowić nad prawomocnością swego zadowolenia, ale odepchnęła tę myśl.

Toni przyglądał się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Oczy, które kiedyś wydawały mu się bez wyrazu, teraz błyszcząły. Włosy miał zmierzwione. Sen i seks odcisnęły się tryumfalnie na jego ciele, jak odznaka honorowa.

Stał i lustrował znajomy widok. Pieprzyk ma lewym przedramieniu, który chciał kiedyś kazać sobie usunąć, bicepsy, które wydawały mu się niegdyś za małe, klatka piersiowa, którą usiłował rozwinąć podnoszeniem ciężarów. Wszystko było niby takie samo, a jednak patrzył na siebie innymi oczami. Po raz pierwszy w życiu czuł się przystojny.

Wszystko to dzięki Rebecce. Wyobraźnia nie przygotowała go na jej głębię, jej tajemniczość. Pożądał jej oczywiście, od początku stało się to obsesją. Ale to, co czuł teraz, było czymś więcej niż zwykłym fizycznym zadowoleniem. Miał wrażenie, jakby ta wspaniała dojrzała kobieta przywróciła go z powrotem do życia.

Odkąd z mdłego chłopięctwa uczynił krok w wiek młodzieńczy, męczyło go uczucie, że czegoś mu niedostaje, czy raczej, że w nim samym tkwi jakiś niedostatek. Zwykłe przygody – dziewczyny, pieszczoty, alkohol – zostawiały mu wrażenie, że jest z jakiegoś nieznanego powodu nie na swoim miejscu, że nie nadaża.

Przez parę lat myślał, że coś z nim jest nie tak. Zastanawiał się nawet, czy nie jest homoseksualistą, skoro eksperymenty z płcią przeciwną

pozostawiają go zimnym. Kiedy w paru przypadkach randki prowadziły do spełnienia, sam spazm zdawał mu się pusty, wzmagał bardziej tęsknotę, niż ją koił.

Dusty była ostatnią z długiej listy ładnych, miłych, niewinnych dziewczyn. Wmówił sobie, że jest inna. Zdawało mu się, że i on tym razem inaczej reaguje. Chciał się z nią żenić.

Dopóki nie przedstawiła go Rebecce. Nie spodziewał się niczego, wychodząc owego dnia z oceanu. Widziana z daleka, Rebeka wyglądała jak przeciętna kobieta w średnim wieku, która zasnęła na plaży z książką u boku. Ale kiedy się przebudziła, kiedy się do niego odezwała, rzuciła na niego z miejsca urok. Serce otworzyło mu się dla niej. Pragnął dotknąć jej ręki, choćby tylko po to, żeby jej pomóc wstać z piasku. Pragnął jej zadawać pytania, byle tylko słyszeć jej głos.

Po pięciu minutach przeobraziło się to w coś wielkiego, niepojętego. Chciał się zatopić w jej melancholijnej głębi, zatracić w jej smutku, w jej tajemnicy.

Pod koniec tego pierwszego wspólnego lunchu wiedział, że musi spróbować ją zdobyć. Przeraził go w pierwszej chwili własny impuls, z czasem zaczął mu się jednak wydawać coraz bardziej naturalny.

Rebeka się opierała i przez jakiś czas myślał, że szaleństwem jest próba jej zdobycia. Ale coś w sposobie, w jaki odpowiadała na jego zaloty w obskurnej kafejce na Manhattanie, kazało mu mieć nadzieję. Czuł, że Rebeka słabnie, choć nadal go odpycha.

Postawił wszystko na jedną kartę tamtego popołudnia na plaży, kiedy wiedział, że gosposi nie będzie w domu. Ale nie był bynajmniej pewien powodzenia. Ujrzawszy ją leżącą na piasku, z zamkniętymi oczami, omal

nie stchórzył, nie cofnął się. Powstrzymał go jakiś wewnętrzny przymus, który kazał mu zaryzykować mimo strachu.

I Rebeka uległa.

Od tamtej chwili żył jak w niebie. Sycił się każdą wspólną chwilą. Wracił pamięcią do ubóstwa swoich marzeń i upajał się ogromem, o jaki bycie z nią je przerasta

Spojrzał jeszcze raz w lustro, zgasił światło. Kiedy wrócił do pokoju, Rebeka wciąż leżała. Przyglądała mu się z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Robi się późno – powiedziała. – Czas się zbierać.

Jej głos poruszył mu zmysły. Zawstydził się lekko, widząc, że zauważyła, jak sztywnieje. Na usta cisnęły mu się słowa, ale ich nie wypowiedział. Osunął się nagi na nią i począł całować jej usta.

– Głuptas – mruknęła. – Nienasycony głuptas.

Zaszeleściło dzielące ich prześcieradło. Toni uniósł się lekko i wyciągnął je spod siebie. Po chwili jej ciało zalśniło w mglistym świetle i wtedy opadł na nią ponownie.

## *Rozdział 9*

Damon Lowell przyzwyczajął się robić coraz więcej rzeczy sam. Sam przynosił z ganku gazetę, parzył sobie kawę. Sam posyłał rzeczy do pralni, otwierał korespondencję, płacił rachunki.

Z początku był nieporadny w robieniu rzeczy tak, jak chciał. Przez wszystkie lata ich małżeństwa to Rebeka była osobą, która dbała o zaspokajanie jego życzeń. To ona pilnowała, jak mocna jest kawa, jaki sztywny kołnierzyk, jaki sok do śniadania, jak ugotowane jajko. Upodobania Damona zmieniały się z wiekiem – zaczął mu przeszkadzać czosnek w sałacie, polubił ciut więcej sosu worcester w zupie z krewetek – i Rebeka uczyła się tego wszystkiego. Damon zaś nie miał pojęcia, jak zaparzyć kawę, wycisnąć sok z pomarańczy czy poinstruować pralnię co do krochmalenia kołnierzyków.

Z czasem zaczął jednak nabierać wprawy i ze zdziwieniem odkrył, że nie jest to taka filozofia. Musiał po prostu przestawić swoje talenty menedżerskie na domowe tory. Z początku nie mieszał się do pracy kobiety, która przychodziła do sprzątania, aż zauważył, że nie wykonuje ona pewnych rzeczy. Domyślił się, że robiła to Rebeka. Poprosił, żeby się tym zajęła, i dał jej podwyżkę.

Sprawy obiadów uzgadniał z Rutą. Do jej obowiązków włączył zakupy, a jeśli czegoś zapomniała, przypominał jej o tym. Czasem na swój własny użytek sporządzał w pracy listę zakupów, którą nosił w portfelu. Rzeczą, do której się nie zniżał, było osobiste chodzenie do sklepów, ale zaczął zwracać uwagę na ceny w ogłoszeniach gazetowych. Zdumiało go, że

kawa i alkohol zrobiły się takie drogie. Cen mięsa nie widywał i nie przyszłoby mu do głowy, jak słono płaci za kotlet barani.

Korzystając z kalendarzyka i notesu Rebeki, obdzwonił człowieka od pieca centralnego ogrzewania, człowieka od koszenia trawników, dekarzy, którzy mieli tej jesieni naprawiać gonty. Człowiek od trawników zdziwił się, słysząc Damona, ale wysłuchał jego poleceń bez słowa.

Przeglądając papiery Rebeki, Damon bez trudu prześledził, jakimi sprawami i w jaki sposób się zajmowała. Wystarczyły mu dwa weekendy, żeby nad tym zapanować. Nie mógł się oprzeć refleksji, że jego żona nie miała zbyt ciężkiego życia. Jeżeli te dość proste zadania były wszystkim, czym się zajmowała, zostawało jej mnóstwo wolnego czasu. (To ostatnie odkrycie, nie wiedzieć czemu, starło uśmiech z twarzy Damona. )

W sumie stwierdzał, że nieźle sobie radzi. Z drugiej strony, nie mógł jednak nie zauważyć, że nagła utrata żony zostawia mężczyznę na łasce losu, emocjonalnie rzecz biorąc. Czasem, spoglądając w lustro, kiedy wiązał krawat, doznawał nagłego ukłucia bólu, który sprowadzał na jego twarz grymas i zasnuwał mu oczy mgłą. Wiązanie krawata należało zawsze do Rebeki.

Często też budził się z jej imieniem na ustach. Robiąc sobie rano śniadanie, na co był teraz zdany, miewał lekkie przyływy paniki, jak chłopiec, którego matka jest w szpitalu i nie ma mu kto przygotować kanapek do szkoły. Przykre były też powroty z pracy do pustego domu, podwójnie przykre powroty w środku nocy od Alison. Na końcu języka miał zawsze jakąś historię, której nie było komu opowiedzieć. Czasami, leżąc bezsennie w pustym łóżku, łapał się nawet na dzieciennym strachu przed ciemnością. Niepokoiło go skrzypienie mebli, trzeszczenie ścian. Wszystko dlatego, że zabrakło Rebeki, z którą dzielił dotąd świat.



Tym bardziej garnął się w tym czasie do Alison. Umawiał się z nią w miarę możliwości na lunch, spędzał u niej tyle nocy, na ile się ważył. W jej towarzystwie zapominał o pustce mieszkania w mieście i bardziej złowrogiej ciszy domu na Long Island.

Alison była teraz wyjątkowo ciepła i rozumiejąca. Troszczyła się nawet o Dusty – pytała Damona, czy nie mogłaby jej w czymś pomóc. Damon wpadł raz na szaleńczy pomysł, żeby poprosić Alison o porozmawianie z córką i pocieszenie jej, odrzucił jednak zaraz tę myśl jako absurdalną. Mężczyźni nie wysługują się kochankami w charakterze zastępczych matek dla swoich córek. Przynajmniej nie w jego sferze.

Kiedyś Alison go zapytała, jak sobie radzi bez żony, na co on wyrzucił z siebie całe swoje zdumienie i niezadowolenie.

– To do niej niepodobne! Wydaje ci się, że kogoś znasz, a tymczasem... Znałem Rebeke jak samego siebie. To zupełnie nie w jej charakterze...

Urwał. Alison patrzyła w okno, na Riverside Drive.

Damon nie widział wyrazu jej oczu, nie wiedział więc, że maluje się w nich sceptycyzm.

– Cóż, zdarza się – powiedziała.

– Na pewno wróci – oświadczył Damon. – Jeśli nie ze względu na mnie, to ze względu na Dusty. Nie mogłaby czegoś takiego zrobić własnej córce. Jestem tego pewien.

Alison zmarszczyła brwi, ukośne brwi, stanowiące jeden z atutów jej ładnej, niepospolitej twarzy, harmonizujące z piękną ogorzałą cerą. Wzmianka o córce Damona obudziła w niej własne myśli. Dla niej będzie już wkrótce za późno na dziecko. Nigdy zresztą nie miała naprawdę instynktów macierzyńskich, a może tylko o tym nie myślała.

Widziała kiedyś z daleka Dusty Lowell – świeże blond stworzenie, roześmiane i papłące, roztaczające jednak aurę dziwnej wrażliwości. Alison, znawczyni kobiecej psychologii, uznała, że w dziewczynie jest jakaś niepewność, która jej towarzyszy od samego początku. Dusty dość nieporadnie nosiła płaszcz wybranki losu. Tyle Alison wywnioskowała, przyglądając jej się z daleka, ale potwierdzały te domysły opowieści Damona o córce. Sam Damon zdawał się jednak tego nie dostrzegać. Uważał egzystencję Dusty za łatwą i nieskomplikowaną, nie to co jego ustawiczna szarpanina.

Alison zastanawiała się nieraz również, ile determinacji czy też rozpaczki musiało być w Rebecce, żeby uciec od tak wpływowego męża, jak Damon. Jeszcze trudniejsza do pojęcia była siła, która ją skłoniła do porzucenia córki.

Z drugiej strony, pewnie Damon nie był dla Rebeki wcale taką imponującą postacią. Dwadzieścia lat małżeństwa może w oczach żony przyćmić blask każdego mężczyzny. A Dusty, jakkolwiek ważna, nie stanowiła dostatecznej przeciwwagi dla tego, co dojrzewało w Rebecce od lat. Zresztą jak może jedna kobieta zgłębić naprawdę duszę drugiej kobiety?

– A co twoi detektywi? – zapytała Alison. – Odkryli coś?

– Jeszcze nie, ale Dick Hamlin zapewnia mnie, że to kwestia dni.

Największy problem stanowiła Dusty. Historyjki o chorobie Irene, która tak dobrze zdała egzamin wobec innych, Damon nie mógł sprzedać córce, która była dość blisko z babką, a od zniknięcia Rebeki rozmawiała z nią już kilkakrotnie. Nie było sposobu zbycia Dusty kłamstwem.

Jak dotąd kontaktował się z córką wyłącznie przez telefon. Rozpoczął się już rok akademicki, a poza uniwersyteckimi Dusty miała sporo zajęć

ponadprogramowych. Co więcej, i ojciec, i córka czuli się skrępowani w bezpośrednim zetknięciu. Przyczyny tego nie były dla Damona zbyt jasne.

We wtorek umówili się w końcu na obiad do małej restauracyjki „Crandalla” w dzielnicy uniwersyteckiej, gdzie podawali studenci. Było to spokojne miejsce, mogli więc swobodnie porozmawiać.

Na pierwszy rzut oka Dusty się nie zmieniła, ale po bliższym przyjrzeniu się Damon uznał, że wyładniała. Zauważył też, że schudła. Robiła wrażenie pochłoniętej swoimi myślami.

Już miał zapytać o Toniego, ale ugryzł się w język.

– Niestety nie mam żadnych nowych wiadomości – powiedział z ciężkim sercem. – Nie wiem, co się dzieje z mamą. Dick nie rozumie, jak mogła zniknąć tak bez śladu. Nie posłużyła się kartą kredytową do zrobienia żadnych rezerwacji ani do kupna biletów.

Dusty milczała, patrzyła w bok.

– Na pewno ją odnajdą – zapewnił Damon. – To tylko kwestia czasu. Detektywi mają swoje sposoby.

Czuł, że jego słowa nie przekonują córki. Pociągnął łyk martini, zebrał się w sobie.

– Nie martw się tak, kochanie – podjął. – Cóż, muszę przyznać, że nie byłem najlepszym mężem. Za bardzo pochłaniała mnie praca, nie mogłem przestać myśleć o biurze. A już odkąd zaczęła się sprawa Hightower, tak jakby mnie w ogóle nie było w domu.

Przed oczami stanęła mu Alison i zląkł się, czy Dusty nie czyta w jego myślach. Ponad siły byłaby jakakolwiek aluzja do niej, skupił się więc na oskarżaniu siebie o zaniedbywanie żony i usprawiedliwianiu Rebeki jako kobiety, która miała dosyć takiej sytuacji i odeszła, żeby być przez jakiś czas sama.

– Trudno winić mamę – mówił – miała aż nadto powodów do odejścia. Ale powinnaś wiedzieć, że nigdy by nie opuściła ciebie, gdyby miała jakiegokolwiek inne wyjście. Kocha cię z całego serca.

– Więc dlaczego nie napisała do mnie ani słówka? Były to pierwsze słowa, które usłyszał z ust córki od chwili, gdy poruszył bolesny temat. Na to pytanie Damon nie miał odpowiedzi.

– Ma widać swoje powody. Nie bierz jej tego za złe.

– Ale gdzie ona jest? – wybuchnęła Dusty.

– Nie wiem. Próbuję ją odnaleźć.

– A co zrobisz, jak ją odnajdziesz? Wystąpisz o rozwód? – spytała zimno.

Damon poczerwieniał.

– Oczywiście, że nie! O czym ty mówisz, Dusty? Kocham mamę, nigdy bym się z nią nie rozwiódł.

– Zwłaszcza teraz.

– Co to znaczy? – spytał.

Nie odpowiedziała, ale Damon nie miał wątpliwości, że Dusty myśli o polityce. Jest bystrzejsza, niż podejrzewał. Może domyśla się nawet jego planów poślubienia Alison. Chłodne, celne słowa zabrzmiały obco w ustach córki, którą cechowała zawsze dobroć serca i wzruszająca, niewinna naiwność.

– Jak odnajdę mamę, padnę pewnie na kolana i będę ją błagał, żeby wróciła – powiedział z fałszywą pokorą. – Mogę popełniać błędy, złotko, ale nie jestem głupi. Wiem, kiedy jestem winien.

– A jeśli nie zechce wrócić?

Dusty wyraźnie go prowokowała. Zaskoczony, poszukał jej wzroku. Nie poznawał własnej córki. Było w niej coś zimnego, cynicznego. Nigdy nie widział jej takiej.

– Wierzmy, że wróci. A nawet jeśli nie, to nadal pozostanie twoją matką. Kocha cię bardzo, złotko.

Dusty patrzyła w bok. Podszedł kelner, więc musieli na chwilę zamilknąć.

Dlaczego uciekła? Dlaczego nie napisała?

Te bolesne pytania nie przestawały nękać Damona. Po raz pierwszy poczuł nieuleczalny wyrzut sumienia ojca, z którego winy grunt usuwa się spod nóg jego kochanemu dziecku. Dopiero w tej chwili zaświtała mu myśl, że to, co się stało, może mieć nieodwracalny wpływ na życie Dusty. Kto wie, czy długie pasmo jego zdrad już nie wycisnęło piętna na jej psychice?

Szczęściem, po odejściu kelnera Dusty trochę się rozpogodziła. Zaczęła opowiadać o swoich zajęciach, o kolegach. Ostatni rok zapowiada się ciekawie, uczęszcza na prestiżowe kursy z dziennikarstwa, na które się cieszyła od dwóch lat. Na jesieni zacznie składać podania o staże, o pracę. Jest na progu kariery.

Damona podniosło na duchu, że jego córka snuje poważne plany życiowe. Były w tym przynajmniej pozory normalności. Przypomniał mu się jednak Toni.

– Masz wiadomości od Delafieldów? – zaryzykował.

Dusty się zasepiła.

– Nic nie wiedzą. Rozmawiałam wczoraj z matką Toniego. Zamartwia się. Uważa, że ma to jakiś związek z ich sprawami rodzinnymi, ale nie chce o tym mówić.

– Ja rozmawiałem wczoraj z ojcem Toniego.

Po twarzy Dusty przemknęły mieszane uczucia – wstydu, gniewu, wdzięczności.

– I co?

– Ale to tylko pomiędzy nami, dobrze?

Dusty skinęła głową.

– On uważa, że to przez niego. Mówi, że nie rozumiał Toniego, że nawet nie starał się go zrozumieć. Toni był, zdaje się, zawsze bliżej z matką. Ale całą uwagę rodziców zaprzętały jego trzy siostry. Matka ciągle z nimi wojowała, stosunki rodzinne były burzliwe. Na Toniego nie zwracano zbytnej uwagi, a ma przecież swoją wrażliwość. Pan Delafield podejrzewa również, że Toni nie chciał nigdy naprawdę studiować prawa. Wybrał ten kierunek, bo uważał, że ojciec sobie tego życzy. – Popatrzył pytająco na córkę. – Myślisz, że to prawda?

Dusty zmarszczyła czoło.

– Coś w tym jest – przyznała.

– Więc może tu leży przyczyna jego zniknięcia – podjął Damon. – Toni się znalazł na rozdrożu. Chciał rzucić prawo, a z jakichś powodów, nie wiemy jakich, uznał, że pozostaje mu tylko taka droga.

Damon pragnął przekonać córkę, że to nie od niej Toni uciekł.

– Na pewno niedługo się do ciebie odezwie – powiedział konfidencyjnym tonem. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wręcz chciał, żebyś do niego dołączyła.

Przyglądał się uważnie, jaki efekt wywierają jego słowa. Dusty się nie odezwała, ale w jej oczach pojawił się marzycielski wyraz.

– Czy Toni ci się oświadczył? – zapytał.

Pokiwała wolno głową.

– A mimo to zniknął?

Dziewczyna znów uciekła spojrzeniem w bok.

– Te dwie rzeczy nie muszą się ze sobą kłócić. Jako adwokat oparłbym się na przesłance, że się wcale nie wykluczają.

Popatrzył w sufit, jakby stamtąd oczekiwał pomocy w rozplataniu ciernistej zawilóści prawnej.

– Może wydawało mu się, że nie ma innego wyjścia. Może napór był zbyt silny i po prostu nie mógł znieść myśli o jeszcze jednym roku na uczelni. Nie byłby pierwszym, który ucieka, czując się przyparty do muru. Sam przeżywałem podobne rozterki w jego wieku.

To małe kłamstwo przyszło mu bez większego trudu.

– Może czeka na właściwy moment, żeby cię ściągnąć – podjął. – Chce, żebyś najpierw ukończyła studia. Waha się, czy może od ciebie żądać takiej ofiary. Jesteś dostatecznie silnie zaangażowana uczuciowo, żeby rzucić dla niego wszystko?

Spostrzegł w jej oczach tajoną dumę. Jego drobne pochlebstwa robiły swoje.

– Co, poszłabyś za nim? – powtórzył chytrze.

– Och, tato...

– Poważnie, poszłabyś? – spróbował zaapelować do jej romantycznej natury.

Dusty się zastanowiła.

– Mam własne plany. Chcę coś w życiu osiągnąć. On to wie.

Damonowi podobało się takie realistyczne podejście. Poczł się bardziej doradcą niż zatroskanym ojcem. Rozmawia z nią jak z dorosłą kobietą, nie z dzieckiem. Wpłynie to ocieplająco na ich stosunki. Przybliży ją także ponownie do Toniego, przekona, że nie do pomyślenia jest, by jego



odejście nie miało związku z jakimiś długofalowymi planami poślubienia jej, bycia z nią.

– Poświęcenie jest nieodłączną częścią miłości – powiedział sentencjonalnie. – Może uważa, że nie wolno mu wiązać ci rąk, dopóki nie zdobędzie zawodu, że to by było nieuczciwe. Poznałaś go przecież jako przyszłego adwokata, może ma poczucie, że cię wprowadził w błąd. Nie wie, jak ci powiedzieć o zmianie planów. Obawia się, czy będziesz go jeszcze w ogóle chciała. Dusty się nie odzywała. Słuchała uważnie.

– Wiesz, gdybym sam tak myślał ćwierć wieku temu – podjął Damon – może nigdy by nie doszło do obecnej sytuacji. Powinienem być bardziej krytyczny, bardziej samodzielny w podejmowaniu decyzji. Prawo nie było moim wymarzonym kierunkiem. Poszedłem na nie, bo tego ode mnie oczekiwano, ale nie było to po linii moich prawdziwych... jak to określić?... predyspozycji. Szalałem za mamą, pragnąłem jej ponad wszystko w świecie. Patrząc teraz wstecz, zastanawiam się, czy wiedziała o moich rozterkach. Może gdybym się zastanowił wtedy nad sobą, inaczej by wyglądało nasze małżeństwo.

Dusty nadal milczała, więc dodał:

– Rebeka jest niezwykłą kobietą. Fakt, że odeszła, tylko to potwierdza. Niestety, przez cały czas naszego małżeństwa nie robiłem nic, żeby się nie czuła zwyczajna, pospolita. Co gorsza, pozwalałem jej żyć w przekonaniu, że tak o niej myślę. Praca za bardzo wciąga mężczyzn. Tak było i ze mną. Niewiele pozostawało dla niej. Obawiam się, że i dla ciebie, kochanie.

Westchnął.

– Może dobrze się stało, tak jak się stało. Może Toni przewidział, że czyhają na niego pułapki takie jak na mnie. I w przeciwieństwie do mnie postanowił uciec, nim będzie za późno. Może ty jesteś częścią jego planu.



Prawie wszystko, co mówił, było kłamstwem. Jego słowa kształtowało ćwierć wieku praktyki adwokackiej, nadając im pozory wagi i wiarygodności. Argumenty zdawały się tak przekonywające, że sam dał im się ponieść. Wyciągnął rękę, ujął dłoń Dusty. Była mu w tej chwili bliższa niż przez wszystkie te lata. Po raz pierwszy miał poczucie, że naprawdę z nią rozmawia, trafia do niej.

– Tato... – zaczęła Dusty, patrząc z napięciem na ich splecione dłonie.

– Tak, kochanie?

– Powiedz mi tylko jedno... Czy Toni uciekł z mamą?

## Rozdział 10

*Kochanie!*

*Sama nie wiesz, jak bliska jesteś w tej chwili memu sercu. Chociaż musiałam cię opuścić – a wierz mi, gdybym miała wybór, jakikolwiek wybór, nigdy bym Cię nie porzuciła bez pożegnania, bez wyjaśnienia – to zawsze pozostaniesz mi najbliższa. Nic nie rozerwie więzów, jakie nas łączą, więzów trwalszych niż upływ czasu.*

*Ale widzisz, kochana, to czas spowodował tę nagłą, straszną zmianę, konieczną zmianę. Moim błędem było niedopuszczanie do siebie przez tyle lat myśli, że tkwi gdzieś we mnie przeraźliwa pustka. Długotrwałe przy-  
mykanie oczu sprawiło, że sprawy narastały, narastały w milczeniu, aż miarka się przebrała. Zbyt długo dusiłam to w sobie, teraz płacę wysoką cenę. Ba, gdybym płaciła ją tylko sama! Ale świadomość, że ranię Ciebie, rozbijam rodzinę, która zapewniała Ci dom, ta świadomość rozdziera mi serce.*

*Straszliwie ciężko pisać mi do Ciebie w chwili, gdy dokonuje się we mnie zasadnicza przemiana, gdy żegnam swoje stare ja, by powitać nowe. Trudno Ci to rzetelnie opisać, gdy prawda nie wyklarowała się jeszcze dostatecznie dla mnie samej. Wierz mi jednak, że jakkolwiek oddalam się od swojego starego ja, nigdy nie oddalę się od Ciebie. Zawsze pozostaniesz mi jednakowo bliska. Jesteś ze mną w każdej sekundzie i cokolwiek się stanie, wiedz, że mnie nie utraciłaś, że nigdy mnie nie utracisz. Pozostaną zawsze Twoją matką, bez względu na wszystko.*

Rebeka przerwała pisanie, jej dłoń z długopisem zawisła w powietrzu. Siedziała na łóżku oparta o poduszkę, na kolanach miała informator

hotelowy w sztywnej okładce, który służył jej za podkładkę. Nie pisała na papeterii hotelowej, Toni przyniósł jej z miasta czysty papier.

Miała na sobie jedynie koszulkę. Palce drżały jej jeszcze wspomnieniem kochanka i pismo wychodziło jak obce.

Uniosła głowę. Toni siedział przy biurku, pisał list od siebie. Był tylko w slipkach, jego długie nogi sięgały głęboko pod biurko. Znamię pod jego lewą łopatką przywołało uśmiech na wargi Rebeki. Całowała je niezliczone razy, zapewniając Toniego, że jest doskonały i że wcale go to nie szpeci.

Mocne ramiona, smukłe plecy, zmierzwione włosy...

Poczuła wzbierającą falę ciepła. Lecz pióro nie przestawało jej drżeć w dłoni. Spojrzała na zapisaną w połowie kartkę i ogarnęło ją poczucie rozpacz, beznadziei. Jak śmie pisać do Dusty? Jakimi słowami może uśmierzyć udrękę, jaka z pewnością targa w tej chwili sercem dziewczyny?

„Wiedz, że mnie nie utraciłaś, że nigdy mnie nie utracisz...” – przeczytała własne zapewnienia. Jakież to nieporadne, jakież niewspółmierne do ogromu tego, co się stało! Uświadomiła sobie, że nie zająknęła się słowem o Tonim. Bała się tego, ponad jej siły była jakakolwiek wzmianka o sednie jej hańby. Ten list miał być jedynie potwierdzeniem jej miłości do córki i przeprosinami. Tylko tym. Nie obiecywała, że wróci, że podejmą na nowo dawne życie, które traktowali tak od niechcienia. Zapewniała ją po prostu o swoim wciąż żywym uczuciu.

Ale czy to coś załatwia? Czy jakiegokolwiek słowa mogą stanowić zadośćuczynienie za ucieczkę, za zdradę?

Jej własny ojciec porzucił matkę, kiedy Rebeka była jeszcze dziewczynką. Nigdy mu tego nie wybaczyła. Po utracie Franka, Irene wyszła ponownie za mąż i zachowywała się tak, jakby był on nic nie znaczącym epizodem w jej życiu. Rebeka nie miała jej beztróskiego

usposobienia. Rzadko wspominała ojca w rozmowach z Damonem czy kimkolwiek innym, zostawił on jednak po sobie jakąś wyrwę. Sprawiało jej to ból, więc wołała o tym nie myśleć.

Popatrzyła na Toniego pochylonego nad kartką. Wbrew samej sobie lękała się o niego. Ucieczka, która przekreśliła jej dotychczasowe życie, godziła również w niego. A jest od niej o tyle młodszy, o tyle mniej doświadczony. Nawet bez jej udziału stanąłby w obliczu kryzysu tożsamości nieuniknionego w jego wieku. Świat żądał od niego, by był dwiema osobami na raz – chłopcem, jakim pozostawał dotąd, i mężczyzną, jakim ma się wkrótce stać.

To samo dotyczyło Dusty. Wciąż była jeszcze dziewczyną, lecz wkrótce miała wziąć na siebie obowiązki kobiety. A teraz, z winy własnej matki, spadło na jej barki najcięższe brzemie, największy ból, jaki może dotknąć kobietę.

„Pomiędzy dwiema nieskończonościami” – pisał Pascal. Będąc w szkole, Rebeka często się zastanawiała nad tym zdaniem, ale zawsze wydawało jej się niezrozumiałe i nic nie mówiące, ot, jeszcze jedna maksyma. Teraz zaczynała pojmować jego mroczne odniesienia, wielorakie i groźne. Odniesienia, których nie sposób zgłębić za jednym podejściem, trzeba ich się uczyć powoli, jedno po drugim, gdy człowiek wcale nie chce się uczyć.

Gdy tak patrzyła na półnagiego Toniego, siedzącego przy biurku jak pilny uczeń biedzący się nad grzecznościowym listem, uderzyła ją nagle myśl, że darzy go uczuciem zaskakująco podobnym do tego, jakie żywi do Dusty. Chciała go chronić, osłaniać. Ale nie przed wszystkim można uchronić.

Z tą myślą w głowie, zerknęła na list na kolanach. „Zawsze pozostaniesz mi jednakowo bliska... ” Cóż za kłamstwo! W tym szarym pokoju, gdzie mgła całuje okna, namacalna jak usta kochanka, Rebeka czuła się równie odległa od córki, jak od gwiazd. Jakże może wysłać do Dusty list pełen ostrożnych, asekuranckich komunałów, skoro to ona ją zdradziła, ona uciekła?

Wyrwało jej się westchnienie i Toni je usłyszał. Odsunął krzesło, podszedł.

– Stało się coś? – zapytał.

Rebeka odsunęła na bok zapisaną kartkę.

– Nie mogę – powiedziała. – Nie napiszę tego listu. Położył się obok niej, przytulił jej głowę do piersi.

– Wiem, to piekielnie trudne.

Zaczął ją całować, powoli, najpierw czoło, potem policzki, jakby je pierwszy raz odkrywał. Nikt nigdy tak jej nie całował, nie pieścił jej tak tkliwie. Na pewno nie Damon. Wiedziała dobrze, że dla Toniego jest to zwykły sposób okazywania czułości. Weszło to już niejako w zwyczaj. Jak tysiąc drobiazgów, które urastają powoli w tkanę związku dwojga ludzi, małżeństwa. Z nimi było podobnie. Wspólnie przeżyty czas wiązał ich coraz bardziej.

Ten sam czas przecierał jednak powoli nić wiążącą ją z przeszłością, z córką.

Na tę myśl zwilgotniały jej oczy.

– No, no – powiedział Toni. Zabrzmiało to dziwnie po ojcowsku. – Wszystko przez to twoje dobre serce. Przestań się zamartwiać.

– Mam przestać się zamartwiać? – uzaliła się.

– Wszystko, co robisz, jest słuszne. To nie w twojej naturze zrobić cokolwiek złego, Rebeko. Dlatego tak cię kocham.

Zamilkli na chwilę.

– Więc dlaczego to zrobiłam? Dlaczego oboje... ?

– Bo nasze życie osobno było niedobre – powiedział. – Żyjąc osobno, bylibyśmy niepełni. Było to złe, ale dla naprawienia tego musieliśmy popełnić inne zło. Lecz i to zło naprawimy. Zawsze jest wyjście, kiedy ludzie się kochają.

Przygarnął ją mocniej.

– Nie rozpaczaj. Zobaczysz, że mam rację. Wszystko się w końcu ułoży.

Jak słodko było pozwolić się tak pocieszać. W tym, co mówił, kryła się nieprawda, ale tkwiła też prawda. Zrywając z wielkim kłamstwem swego życia, postawiła pierwszy krok. Nowa droga, na której właśnie się znalazła, dawała nową nadzieję – na szczerłość wobec siebie, na dobro, na miłość. Miłość jest z pewnością lepszą drogą do zbawienia niż życie w zakłamaniu i powolne zabijanie własnej duszy.

Jakże łatwo przyjmowała podobne argumenty. A przecież rozumowanie Toniego było czystą kazuistyką. Skoro już mowa o zbawieniu, to poza wszystkimi innymi Kościół wpoił jej jedną naukę – prawda bez miłosierdzia przestaje być prawdą, miłość, która rani bliźnich, nie jest już miłością.

Rzuciła okiem na list leżący obok niej na pościeli. Przycisnęła go przez nieuwagę, był zgnieciony.

– Wszystko to kłamstwo – powiedziała. – Nie potrafię napisać prawdy. To ponad moje siły.

– Napiszesz nowy list, Rebeko. Umiesz kochać, napiszesz o swojej miłości. I wyślesz.

Spojrzała mu w oczy.

– O, Boże! – powiedziała, po czym przyciągnęła Toniego do piersi.

Przyływ ich uczuć był nagły i gwałtowniejszy niż kiedykolwiek. Nie było w nim jednak pożądania, przynajmniej nie było z początku. Rebeka ścisnęła Toniego rozpaczliwie, jakby chciała wymazać cały otaczający świat. Jest taki silny, decyduje za nią. Wypełniła ciało jego niewinnością. Wystarczyło to, prawie wystarczyło, żeby zagłuszyć wszystko inne.

List, pognieciony, ogrzany przez spragnione siebie ciała, został w końcu ruchem ich namiętności wepchnięty między pościel. Rebeka przepisała go później, niemal słowo w słowo, Toni zaś ukończył swój list, skierowany również do Dusty. Zrobili dzisiaj początek. Jutro, pojutrze napiszą do innych. Toni do Delafieldów, Rebeka do Damona, potem do matki. Dzisiaj uczynili pierwszy krok. Po raz pierwszy odważyli się spojrzeć w przeszłość.

Przed obiadem Toni zniósł oba listy do skrzynki hotelowej.

– Poczta już wybrano, proszę pana – poinformował go recepcjonista. – Listy będą czekać do jutra.

– W porządku. – Toni się uśmiechnął. – Jutro to całkiem niedługo.

Recepcjonista zagłębił się w papierach. Dopiero kiedy Toni zniknął w windzie, odważył się rzucić spojrzenie mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie holu. Mężczyzna kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł.

## *Rozdział 11*

Burmistrz Lazare siedział za biurkiem, wodząc wzrokiem od Damona do trójki pozostałych mężczyzn.

– Musicie zrozumieć – perorował. – Bez względu na to, ilu jest tych facetów, musimy ich przekonać, jasne?

Najwyższy z mężczyzn, doradca specjalny gubernatora, pochylił się w stronę biurka.

– Panie burmistrzu, jeśli chce pan znać prawdę, to nie sądzę, żeby oni się upierali.

Burmistrz, zażywny mężczyzna, odchylił się gwałtownie w obrotowym fotelu, który wydał pisk protestu. Kilka miesięcy temu scena taka przywodziła mimowolny uśmiech na twarz Damona.

– Nie sądzi pan? – zapytał.

– Gubernator nie sądzi – odparł doradca. – To wszystko jego koledzy partyjni. Codziennie jest z nimi w kontakcie telefonicznym. Szczerze wątpię, żeby mieli zamiar wystąpić w tej sprawie przeciwko nam bez wiedzy gubernatora.

Burmistrz zakołysał się w fotelu, lustrując doradcę. Nie miał krzty zaufania do ludzi gubernatora. Od chwili wyboru gubernator zbijał kapitał polityczny na problemach finansowych miasta, dając mniej czy bardziej jawnie do zrozumienia, że prawdziwe talenty są w rządzie stanowym, w Albany, a Nowy Jork, jak był, tak jest skorumpowany i nie potrafi sobie przykrócić lejców.

W sprawie Hightower miasto i stan były jednak skazane na współdziałanie. Projekt nie mógł zostać zrealizowany bez pomocy



finansowej gubernatora, a w parlamencie stanowym większość miała jego partia. Dla burmistrza oznaczało to długie i pełne wzajemnych podejrzeń pertraktacje z człowiekiem, którego nienawidził bardziej niż kogokolwiek, może nie licząc prezydenta.

– Chwileczkę – powiedział Lazare, podnosząc słuchawkę wewnętrznego telefonu. – Phoebe, połącz mnie z gubernatorem.

Zapadła cisza. Czekając na połączenie, burmistrz wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Czekanie trochę nazbyt się przedłużało i na twarzy Lazare'a pojawiły się widoczne oznaki zniecierpliwienia.

– Ron! – wykrzyknął wreszcie i szeroki uśmiech rozjaśnił jego zwykle skrzywione rysy. – Cieszę się, że cię słyszę. Są tu u mnie Damon, Leo i inni. Rozmawiamy o twoich partyjnych kolegach...

Mężczyźni czekali, milcząc, podczas gdy burmistrz dyskutował jeszcze raz problem z gubernatorem. Był to mały afront w stosunku do Leo Coyla, jednego z najbliższych współpracowników gubernatora i jego specjalnego wysłannika w omawianej sprawie. Miało to również na celu zademonstrowanie, że Lazare może rozmawiać z gubernatorem, kiedy tylko zechce.

Do słabostek burmistrza należało popisywanie się władzą i autorytetem przed ludźmi mniej znacznymi. Miał wrodzoną potrzebę straszenia piórek wobec niżej stojących. Wynikało to z jego skromnego pochodzenia i braków w wykształceniu, nie wspominając już o wybujałym mniemaniu o sobie. W stosunkach z ludźmi gubernatora przechodził samego siebie, bo szczególnie na nerwy działały mu ich dyplomy z prestiżowych uczelni.

Niestety, jego zachowanie wywoływało efekt przeciwny zamierzonemu. Rubaszne poklepywania po ramieniu sprawiały, że robił

wrażenie małostkowego i niepewnego siebie. Im bardziej był wylewny, tym stawał się śmieszniejszy. Damon nauczył się ukrywać swoje reakcje na jego wyskoki, bo wiedział, jak bardzo Lazare jest czuły na swoim punkcie.

Rzecz zaskakującą było, że ten mało przekonujący człowiek umiał sobie tak zjednywać wyborców. Prywatnie szuja, w obecności kamer przemieniał się w nowego La Guardia.\* Miał dwóch totumfackich, po trosze także ochroniarzy, którzy nie odstępowali go na krok, wypatrując wszędzie reporterów. Dzięki nim żadna niedyskrecja o prywatnym życiu burmistrza nie przedostała się nigdy do mediów i mimo wielu publicznych wpadek, cieszył się on ciągle popularnością. Dlatego gubernator był zmuszony współpracować z nim przy projekcie Hightower, którego realizacja miała podnieść prestiż stanu, a który nie mógłby nigdy zostać zrealizowany bez pomocy burmistrza i jego ludzi.

*\* Fiorello La Guardia – to legendarny, charyzmatyczny burmistrz Nowego Jorku w latach 1933–1945*

Damon przyglądał się temu z rozbawieniem i ciekawością psychologa. Burmistrz zdawał się na swój sposób szczerze zafascynowany ludźmi, z którymi przyszło mu pertraktować, lecz ani na chwilę nie wątpił w swoją umiejętność manipulowania nimi. Zdarzało mu się często dzwonić do Damona późnym wieczorem, by dziwnie jęklwym głosem domagać się zapewnień co do szans projektu i rzucać coraz to nowe pomysły. Damon wyczuwał w nim w takich chwilach niemal dziecinną zależność emocjonalną, zdawałoby się obcą tak bezwzględnemu graczowi politycznemu.

Lazare był okazem prostackiej witalności, ze swoją czerwoną twarzą i zwalistym ciałem, szczerze mówiąc, nienajprzyjemniejszym do oglądania,

zwłaszcza po upalnym dniu pracy i tuzinie wypalonych cygar. Mimo to nie potrafiło mu się oprzeć wiele kobiet. Stanowił dla wszystkich zagadkę. Krył w sobie zbyt wiele sprzeczności jak na jednego człowieka. Może to właśnie, zastanawiał się Damon, jest warunkiem odniesienia sukcesu w życiu publicznym.

Zebranie zakończyło się pustymi obietnicami obu stron. Burmistrz nie wydawał się bardziej usatysfakcjonowany po telefonicznej rozmowie z gubernatorem, wysłannicy tego drugiego również byli zawiedzeni. Opuścili gabinet burmistrza jako pierwsi, potem Lazare odprawił swoich współpracowników, a Damona poprosił o pozostanie.

– Słyszałem o twoich kłopotach, Damon – zagadnął przyjacielskim tonem. – Bardzo ci współczuję.

Damon, który zdążył już wstać, przywołał uśmiech.

– Dziękuję, panie burmistrzu.

– Jak się trzyma Rebeka?

Lazare pochylił się w stronę Damona, na jego nalanej twarzy malowała się udana troska.

– Och, Rebeka jest twarda.

– To dobrze. Pozdrów ją ode mnie, jak będziesz z nią rozmawiał.

– Oczywiście, pozdrowię. Dziękuję.

– A co mówią lekarze? – pytał dalej burmistrz.

Damon pokręcił głową.

– Prognozy nie są zbyt pomyślne. Ale od dawna wiedzieliśmy, na czym stoimy.

Kłamstwa przychodziły mu z podwójnym trudem, gdyż w teczce miał faks, w którym Dick Hamlin zawiadamiał go, że odnalazł Rebeke i w czym

towarzystwie. Wiadomość wstrząsnęła Damonem. Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Burmistrz uniósł rękę, apelując do uwagi Damona. Czoło zmarszczył w namyśle. Szykuje się do palnięcia mówki, pomyślał Damon, paru okolicznościowych bon motów.

– Choroba i śmierć – zaczął burmistrz – to dwie rzeczy, które od nas nie zależą. Ale od nas zależy, jak im stawimy czoło, kiedy nadejdą. Po tym się poznaje prawdziwego mężczyznę. Kobiety zresztą też.

Zapadła krępująca cisza. Damon był zażenowany nie tylko „krasomówczym” popisem burmistrza, ale i fałszywą okazją, która go sprowokowała.

– Ale sam powiedziałaś, że Rebeka jest twarda. Z pewnością wiele jej zawdzięczasz – zakończył Lazare.

– To mało powiedziane! Dziękuję, burmistrzu.

– Jeśli mogę być w czymś pomocny, dzwoń o każdej porze.

Damon pożegnał się szybko i zjechał do czekającego samochodu. Spieszył się, żeby wpaść do Dicka Hamlina i dowiedzieć się czegoś bliższego, zanim będzie musiał wracać do firmy na zebranie wspólników. Nigdy w życiu nie był taki wściekły. Mógłby teraz zamordować Rebeke! A razem z nią burmistrza, jego sługusów i sługusów gubernatora!

W chwilę po wyjściu Damona, do gabinetu Lazare'a wsunął się sekretarz i stanął bez słowa przed ciężkim mahoniowym biurkiem.

Burmistrz, pogrążony w myślach, długo wyglądał przez okno, wreszcie obrócił się i zapytał:

– Co o tym myślisz?

– Nieźle jak na takiego adwokacine.

Lazare przytaknął bez słowa.

– Wiesz – odezwał się po chwili – widziałem Rebekeę parę razy. Nic nadzwyczajnego, wygląda, jakby nie potrafiła skrzywdzić muchy. A tu, no proszę! Rzucić takiego faceta jak Damon...

– Tak, proszę pana.

– Myślisz, że to z powodu Alison?

Burmistrz był po imieniu z Alison Shore. Znali się od lat. Wiedział oczywiście, jak wszyscy w radzie miejskiej, o jej wieloletnim romansie z Damonem.

– Tego nie wiemy, ale to mało prawdopodobne po tylu latach – odparł sekretarz. – Chyba że była jakaś kropla, która przepełniła kielich.

– Dowiedz się, ile możesz – polecił burmistrz. – i miej na niego oko. Taka rzecz może człowieka złamać. Nawet takiego twardego faceta, jak Damon. Na razie trzyma fason, ale niewykluczone, że już się chwieje na nogach. Nie chciałbym, żeby to miało wpływ na sprawę Hightower.

– Tak, proszę pana – przytaknął sekretarz.

## *Rozdział 12*

Koszttem wielu skomplikowanych manewrów Damonowi udało się wygospodarować czas na spędzenie weekendu z Alison w hotelu „Côte d'Azur”, który reklamował wprawdzie usługi uzdrowiskowe w mieście, ale był głównie wykorzystywany jako miejsce romantycznych spotkań sam na sam. Mieścił się na Manhattanie, otwarto go jednak niedawno, więc Damon liczył, że nie spotka tam znajomych. Nie miało to zresztą aż takiego znaczenia, bo wszyscy przecież i tak wiedzieli o jego romansie.

Długo prosił Alison, żeby zmieniła swoje plany i spędziła z nim ten weekend. Oprócz niej nie wspomniał dotąd żywej duszy o szokującej wiadomości, jaką otrzymał od Dicka Hamlina. Nie dość, że stawiało go to przed koniecznością dodatkowych zabiegów dla ukrycia kompromitującej prawdy, to z zaskoczeniem stwierdził, że ucieczka żony z kimś takim jak Toni Delafield dotknęła go boleśnie.

Łamał sobie głowę, jak powiedzieć o tym córce. W ich rozmowy wkradło się ostatnio napięcie. Dusty była chłodna i gniewna, podczas spotkań z nim przyjmowała kruchą pozę wesołości, po czym jej twarz zaciniała się nagle w twardym, oskarżycielskim wyrazie i zalegało głucho milczenie. Wbrew samemu sobie, Damon zasłonił się kilkakrotnie zobowiązaniami wobec burmistrza, żeby uniknąć spotkania z córką.

Wytworzona sytuacja sprawiała, że Damon musiał jej teraz służyć za jedyne źródło informacji i oparcie. Nie przychodziło mu to łatwo, bo nigdy nie żył z nią tak blisko, jak powinien. Zadanie „rozumienia” Dusty pozostawiał zawsze Rebecce. Teraz nie miał wyjścia, musiał się nią

zajmować. Wiedział, że straszna prawda o Tonim jeszcze pogorszy sytuację, może nawet nieodwracalnie.

Damon i Alison nie mieli całego weekendu dla siebie. Spotkali się w piątek dopiero o dziewiątej wieczór. Oboje musieli przedtem wziąć udział w oficjalnych przyjęciach – Alison w koktajlu wydanym przez lobbystów przemysłu tekstylnego na cześć senatorów, Damon w uroczystym raucie w Gracie Mansion. Pozostawała im piątkowa noc, cała sobota i niedzielny wieczór, przed którym każde z nich było umówione na służbowy obiad.

*\* Gracie Mansion – dziewiętnastowieczny dworek przy Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy na Manhattanie, zrekonstruowany w 1942 roku na oficjalną rezydencję burmistrza Nowego Jorku..*

Alison spodziewała się, co będzie głównym tematem ich rozmów. Wiedziała już o Rebecce i Tonim, bo Damon zadzwonił do niej z tą wiadomością zaraz z biura. Był wtedy w szoku. Rozumiała go. Od tygodni starał się pogodzić z myślą, że Rebeka go rzuciła, teraz zaś stanął w obliczu straszliwej prawdy, że uciekła z innym mężczyzną. I to z narzeczonym własnej córki! Było to tak zwariowane, tak niewiarygodne, że chyba nikt nie potrafiłby o tym spokojnie myśleć.

– W dalszym ciągu nie mogę w to uwierzyć – powiedział, kiedy odpoczywali po kolejnym seansie miłosnym. – To wprost niewiarygodne.

Alison popatrzyła na niego z uwagą. Choć jej twarz pozostała nieprzenikniona, pomyślała, jak bardzo Damon się zmienił. Coś jakby z niego uleciało. Równowaga, pewność siebie? Pozostał wciąż silny, opalony, bogaty, a mimo to nie był już tym mężczyzną co przedtem.

Zauważyła też odmianę w jego pieścizotach. Nie było w nich dawnej intymności, pojawiło się natomiast coś zastanawiająco nieporadnego, jakby desperackiego. No i wciąż chciał rozmawiać o Rebecce.

– Wiem, że się powtarzam, ale nie mogę w to wprost uwierzyć – mówił.

– Rzeczy trudne do uwierzenia także się zdarzają – zauważyła, sącąc brandy.

Jego gniew na Reбекę buchnął teraz płomieniem.

– Rozumiałbym, gdyby uciekła na jakiś czas, żeby mi dać nauczkę. Nawet gdyby uciekła na dobre. Ale zrobić coś takiego własnej córce! Uciec z jej narzeczoną... To... To nie do wiary!

Alison milczała.

– Zwaliła wszystko na moją głowę! – wykrzykiwał tymczasem Damon. – Uciekła z narzeczoną Dusty i ja, właśnie ja, muszę teraz trzymać dziewczynę za rączkę! Nie mogła wybrać lepszej broni, żeby nam obojgu zaleźć za skórę.

Alison wciąż milczała. Pomyślała, że sam sobie nie zdając sprawy, Damon prawdopodobnie dotknął jakiejś istotnej prawdy o Rebecce.

– A już zupełnie nie do pojęcia jest – perorował dalej – że udało jej się uwieść tego chłopca. Tego nigdy nie zrozumiem. Rebeka nie jest już przecież młódką.

Damon zacisnął usta. Pomyślał nagle o Irene. Kiedy zakomunikował jej o ucieczce Rebeki i zaapelował o pomoc w ukryciu prawdy, nie wyczuł w głosie teściowej oburzenia, lecz raczej coś w rodzaju podziwu dla postętku córki.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że jest do tego zdolna – powiedziała chłodno, z namysłem.



W jej głosie pobrzmiwała nutka pogardy dla Damona. W końcu miała za sobą dwa małżeństwa i zdrady nie były jej obce, uważała jednak Rebeke za kobietę innego pokroju. Ucieczka córki zaskoczyła ją, ale – jak wyczuł Damon – bardziej ubawiła, niż oburzyła.

Odsunął od siebie nieprzyjemne myśli o Irene i zwrócił spojrzenie ku Alison.

– Dobry Boże – powiedział z przekąsem – Rebeka mogłaby być przecież jego matką...

Alison odstawiła kieliszek na nocny stolik. Lekkie zniecierpliwienie w jej geście uszło uwagi Damona.

– Może to go właśnie pociąga – zauważyła chłodno.

Damon potrząsnął głową.

– Nie do wiary, wprost nie do wiary. Alison westchnęła.

– Nie jest tak bardzo nie do wiary, skoro się wydarzyło.

Popatrzył na nią niepewnie. Czuł, że czymś ją zirytował. Nie zdawał sobie sprawy, że od kilku dni powtarza w kółko, jakie to wszystko jest „nie do wiary”. Był tak pochłonięty sobą, że nic do niego nie docierało.

Dotknął go teraz dystans Alison. Uważał, że powinna mu być oparciem w krytycznej sytuacji.

– W dalszym ciągu nie mieści mi się w głowie, że mogła się na coś takiego zdobyć – powtórzył wyzywająco.

– Cóż, mój drogi, może kryła w sobie więcej, niż byłeś skłonny przypuszczać.

W jej głosie zabrzmiała wyraźna nutka sarkazmu.

– Coś ty powiedziała?

Uniósł się, żeby spojrzeć jej w oczy. Alison się zastanawiała. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się.

– Mówię – podjęła – że jeśli uciekła, choć uważałeś, że nie jest do tego zdolna, to o czymś to świadczy. Jest w niej coś, o czym nie miałeś pojęcia. Zaskoczyła cię. To nie może być przypadek.

Damon milczał. Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Ponadto, jeśli uciekła z chłopakiem córki – ciągnęła Alison – skoro zdobyła się na rzecz, którą ty nadal uważasz za niepodobną do niej, to też coś o niej mówi. A także o tym, co ty o niej wiesz, a czego nie wiesz.

Damon poczerwieniał, zirytowany jej mentorskim tonem.

– Twierdzisz, że powinienem był o niej wiedzieć więcej, niż wiedziałem? Powinienem był podejrzewać, że moja żona jest zdolna do wykręcenia takiego numeru? Niby dlaczego? Żeby się jakoś przed tym zabezpieczyć?

Mój Boże, Alison! Gdybym podejrzewał, że może coś takiego zrobić, dawno bym się z nią rozwiódł. W ogóle bym się z nią nie ożenił.

– Może wtedy nie była do tego zdolna – powiedziała, strząsając popiół z papierosa.

– Bierzesz jej stronę?

– Stwierdzam tylko oczywiste fakty. Okazuje się, że nie jest kobietą, za jaką ją miałeś. To coś mówi o waszym małżeństwie, mój drogi. Żyłeś w tym związku, nie wiedząc najistotniejszej rzeczy o własnej żonie. Uczyniła teraz coś nader zaskakującego. Powinno ci to otworzyć oczy.

Damon patrzył na nią zimno.

– Nie rozumiem.

Alison wzruszyła ramionami.

– Znamy się od lat, Damon. Zawsze byłeś ze mną szczery. Nigdy nie udawałeś, że wasz związek jest specjalnie czuły, że obchodzą cię uczucia

żony. Rusz głową. Zbierasz po prostu plon. Oboje z Rebeką zbieracie plon, powinnam pewnie powiedzieć.

Damon starał się pojąć rozumowanie Alison. Jej słowa brzmiały niby prawdą, nie uważał jednak, żeby to on miał sobie coś do zarzucenia. W końcu to Rebeka od niego uciekła. Najbardziej jednak buntował się przeciw sugestii, jakoby Rebeka kryła w sobie jakieś głębie, o których on nie miał pojęcia. Jeżeli nie miał o czymś pojęcia, nie mogło to być ważne.

– Dlatego właśnie nigdy nie wyszłam za mąż – powiedziała Alison. – Małżeństwo to zbyt ograniczający związek. Zdaje ci się, że znasz tę drugą osobę, ale im dłużej jesteście razem, tym mniej o sobie wiecie. Wykorzystujecie siebie nawzajem, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa, ciepłe ciało do przytulania się po całym dniu pracy. Ale wykorzystywanie wyklucza prawdziwą znajomość.

Zdawała się zadowolona z siebie jak kotka. Wydmuchnęła dym, który zawirował i wzniósł się koło jej głowy.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – prychnął Damon.

– Pewnie masz rację – odparła, gasząc papierosa. – Nigdy nie wyszłam za mąż. Ma to swoje dobre i złe strony, prawda?

Wstała z łóżka, zmierzyła go wzrokiem. W jej postawie było coś majestatycznego, Damon zauważył jednak, że ma trochę przywiedły biust, fałdy na biodrach. Mimo usilnych zabiegów o zachowanie jędrności ciała.

– Z jednej strony – ciągnęła dalej – nikt mi nie funduje bużki, kiedy wracam z pracy. Z drugiej, mam spokój, kiedy chcę być sama. Nie muszę być czyjś dozgonnym podnóżkiem. Należę tylko do siebie.

Po tych słowach zniknęła w łazience. Damon leżał, patrząc w sufit. Był zły na nią i na siebie. Czuł, co się kroi, i nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. Alison go zirytowała, ujmując się za Rebeką i robiąc małosłowne

uwagi pod jego adresem. Jedna podstarzała baba wstawia się za drugą przeciwko mężczyźnie, myślał. Dzisiejsze kobiety mają zwyczaj zmawiać się na mężczyzn, zwać na nich winę za własne problemy.

Westchnął. Nie mógł powstrzymać napływu krytycznych myśli. Alison jest inteligentna, prawda, ale nie aż taka, za jaką się uważa. Co więcej, jej wyobrażenia o sobie przerastają już zdecydowanie jej urodę. Jej powaby się przeżyły.

Wyszła z łazienki ubrana, ze spakowaną torbą podróżną.

– Alison, zaczekaj – powiedział, myśląc o kolejnym samotnym weekendzie. Tego wieczoru kochał się z nią po raz pierwszy od tygodnia. Zaostrzyło to tylko jego apetyt. – Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana – dodał bez przekonania.

Alison odgarnęła włosy z czoła. Starzeje się, fakt, pomyślał, ale ma wciąż klasę. W tej chwili, z błyskiem ironii w oczach, wyglądała wspaniale.

– Jako dziewczyna byłam w gorącej wodzie kąpana – odparła. – Ale już nie teraz. My, kobiety dojrzałe, mimo wielu różnic mamy jedną wspólną cechę: dobrze wiemy, co robimy.

## *Rozdział 13*

*Wierz mi, że sprawienie ci bólu było ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył. W życiu bywa jednak różnie. To, co się ze mną stało, może Ci się wydawać nagłe i niespodziewane, ale faktem jest, że narastało we mnie latami. Jeśli zrozumiesz to, zrozumiesz może też, że kiedy nadeszło, nie mogłem w żaden sposób powstrzymać biegu wydarzeń. Było za późno.*

*To wyznanie może Cię jeszcze bardziej zaboli, ale naprawdę kocham Cię nadal i nie przestanę Cię nigdy kochać. Jesteś wspaniałym człowiekiem, wyjątkową osobą, i gdziekolwiek będę, taka pozostaniesz na zawsze w moim sercu.*

*Czuję, że to, co zrobiłem, to w jakiś szczególny, skomplikowany sposób jeszcze jeden dowód mojej miłości do Ciebie. Pewnie mnie znienawidzisz za te słowa, ale tak właśnie czuję.*

*Wybacz mi, Dusty, jeśli możesz. Żyj i bądź szczęśliwa. I staraj się to wszystko puścić w niepamięć.*

Dusty położyła list na kolanach. Dziwne, ale nawet nie drżały jej ręce. Czytała go po wielekroć, za każdym razem z większą rezerwą, z większą obojętnością analizując dobór słów.

W drzwiach stanęła jej współlokatorka, Brit.

– Stało się coś?

Dusty starannie złożyła list na pół.

– Nic, dostałam list. A co u ciebie?

Brit oparła się o komodę. Była nieco przytęgą dziewczyną o ładnej buzi i wesołym usposobieniu. Kręciło się wokół niej zawsze mnóstwo

chłopców i Dusty podejrzewała, że prowadzi bujne życie erotyczne. Często wracała późno albo w ogóle nie wracała na noc.

– Posłuchaj. Wybieramy się z Susie i Jane na imprezę. Może pójdziesz z nami. Dostatecznie długo kisisz się w tym pokoju.

Dusty stuknęła kantem listu o biurko. Odkąd nadeszły listy od Toniego i od matki, wychodziła tylko na wykłady i na obiady z ojcem. Minęły od tej pory prawie dwa tygodnie. Może wystarczy tej żałoby?

– Dobra. O której idziecie?

– Po kolacji. Nie ma pośpiechu. Jane zadzwoni koło ósmej.

– Super.

– Pomożesz mi w kuchni? Robię zapiekankę ziemniaczaną.

– Pomyślę. Nie wiem, czy będę dziś jadła kolację.

Brit zerknęła domyślnie na list.

– Od Toniego? – zainteresowała się.

Dusty pokręciła głową.

– Nie, rodzinne sprawy.

Powiedziała Brit o zniknięciu Toniego kilka dni wcześniej. Brit była jedyną koleżanką, której mogła się zwierzyć z takiej sprawy. Wiedziała, że może polegać na jej dyskrecji. Mimo to nie było mowy o powiedzeniu jej czy komukolwiek innemu całej prawdy, którą Dusty właśnie poznała. Brit wiedziała jedynie, że przyjaciółka została rzucona przez chłopaka, z tą dodatkową komplikacją, że chłopak gdzieś przepadł.

Dusty cierpiała nad ograniczeniem, które na nią nakładała sytuacja. Musiała w sobie dusić ból, nie mogła się tak jak kiedyś zwierzyć koleżankom. Nie zniosłaby świadomości, że wiedzą o jej hańbie, rozmawiają o tym za jej plecami.

Odepchnęła te myśli, schowała list Toniego do szuflady.

– A, zapomniałabym ci powiedzieć – zawołała Brit od drzwi. – Dzwonił twój ojciec. Prosi, żebyś oddzwoniła. Mówił coś o kolacji jutro na mieście.

– Dobra, dzięki.

– To do wieczora.

– Do wieczora.

Brit zamknęła za sobą cicho drzwi. Jeśli po twarzy Dusty domyśliła się wagi listu, ciche zamknięcie drzwi mogło być tego wyrazem. Cóż, Dusty nigdy nie umiała ukrywać swoich uczuć. Znajomi mówili, że nosi serce na dłoni.

Otworzyła szufladę i wyjęła list od matki. Rozchyliła kopertę i zerknęła, jak dziecko zerka przez szparkę w drzwiach.

„Jesteś ze mną w każdej sekundzie i cokolwiek się stanie, wiedz, że mnie nie utraciłaś. ”

Rozchyliła szerzej kopertę i przeczytała jeszcze kawałek. Potem, z lekkim drzeniem, wyjęła z kopert list od matki i list od Toniego i położyła je obok siebie. Porównała fatalistyczny ton usprawiedliwień, mdłe zapewnienia miłości. Niektóre sformułowania były niemal identyczne.

Język zdrady zawsze jest podobny, pomyślała.

Papeteria też była taka sama. Czyste białe kartki tego samego formatu. Listy nadeszły razem, znaczki i pieczętki były jednakowe. A jednak żadne z nich nie wspomniało drugiego. Co za dziecinny kamuflaż! A może to dyskrecja albo delikatność? Nie mogą otwarcie zaprzeczyć strasznej prawdzie, więc piszą listy pełne pustych wymówek, jej pozostawiając wyciągnięcie wniosków.

Położyła listy jeden na drugim. Drobne pismo matki zniknęło pod większym i wyraźniejszym pismem Toniego. Złożyła kartki tak, że wyglądały jak jeden dwustronicowy list.

Poszła z tym do łazienki, przykucnęła nad muszlą klozetową i zanurzyła dłonie z listami głęboko w wodzie. Woda, zaskakująco lodowata, szybko rozmiękczała tani papier. Dusty zaczęła go drzeć.

„... zranić cię... ”

„... zawsze kochać... ”

„... wybacz... ”

Słowa unosiły się teraz na wodzie, rozmazywały na mokrym papierze. Kiedy wyjęła ręce z wody, kilka skrawków przyłgnęło do wilgotnej skóry. Strząsnęła je, spuściła wodę i patrzyła, jak wirujące strzępy znikają jeden po drugim.

Potem zadzwoniła do ojca, żeby przyjąć zaproszenie na jutrzejszą kolację. Musiała zostawić wiadomość sekretarce, bo Damon Lowell miał oczywiście jakieś ważne zebranie.

Kiedy po godzinie wróciła Brit, Dusty postanowiła pomóc jej w gotowaniu. Żartowały przy tym jak zwykle i Brit odniosła wrażenie, że Dusty jest jakby pogodniejsza niż w ostatnich tygodniach. Ostatnio wyglądała tak, jakby umarł jej ktoś bliski. Brit rozumiała dlaczego. Wiedziała o jej zażyłości z Tonim, Dusty zwierzyła jej się nawet, że planowali ślub na wiosnę.

Przed pójściem na imprezę, Dusty spędziła godzinę nad książkami. Przed samym wyjściem zdecydowała się włożyć ulubioną bluzkę z czesanej bawełny, z indyjskim wzorem na aplikacji – ostatni prezent urodzinowy od matki.



Spotkały się z Susan i Jane i we cztery poszły do domu kolegi Jane, doktoranta teatrologii. Był tam tłum ludzi, których żadna z nich nie знаła – starsi studenci, doktoranci, asystenci, adiunkci i kilku profesorów, których od pozostałych gości odróżniały brzuszki, siwe włosy i powściągliwe zachowanie.

Grała muzyka, nie brakowało wina, w sypialni z tyłu palono marihuanę. Panował hałas, ale zabawa jakoś się nie kleiła. Dusty odnosiła wrażenie, że wszyscy ci ludzie mają za sobą niejedne wspólne szaleństwa, teraz jednak bez powodzenia usiłują wskrzesić ich ducha.

Poznała kilka dziewczyn z teatrologii, które wydały jej się ciekawe, choć trochę zbyt pewne siebie. Rozmawiała też z trzema czy czterema studentami, którzy przez krótki czas zdawali się nią interesować, po czym odpływali do swojej paczki.

Koło jedenastej ktoś przedstawił jej mężczyznę po trzydziestce, który był adiunktem na innym uniwersytecie, a tutaj przyjechał do kolegi. Zapytał ją, czyby nie zapaliła trawki, ale powiedziała, że nie. Nie chce mieć kaca, poza tym czeka ją jutro egzamin.

Mężczyzna był dość wysoki, łysiał od czubka głowy, miał rudawe włosy i długie palce o brudnych paznokciach. Rozmawiali trochę o sztuce, potem o polityce. Należał do czegoś tam i nienawidził wszystkiego, co ma związek z rządem stanowym. Twierdził, że zmiany nie mogą zostać zapoczątkowane przez ludzi uprawiających politykę na tym szczeblu. Przypomniła jej się ojciec, zaangażowany po uszy w politykę, ale nic nie powiedziała. Dopiła kieliszek wina i poprosiła o następny.

Mężczyzna zapytał, czyby z nim nie wyszła, a ona się zgodziła. Szli razem pustą ulicą, przyjemny zapach jesiennych liści mieszał się z

zapachem spalin i restauracji. Mężczyzna trzymał rękę na jej ramieniu. Nie rozmawiali.

Zatrzymał się przy starym domku o fasadzie z piaskowca. Weszli przez frontowe drzwi. W salonie na parterze grała telewizja, ale mężczyzna od razu ruszył po schodach na górę. Było tam parę pokoi, poprowadził ją do tylnego.

Miała nadzieję, że zaproponuje jej coś do picia, chętnie by się jeszcze napiła wina. Ale nie zaproponował. Staął za nią i zaczął przez bluzkę masować jej piersi. Potem zadarł jej spódnicę i wszedł w nią.

Czuła się głupio i niezręcznie, bo nie miała się o co oprzeć, ale jemu wyraźnie odpowiadała ta pozycja. Wbijał się w nią przez jakiś czas, przyciągając dłońmi jej biodra, aż zakończył serią silnych sapliwych pchnięć.

Dusty poszła do łazienki. Kiedy wyszła, leżał w łóżku i czytał książkę. Zapytał, czy chce się położyć. Położyła się obok niego, przekonana, że będzie chciał ją ponownie wziąć, ale on wrócił do swojej lektury. Po paru minutach zgasił światło.

Zasnęła, a kiedy się obudziła, zegar wskazywał za dwadzieścia czwartą. Profesorek pochrapywał. Ubrała się i wyszła z pogrążonego teraz w ciemnościach domu. Nie знаła tej ulicy, lecz szybko odnalazła drogę. Kwadrans po czwartej leżała we własnym łóżku. Nie wzięła nawet prysznicu.

Jedyną rzeczą, jaką pamiętała, była muszla klozetowa i wirujące w niej rozmokłe strzępki listów. Wydawało jej się, że czuje w ustach smak klozetowej wody.

Zasnęła. Po raz pierwszy od dwóch tygodni spała twardo. Zbudziła się dopiero o jedenastej, kiedy to Brit przerwała jej sen, żeby przypomnieć o egzaminie.

# ***CZEŚĆ DRUGA***

## *Rozdział 14*

– Jakie masz grzechy do wyznania, córko?

Rebeka milczała. Z ławek dochodziły przyciszone głosy wiernych, pobożne szepty, suchy stukot przesuwanych paciorków różańca.

– Jakie masz grzechy do wyznania? – powoli pytanie ksiądz.

– Nie mogę tego powiedzieć, ojciec.

Cisza. Ksiądz wyczuł w jej głosie skruchę, ale w jej nagłym zamknięciu krył się jakiś niezrozumiały opór, niemal bunt,

– Musisz wyznać grzechy, córko.

– Wiem, ojciec.

Nie odzywała się jednak. Ksiądz czuł, że toczy się w niej walka między pokorą a czymś, czego nie chciałby pochopnie nazwać pychą.

– Bóg odpuszcza tym, którzy żałują za grzechy.

– Tak, ojciec.

– Przeciw komu zgrzeszyłaś?

Długa cisza, potem ledwie słyszalna odpowiedź:

– Przeciw wszystkim. – I po chwili: – Przeciw wszystkiemu.

– Nie ma grzechu nie do odkupienia. Bóg jest miłosierny. – Ksiądz wyraźnie starał jej się pomóc. – Pomyśl o pokoju, jakiego zaznasz po spowiedzi. Rebeka milczała.

– Jeśli się nie wyśpiewasz, twoja udreka będzie rosła z każdym dniem. Odmawiając wyznania win, zamykasz przed sobą bramy niebios. Wyznaj, co ci leży na sercu. Póki nie jest za późno.

Rebeka wciąż milczała. Ksiądz, świadek różnych form milczenia, czuł, że jej milczenie jest karą, którą sama sobie wymierza, swoistym samopotępieniem.

Usłyszał szmer jej płaszcza o konfesjonał.

– Wybacz, ojciec – powiedziała. Po czym odeszła.

Grace Island spowite było jak zwykle poranną mgłą, oblepiającą domy, słupy, latarnie uliczne. Toniemu zdawało się, że mgła przenika mu do mózgu, przesłania widzenie, zaciemnia jasność myśli. Myśli równie dziwnych, jak to obce miasto.

Nie informując Rebeki, umówił się rano z personalnym renomowanej miejscowej firmy adwokackiej. Powiedział jej, że ma coś do załatwienia, a ona może chciałaby się w tym czasie wybrać na zakupy.

Postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zamierzał udowodnić Rebecce, że potrafi się o nią troszczyć, że ich związek nie jest ucieczką od realnego świata, a przeciwnie, krokiem w nowy świat. Oznaczało to znalezienie pracy, zapoczątkowanie jakiejś kariery.

Rozmowa w sprawie zatrudnienia wypadła niepomyślnie. Pomimo chlubnych świadectw z college'u, świetnych wyników na egzaminie wstępnym na prawo i wysokich ocen z pierwszego roku studiów podyplomowych, personalny, z którym rozmawiał, nie robił mu większych nadziei.

– Proszę pamiętać, że jest pan w Kanadzie – mówił. – Angażujemy tylko stażystów z kanadyjskich uczelni. To samo dotyczy absolwentów ubiegających się o aplikanturę. Musiałby pan zdać kanadyjski egzamin adwokacki. Pana amerykańskie osiągnięcia są imponujące, ale tutaj się nie liczą.

– Co by mi pan radził? – spytał Toni.

– Wrócić do Stanów i ukończyć studia. Szkoda byłoby zmarnować ten rok. Potem, jeśli pan się nie rozmyśli, może pan zdać egzamin kanadyjski i rozpocząć tutaj praktykę.

Mówiąc to, uniósł brwi ze zdziwieniem, że ktoś z takimi możliwościami chce się przenieść ze Stanów do Kanady.

Toni podziękował i wyszedł. Wracając do hotelu, myślał, że ulice Grace Island sprawiają dziś wyjątkowo nierealne wrażenie. W jednej chwili mgła wisiała jak bury koc między budynkami, tak że widział przed sobą ledwie kilka metrów chodnika. W następnej zaskakiwał go widok dziewczyny wygrzewającej się w snopie słońca na skwerze, z kurtką rzuconą obok na ławkę.

Grace Island to osobny świat, którego mieszkańcy znają tutejsze anomalie i możliwości. On i Rebeka są tu obcy. Traktowali to miejsce jako chwilowe schronienie, teraz on postanowił uczynić je domem, miejscem do życia. Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem.

Czymś gorszym niż niepowodzenie. Rzecznik miejscowej firmy adwokackiej, pan Blount, wskazał bezwiednie palcem ważną sieć znajomości i wpływów, której Toni nieopatrznie się wyrzekł, przyjeżdżając do Kanady. Jego ojca znali wszyscy liczący się profesorowie Uniwersytetu Columbia. Mecenas Delafield nie musiał nawet pisać listów polecających dla syna ani prosić o nie swoich kolegów adwokatów. Przyjęcie Toniego na Columbię było sprawą z góry przesądzoną.

Profesorowie, którzy okazywali Toniemu taką życzliwość i pomoc na pierwszym roku, byli bez wyjątku dobrymi znajomymi jego ojca. Dwu z nich brało aktualnie udział w sprawach prowadzonych przez jego firmę, trzeci był wręcz współnikiem.

Tak więc drogę do świetnej kariery prawnej miał Toni od początku wymoszczoną przez renomę i wpływy ojca. Wpływy te rozciągały się jednak tylko na pewne kręgi. Uciekając z ich zasięgu, odżegnując się od nich, Toni podciął swoje korzenie. Tutaj nic mu pozycja ojca nie mogła pomóc.

Jest w tym kraju rozbitkiem na obcym brzegu, inteligentnym młodym człowiekiem bez perspektyw. Podczas gdy na swoim terenie był inteligentnym młodym człowiekiem o nieograniczonych możliwościach.

Trudno, pocieszał się, musi sobie jakoś radzić. Nie zrezygnuje przecież z Rebeki. Dokonał wyboru.

Przyspieszył kroku. Owładnęło nim przykre uczucie, że jest dzieckiem zagubionym w obcym mieście, pędzącym do domu, żeby znaleźć pociechę i ciepło w ramionach bliskich. Musiał się czym prędzej ogrzać przy Rebecce.

Ale Rebeki nie było, kiedy wrócił do hotelu. Spojrzał na zegar: wpół do dwunastej. Byli umówieni na lunch. Bardzo jej potrzebował.

Siedział kilka minut, wpatrzony we wskazówki zegara, potem wstał i zaczął krążyć po pokoju. Starał się odwrócić myśli od porannego zawodu, skierować je na inne ewentualności, inne plany. Ale nie mógł się skupić.

Zdjął marynarkę, powiesił ją obok innych ubrań. Zauważył swoją walizkę, zbierającą teraz kurz na dnie szafy, i jej widok przypomniał mu, skąd przybył i co pozostawił. Zdjął krawat, powiesił go na wieszaku. Potem zdjął buty i postawił je w szafie.

Przyszło mu do głowy, żeby się rozebrać i powitać Rebeke nago. To go podnieciło. Palce drżały mu lekko, kiedy rozpinał koszulę. Potem odsunął zamek błyskawiczny i spodnie opadły na podłogę. Wyobraził sobie Rebeke rozbierającą się, gdy tylko wróci do domu, i jego oddech



gwałtownie przyspieszył. Prawie czuł jej jedwabistą skórę, widział jej uśmiech, kiedy go przytula do piersi.

Rozebrał się zupełnie i wsunął do łóżka. Wydawało mu się, że czeka wieki. Patrzył, jak wskazówki się przesuwają z jedenastej czterdzieści na jedenastą czterdzieści pięć. Rebeka się spóźnia. Co się z nią dzieje?

Poczuł głód. Miał przykry ranek, nie jadł śniadania. Zaczęły ze sobą rywalizować dwie potrzeby jego ciała, tak jak dwa toki myśli konkurowały o władzę nad jego umysłem. Już chciał wstać, ale ostatecznie pozostał w łóżku.

Wreszcie w zamku zazgrzytał klucz i do pokoju weszła Rebeka.

Zrobiła wielkie oczy, ujrawszy go leżącego, ale się nie uśmiechnęła. Sprawiała wrażenie wzburzonej.

– Co tak późno? – spytał łagodnie. – Gdzie tak długo byłaś?

– Och, na zakupach. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Jak ci minął ranek?

– Niespecjalnie.

Jego podniecenie wzmogło się na widok jej schludnego stroju i lekko zaaferowanego wyrazu twarzy. Przez niemal godzinę marzył o tym, że są już razem, nago, że zanurza się w jej ciepłe.

– A tobie? – spytał.

– Dobrze.

– Chodź już.

Wyciągnął do niej rękę. Rebeka odłożyła torebkę i stała, patrząc na niego. Wahala się. Wreszcie zdjęła ostrożnie pantofle i usiadła na brzegu łóżka. Miała zaczerwienione oczy.

– Płakałaś – powiedział. – Czemu?

Przyciągnął jej twarz, Rebeka nerwowo gładziła jego policzki, całowała czoło.

– Stało się coś, Rebeko. Co? Powiedz mi.

W jego głosie brzmiał kojący ojcowski ton, do którego się uciekał, ilekroć chciał ją uspokoić, pocieszyć. Uśmiechnęła się słabo.

– Lubię, kiedy wymawiasz moje imię.

Toni ujął jej dłonie.

– Powiedz mi.

Rebeka westchnęła.

– Byłam w kościele. Poszłam do spowiedzi.

Zaskoczyło go to. Trzymał jej dłonie jeszcze chwilę, potem je puścił.

– Do spowiedzi? – powtórzył, jakby słyszał to słowo pierwszy raz w życiu.

Rebeka przytaknęła.

– Co ci wpadło do głowy, żeby iść do spowiedzi?

– Trudno to wyjaśnić.

– Kiedy ostatni raz się spowiadałaś?

Roześmiała się cicho.

– Dawno temu.

– A teraz poszłaś?

Przypatrywał jej się uważnie.

– Teraz poszłam.

Pożądanie opuściło go nagle, przemieniło się w coś innego. Poczł się głupio, nagi w łóżku. To, co usłyszał, stawiało wszystko w odmiennym świetle. Rebeka, czując jego zaskoczenie, pocałowała go w usta.

– Nie masz powodu do niepokoju – powiedziała.

Toni był jednak zaniepokojony. Podniósł się na łóżku, założył ręce za głowę i przyglądał jej się uważnie.

– Powinnaś mnie była uprzedzić.

– Może i powinnam. Ale tego nie zrobiłam, nie wiem, dlaczego. Nie wydawało mi się to... właściwe.

– Bo to twoja prywatna sprawa, tak?

W jego głosie brzmiała uraza.

– Tak, prywatna – potwierdziła. – Chyba dlatego. Widzisz, nie chciałam cię czymś takim niepokoić.

– Niepokoić? Przecież wiesz, że ważne jest dla mnie wszystko, co się dzieje w twoim sercu.

– Niech Bóg cię za to błogosławi.

Znów go pocałowała, ale Toni czuł, że nie będą się teraz kochać. Zupełnie niespodziewanie wyrosła między nimi jakaś bariera.

– Prawdę mówiąc... tak, niepokoi mnie to – powiedział.

– Nie powinno cię niepokoić, kochanie

Próbowała zbagatelizować sprawę, przedstawić akt spowiedzi jako rytuał bez znaczenia. Ale było na to za późno. Sama przed chwilą przyznała, że to jej pierwsza spowiedź od lat.

– To z czego się właściwie spowiadałaś? – zapytał.

Odwróciła głowę. Chciała mu wyznać prawdę, że się nie zdobyła na spowiedź, ale coś ją powstrzymało.

– Powiedziałaś księdzu o nas, tak?

Wciąż trzymał ręce założone za głowę. Milczała. Oczy miała zamglone.

– Cóż jest takiego w naszym związku, że musiałaś z tym iść do spowiedzi?

W jego ojcowski ton wkradła się teraz inkwizytorska nutka.

– Och, Toni, nie zrozum mnie źle. Nigdy bym nie pomyślała nic złego o nas. Nie mamy za co przepraszać, z czego się usprawiedliwiać... To co innego. Coś, co musiałam zrobić.

– Czemu?

Westchnęła.

– Proszę cię, kochanie, nie magluj mnie o to. Postaraj się zrozumieć.

Ale Toni nie rozumiał.

Zastanawiał się nad swoimi uczuciami. Bolało go, że Rebeka zachowała dla siebie swoje najskrytsze myśli, myśli takiej dla niego wagi. Ponadto był dotknięty, że zamiast jemu wyznała je komuś obcemu, jakiemuś księdzu. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że rozmawiała z kimś trzecim, z jakimś intruzem, o nim, o ich miłości, o ich wspólnym życiu.

– Co mam zrozumieć? Że spowiedź to twoja sprawa? Usiadł wyżej, uniósł kolana. Stanowiły teraz coś w rodzaju zapory pomiędzy nimi.

– No, niezupełnie. – Posłała mu uśmiech. – Wszystko, co mnie dotyczy, dotyczy i ciebie. Dlatego ci powiedziałam. Ale zrozum, Toni, ta sprawa jest inna. Gdybyś wychował się w moim środowisku, tobyś rozumiał.

– Co rozumiał?

Zmarszczyła brwi, starając się znaleźć odpowiednie słowa, właściwe argumenty. Nie zastanawiała się nad tym dotąd. Czuła się osaczona.

– Wyznanie księdzu, co nas łączy, nie oznacza wcale, że neguję nasz związek. Przeciwnie. W pewnym sensie chciałam go...

– ...zalegalizować? – spytał z uśmiechem.

– Tak, zalegalizować. W jakimś sensie.

Roześmiała się. Nic przecież nie uczyniła. W krytycznym momencie nie mogła wykrztusić słowa. Teraz było za późno, żeby się do tego przyznać.

Toni się zastanowił.

– A jednak była to spowiedź. Nie radosne oświadczenie, prawda?

Rebeka westchnęła.

– Było to przyznanie, że jestem ułomną istotą.

I oświadczenie, że niczego nie żałuję.

Toni się odwrócił. Za oknem wciąż wisiała gęsta mgła, kłębiła się bezgłośnie w chłodnym powietrzu. Przyzwyczajali się zostawiać odsłonięte firanki, nawet kiedy się kochali, bo mgła otulała wszystko gęstym płaszczem. Była jak chmura, która skrywa i chroni parę kochanków. Ale teraz ich intymność gdzieś się rozplynęła.

– No i co takiego powiedział ci ten ksiądz, ten twój ojciec duchowy?

Rebeka pobladła.

– Toni, czy nie moglibyśmy o tym zapomnieć?

– Czy chcesz powiedzieć, że powinno to pozostać między nim a tobą?

– Hm, tak – westchnęła. – Posłuchaj, Toni, musisz zrozumieć, że dla katolika ksiądz jest kimś szczególnym. Nie znaczy to, że moje serce nie należy do ciebie. Po prostu ja jako ja decyduję się dzielić swoimi poczynaniami z Bogiem.

– I co ci powiedział ten twój Bóg?

Dotknięta jego sarkazmem, wahała się przez ułamek sekundy.

– Nic – odrzekła w końcu.

Toni wciąż patrzył w okno.

– Coś mi taka odpowiedź nie pasuje do Boga – oświadczył. – Nie powiedział ci, że zgrzeszyłaś?

– Och, Toni...

– A co ci powiedział o mnie? Że ja też jestem grzesznikiem?

Rebeka oparła obie ręce na jego piersi w słabym geście protestu.

– Och, kochany, jakże mógłbyś być grzesznikiem? Jesteś taki młody...

Toni nie dawał się udobruchać.

– A jednak wyznałaś Bogu, co ze mną robisz. Jak to rzutuje na mnie?

Rebeka znów zaczęła się tłumaczyć, jeszcze bardziej nerwowo i nieskładnie. Chciała go przekonać, że spowiedź była potwierdzeniem ich miłości, lecz im więcej mówiła, tym bardziej Toni zamykał się w sobie. Mogła niemal czytać w jego myślach. Winił siebie, że to on ją doprowadził do kryzysu duchowego. Był także zazdrosny o jej wiarę, zazdrosny o księdza, któremu o nim opowiedziała, wreszcie o Boga, surowego ojca, który poznał jej najskrytsze myśli, zanim mógł je poznać on, Toni, jej mężczyzna.

Tyle że tej spowiedzi w istocie nie było. Rzecz, o której dyskutują, nie miała w ogóle miejsca. I to była najwstydlivsza z jej tajemnic. Fakt, że zacięła się w milczeniu, kiedy ksiądz ją zachęcał do wyznania grzechów.

Toni zdawał się przekonany, że mimo zaprzeczeń wyparła go się w głębi serca, choć może sama sobie tego nie uświadamia. Rebeka miała mieszane uczucia. Z jednej strony czuła, że Toni niedostatecznie stara się ją zrozumieć. Z drugiej, zastanawiała się, czy w pewnej, drobnej, lecz istotnej mierze nie ma on jednak racji.

– Nie odpychaj mnie tak, kochany, nie zniosę tego dłużej – powiedziała w końcu. – Proszę cię... ja już nie mogę.

Toni trzymał jej dłonie. Puścił je teraz i zaczął sunąć palcami wzdłuż jej ręki, do ramienia. Potem ujął powoli w dłonie jej piersi. Zaczął rozpinać bluzkę.

Rebeka patrzyła mu w oczy. Toni ją obserwował, próbując zgłębić stan jej uczuć. Bluzka została rozpięta, opadł stanik. Toni uniósł twarz do jej piersi, zaczął je całować, potem ssać delikatnie sutki.

Wiedziała, dlaczego to robi. Była to prośba, by ponownie wybrała jego, wyrzekła się dla niego tego, czego się nie wyrzekła dotąd. Jeśli mu tego odmówi, będzie to znak, że jak przypuszczał, nie należy do niego.

Ujęła jego głowę, zamknęła w dłoniach. Toni starał się uwolnić jej bluzkę ze spódnicy. Widziała teraz jego całe nagie ciało, długie nogi przygięte jak u dziecka, kiedy się pochylał ku jej piersi.

Położyła się obok niego, reszta jej garderoby poleciała na bok, zaplątała się w pościeli jak porzucone obietnice. Szelest materiałów przypominał jej szelest sutanny księdza za kratkami konfesjonału. Po chwili złączył się z nią – i dreszcz, który przejmował początkowo tylko jej piersi, przeniknął w głąb jej ciała. Westchnienia dochodzące z ust Toniego przemieniły się w długi, zdławiony jęk, który wstrząsał nią całą.

Rebeka oddawała mu się z zapamiętaniem. Nigdy przedtem nie przyjęła go tak całkowicie, nawet owego pierwszego dnia, kiedy przyszedł do niej na plażę w Sands Point. Ale nawet w szczytowym uniesieniu nie była pewna, czy Toni to wie, czy to czuje. Zdawało jej się, że próbuje wniknąć w zakamarki dla niego niedostępne, niepodatne na jego zabiegi. I że mimo swych starań nie osiągnie nigdy ukojenia, ona też nie.

Jego ruchy wyzwały z jej piersi spazmatyczne jęki, czuła jednak, że gotowość całkowitego poddania się nie przychodzi jej tak naturalnie, jak kiedyś. Straszliwy żar wewnątrz niej był czymś nowym, czymś, co ich łączyło, a zarazem rozdzielało. Wiedziała, że dzisiejsze nieporozumienie jest punktem zwrotnym, obróciło coś w złudę albo obnażyło jako złudę.

Nie powinna mu była tego mówić. Gdyby trzymała język za zębami,  
milczenie pozostałoby milczeniem, a ułuda ułudą.



## *Rozdział 15*

Damon nie widział się z Alison od pamiętnej kłótni w hotelu „Côte d'Azur”.

Z początku przypisywał to po prostu nadmiarowi zajęć. Utarczki z burmistrzem i jego ludźmi pochłaniały mu dni, rozmyślania o Rebecce i Dusty zakłócały noce.

Wkrótce jednak uświadomił sobie, że między nim a Alison stoi urażona duma. Alison się nie odzywała, a Damon z każdym mijającym dniem był mniej skłonny do zrobienia pierwszego kroku. Nie mógł wybaczyć Alison, że obróciła się przeciwko niemu i stanęła po stronie Rebeki. Zachowała się jak typowa baba, występująca w obronie krzywdzonych kobiet. Doprowadzało go to do wściekłości, bo to przecież on, a nie Rebeka, był pokrzywdzoną stroną. To on został porzucony. On i Dusty.

Nie, tego nie mógł wybaczyć Alison. Skądinąd wiedział, że jest ona kobietą upartą. Wiedział to od lat. Zawsze miała charakterek, potrafiła postawić na swoim, wymóc dla siebie respekt. Jej upór przyczynił się też w znacznej mierze do jej błyskotliwej kariery. Znajdował również odbicie w zachłanności, z jaką się kochała. Alison nie poddawała się biernie pieścizotom, szukała sama przyjemności i wiedziała, jak ją osiągnąć. Damona zawsze to podniecało.

Teraz, po kłótni, zastanawiał się, jak zdołał jej nie podpaść przez tyle lat. Alison była kobietą wymagającą, sarkastyczną, kiedy chciała, wrażliwą na najlżejsze uchybienie. Damon też nie należał do ludzi uważających, łatwych we współżyciu. Co więcej, był wiecznie pochłonięty sobą. To w

końcu doprowadziło do krachu z Rebeką. Teraz sam się dziwił, że Alison tak długo z nim wytrzymała.

Cóż, odeszła i nie miałoby sensu wylewanie po niej łez. Ona nie przeprosi pierwsza, nie odezwie się, jeśli on nie zadzwoni. A on nie był w nastroju do łatania dziur. Uważał, że Alison mu dokopała, kiedy leżał na deskach. To ona powinna się ukorzyć i zadzwonić.

Tak się rzeczy miały do chwili, kiedy Damon zdecydował, że nie może wiecznie żyć samą urażoną dumą. Alison zostawiła w jego życiu jakąś pustkę, zarówno pod względem seksualnym, jak uczuciowym. Przywykł po dniu wyczerpującej pracy biec do niej jak zgłodniały chłopiec. Potrzebował teraz fizycznego wsparcia jak nigdy przedtem.

Minęło parę tygodni, odkąd został sam.

Potrzebował kobiety.

Znalazł ją w zasięgu ręki.

Miała na imię Ashley, pracowała jako sekretarka w biurze burmistrza. Widział ją kilka razy, będąc w Ratuszu, raz dojrzał na jej biurku tabliczkę z nazwiskiem. Stała mu teraz przed oczami jej twarz. Niewiele myśląc, zadzwonił do Ratusza i wymienił jej nazwisko. Połączono go od razu.

– Halo?

– Mówi Damon Lowell. Wie pani, kim jestem?

– Jasne – odparła po krótkiej pauzie.

– Widziałem panią kilka razy, ale nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jest pani bardzo ładną dziewczyną.

– O–o, dziękuję.

– Nie zjadłaby pani ze mną wieczorem kolacji? Tym razem pauza była jeszcze krótsza.

– Dobrze. O której?

Damon zabrał ją do włoskiej restauracyjki na bocznej uliczce w Greenwich Village, gdzie zwykł był się spotykać z Alison, kiedy dbał jeszcze o dyskrecję.

Ashley miała dwadzieścia cztery lata. Ukończyła City College, potem uzyskała dyplom sekretarki prawnej. Dwa lata temu zaczęła pracę w firmie adwokackiej, ale ją rzuciła ze względu na denne płace i niebotyczne wymagania. Oświadczyła, że nigdy więcej nie będzie pracować u żadnego adwokata, co dało Damonowi okazję do paru żarcików.

Miała zgrabną figurę, długie nogi. Wyglądała bardzo dziewczęco, ze swymi kasztanowatymi włosami, mleczną cerą i piegopatym noskiem. Oczy miała błękitne, niemal przezroczyste, i to ich wyraz przykuł uwagę Damona, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Nie jest to może wyraz wielkiej inteligencji, pomyślał, ale wyraz pewnej bystrości i otwartości na wyzwania świata.

Nie mylił się. Kochała się zachłannie (w jego mieszkaniu, w łóżku, które kiedyś dzielił z Rebeką), brak doświadczenia nadrabiając dziewczęcą świeżością i frywolnymi pomysłami.

– Podoba ci się? – pytała, wodząc palcami po jego udach, przykucnięta przed nim nago, z jędrnymi piersiami sterczącymi wyzywająco.

– Pewnie!

– A to? – Jej dłonie poczynały sobie coraz śmielej. – Dobrze ci?

Bawiło ją ponaglanie go szeptanymi słówkami, które z początku wydały mu się wymuszone, lecz po chwili stały się nie wiedzieć czemu niezwykle podniecające. Uderzyła Damona różnica między nią a Alison, której sposób kochania się był wyrafinowany, dojrzały, ale po tylu latach nieco zbyt przewidywalny.

Spotkał się z Ashley również następnego wieczoru –musiał w tym celu odwołać spotkanie z jednym z adwokatów magistrackich – i stwierdził, że już zaczyna jej potrzebować.

Wyszedłszy z łazienki, ujrzał ją leżącą nago na łóżku, z jednym kolanem podniesionym. Wyciągnęła do niego ręce, zatrzepotała smukłymi palcami.

– Chodź, chłopczyku – zagruchała. – Chcę cię.

Wtulił twarz w jej młode piersi i po raz kolejny odniósł wrażenie, że oto otwierają się przed nim drzwi, które mijał wiele razy, nie domyślając się czekających za nimi niespodzianek.

Ashley, jak przystało na dobrą sekretarkę, była praktyczną osobką. Nie brakowało jej też sprytu dziewczyny wychowanej w wielkim mieście. Damona ogarnęła nagła ciekawość, z iloma mężczyznami się już puszczała, ale odepchnął szybko tę myśl, napawając się jej ciałem.

Kiedy skończyli, uniosła się i popatrzyła na niego.

– Chodzą słuchy, że jesteś prawdziwym rekinem.

– Tak?

– A, tak. Słyszałam, że idziesz po trupach, żeby tylko uzyskać korzystny wyrok.

Zaskoczyło to Damona. Uważał się za człowieka szacownego, kogoś, kto doszedł do znaczącej pozycji inteligencją, rzetelnością i urokiem osobistym. Kogoś, kto budzi wyłącznie szacunek i podziw. Nikt go jeszcze nigdy nie scharakteryzował jako człowieka zimnego i bezwzględnego. Oczywiście, jako adwokat musi być twardy, takie są reguły gry w tym zawodzie. Zastraszenie przeciwnika to nieodzowna część strategii, pomyślana w najlepszym interesie klienta.

Zrozumiał, że Ashley, mimo całej swojej swobody w łóżku, jest pod jego wrażeniem, a może nawet trochę go się boi. Ma w jasnych oczach ten dziwny wyraz, kiedy słucha jego opowieści, powagę, zrodzoną ze świadomości jego pozycji i znaczenia.

Mile połechtany, jął w jej obecności puszczać wodze samozadowoleniu. Chełpił się pierwszoplanową rolą, jaką odgrywa w sprawie projektu Hightower, raczył ją dowcipami na temat burmistrza.

– Czasami mam wrażenie, że byłby rad, gdybym mu wiązał krawat. Polega na mnie całkowicie.

– Myślałam, że Lazare nie cierpi facetów z dyplomami renomowanych uniwersytetów. Czyż nie podkreśla, że jest człowiekiem z ludu, równym chłopem?

– To poza. W rzeczywistości ma ambiwalentny stosunek do wykształconych ludzi z wyższych sfer.

– Ambiwalentny? – powtórzyła Ashley.

Damon zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie zna tego słowa.

– Z jednej strony ich nie cierpi, z drugiej chciałby być jednym z nich – wyjaśnił. – Raz w tę, raz wewtę. Ciekawe, że z jakiegoś powodu zapalał do mnie miłością. Dzwoni niemal codziennie, zachowuje się, jakby nie mógł zrobić kroku bez mojej akceptacji.

– Pewnie na kilometr czuje prawdziwą inteligencję – schlebila mu Ashley.

– Czy ja wiem – odparł nieszczercze Damon. – Wątpię, czy dostrzega coś poza starym szacownym nazwiskiem i dyplomem z Harvardu.

– Nie bądź taki skromny. Masz głowę na karku, i jaja na miejscu – podsumowała Ashley, sięgając do jego krocza.

W następnych tygodniach Damon robił wszystko, żeby wygospodarować dla niej jak najwięcej czasu. Wieczory z nią stanowiły pożądany kontrast do pełnych napięcia dni. Nie sypiał tak dobrze od lat. Kiedy rano, naga, krzątała się na swoich długich, zgrabnych nogach po kuchni, czuł, jak krew zaczyna mu żywiej krążyć. Miał przez chwilę złudzenie, że odzyskał dom, co było szczególnie cenne w obecnej samotności.

Jedyny problem stanowiło ukrycie romansu przed Dusty, która wpadała teraz częściej, gotowała mu czasami kolację, a czasami szła z nim zjeść coś na mieście. Nie było sposobu uniknięcia jej wizyt, zresztą Damon ich potrzebował. Zostali w końcu oboje porzuceni przez Rebekeę

– Dusty niewątpliwie w sposób boleśniejszy niż on –i mieli teraz tylko siebie.

Na szczęście Dusty nigdy nie zostawała do późna. Koło dziesiątej, w pół do jedenastej zamawiała taksówkę i wracała do siebie. Damon miał świadomość, że nie jest jej tak bliski, jakby pragnął, że nie jest dla niej odpowiednim powiernikiem w jej bólu i zgryzocie. Wstydliva prawda o Tonim, o którym przestali w ogóle mówić, uniemożliwiała im dzielenie się myślami ze szczerością, która by ich mogła naprawdę zbliżyć.

W ich rozmowach telefonicznych, wspólnych kolacjach czy nieczęstych wypadach do teatru lub na balet było coś wymuszonego. Damon spełniał, jak umiał, obowiązki ojcowskie, a ona starała się ze swojej strony zająć opuszczonym ojcem.

Wieczory z nią przyprawiły go o frustrację, a frustracja przeradzała się szybko w pożądanie. W minutę po wyjściu córki dzwonił często do Ashley, żeby wskakiwała w taksówkę i przyjeżdżała. Krótkie pół godziny oddzielało niekiedy widok jasnych włosów córki, machającej mu z drzwi windy na pożegnanie, od widoku namiętnej młodej kochanki, wślizgującej

się z błyskiem w oku do mieszkania. Uderzająca była różnica między tymi dwiema dziewczynami; różnica wynikająca z wychowania, zamożności i ambicji. Mimo tego samego z grubsza wieku, nie do pomyślenia zdawało się wymówienie jednym tchem imienia Dusty i Ashley.

Pewnego razu, żeby go podniecić, Ashley przyjechała w płaszczu od deszczu narzuconym na gołe ciało. Zdejmując z niej okrycie, odsłaniając jej wspaniałą nagość, czuł jeszcze w dłoniach dotyk płaszcza, który odbierał od Dusty przed paroma godzinami. Uzmysłowało mu to podobieństwo tych dwóch dziewczęcych ciał – ta sama jędrność, pewność ruchów. Przepęłniło go to nie wiedzieć czemu jakimś opiekuńczym ciepłem do Ashley. Od córki dzieli go przepaść nie do przebycia, ból nie do zniesienia. Natomiast Ashley paraduje boso po mieszkaniu ze swobodą i niefrasobliwością dziewczynki nie mającej jednej troski pod słońcem, obnoszącej swoją nagość jak symbol szczęśliwej niewinności.

Pewnego wieczoru Dusty zadzwoniła, kiedy leżał w łóżku z Ashley. Na sekundę ogarnęła go panika, nie tyle z powodu faktycznej sytuacji – Dusty mogła przecież dzwonić z dołu – co z powodu dwóch kłójących się rzeczywistości: głosu córki w słuchawce i wpatrzonych w niego błękitnych oczu kochanki. Dwie dziewczyny wydały mu się w tym momencie zbyt bliskie sobie. Miał uczucie, że poszedł na nowe ryzyko – nie tyle materialne, co psychologiczne – romansując z Ashley w czasie, gdy Dusty przeżywa piekło.

Musiał jednak mieć swoje przyjemności. Umówiwszy się więc z Dusty na kolację, zapomniał o niej natychmiast i, odłożywszy słuchawkę, przywarł ustami do piersi Ashley, jakby była ostatnią kobietą na świecie.



## *Rozdział 16*

Przed końcem semestru Dusty zdążyła się przespać z pięcioma chłopcami.

Nie byli to już właściwie chłopcy. Dwóch z nich robiło specjalizacje, dwóch studia podyplomowe, a jeden był adiunktem.

O jednym z tych pierwszych, Danie Bowditchu, chodziły słuchy, że to „pies na dziewczyny”. Spotykały się z nim uprzednio dwie koleżanki Dusty i obie mówiły, że zabierał się do nich bezceremonialnie. Dusty podejrzewała, że nie musiał się zbytnio wysilać, żeby je wciągnąć do łóżka.

Dan był przystojnym chłopcem, wysokim blondynem o leniwym spojrzeniu i zaborczych manierach. Pochodził z bogatej rodziny, studiował zarządzanie. Był inteligentny i wygadany, umiał gładko konwersować na każdy temat, stosownie do tego, z kim akurat rozmawiał.

W dniu, w którym go przedstawiono Dusty, pił z nią przez pół godziny pośpiesznie whisky, nie starając się niedbałymi pytaniami maskować zbytnio faktu, że myśli jedynie o znalezieniu się z nią w łóżku.

– To co, pójdziemy? – zapytał, spoglądając na zegarek.

– Dobrze – zgodziła się i zobaczyła w jego oczach błysk tryumfu.

Był dobrym kochankiem, nie spieszył się przynajmniej, ale kiedy było po wszystkim, jakby zapomniał o jej istnieniu. Nie kwapił się, żeby ją odprowadzić do domu, wracała więc sama, otulając się połami płaszcza w przedwczesnym chłodzie.

W następnym tygodniu zadzwonił do niej inny student z wyższego roku, Carl Weathergill. Przedstawił się jako były współlokator Dana z akademika i powiedział, że Dan mówi o niej, iż jest wspaniałą dziewczyną.



Przespała się z nim jeszcze tego wieczora w domu na Horatio Street, zajmowanym przez grupę studentów. Dom był brudny, pełen przewalających się puszek po piwie, butelek po alkoholu i popielniczek z przesypanych się górami petów. Miał dwie sypialnie, każda z podwójnym łóżkiem o wyboistym materacu i poplamionej pościeli.

Carl poczęstował Dusty kokainą i pouczył, jak ją wdychać. Przez dłuższą chwilę nic nie czuła, ale kiedy zaczął ją rozbierać, mózg przeszyła jej jasna błyskawica. Wszystko, co się działo potem, pamiętała jako skąpane w gorącym, zmysłowym świetle, które przepalało ją na wylot.

Późną nocą Carl odprowadził ją do domu i pocałował na pożegnanie w usta.

– Jesteś wspaniała! – powiedział.

Dana Bowditcha nigdy więcej nie widziała, natomiast Carl telefonował do niej często w następnych tygodniach. Przychodził i zabierał ją do swego mieszkania, gdzie się kochali, a potem oglądali telewizję albo słuchali muzyki. To on zapoznał ją pierwszy z twardą kokainą, której później nie mógł jednak więcej dostać.

Dusty nie była pewna, skąd starsi studenci dostają jej telefon (po Carlu dzwoniło ich jeszcze trzech). Byli lepszymi kochankami od szczeniaków z młodszych lat, ale nie używali narkotyków tak jak Carl. Pewien asystent, beznadziejny w łóżku, zdobył jednak, kiedy go poprosiła, trochę proszku od jednego ze swoich studentów i wachał razem z nią.

Uczyła się pilnie w ciągu dnia, bo wieczory spędzała z coraz to innymi mężczyznami. Brit i inne dziewczyny widziały, jak jest rozrywana, i niektóre jej nawet zazdrościły. Inne domyślały się jednak, co jest grane.

Pewnego wieczoru, na krótko przed Świętem Dziękczynienia, Brit postanowiła z nią pogadać.

– Czy ci faceci dobrze cię traktują, Dusty? – spytała.

Dusty wzruszyła ramionami.

– Jak to faceci.

Brit przysiadła koło niej.

– Nie chcę, żeby cię któryś skrzywdził – powiedziała. – Dość już przeszłaś.

– Nie martw się o mnie – odparła Dusty. – Nic mi nie będzie.

Jednakże Brit nie wyglądała na uspokojoną i poszła spać wyraźnie zatroskana.

W Święto Dziękczynienia Dusty urządziła ojcu świąteczny obiad w jego mieszkaniu. Powiedziała, że ma dużo nauki i nie chce jej się jechać do odległego Sands Point, a Damona ucieszył taki obrót sprawy, bo samemu było mu ostatnio trudno się wyrwać z miasta.

Podał do obiadu wino i powiedział jej, jak ślicznie wygląda.

– Wydoroślałaś, Dusty. Teraz jesteś prawdziwą kobietą. Chciałbym, żeby cię mogła...

Oboje spuścili wzrok. Wiedziała, że zdanie, którego nie dokończył, miało brzmieć: „... żeby cię mogła zobaczyć matka”. Mijały właśnie trzy miesiące od jej ucieczki.

Damon stwierdzał, że swobodnie przychodzi mu w stosunku do Dusty aprobująca postawa ojcowska. Może częściowo dlatego, że przypadła mu teraz rola przewodnika. On był teraz tym odpowiedzialnym, on był dostarczycielem nowin. W oględny, okólny sposób informował ją o „rozwoju spraw”, starając się przy tym nie przysparzać jej bólu, tak by nie przestała wierzyć, że świat jest wciąż miejscem, którym rządzi rozum i sprawiedliwość.

Kiedy Dusty była dzieckiem, rola taka należała do Rebeki. To ona wysłuchiwała nie kończących się „dlaczego?” córki, ona tłumaczyła jej świat. Damon był zbyt zajęty, by choćby od czasu do czasu wziąć w tym udział. Widząc Dusty, zadawał jej stereotypowe pytania o szkołę, o koleżanki, a ona odpowiadała monosylabami. Nigdy ze sobą naprawdę nie rozmawiali.

Teraz musiał z nią rozmawiać i rozmawiał. Mówił jej o swoich działaniach, bagatelizując oczywiście rolę, jaką odgrywa. Próbował ją także wyciągnąć na opowiadania o jej studiach, udawał żywe zainteresowanie jej kursami i dalszymi planami – Dusty zaczęła właśnie rozsyłać do różnych uniwersytetów podania o przyjęcie na studia podyplomowe. Pytał ją także o jej życie towarzyskie, uważając jednak, by nie zahaczać o sprawy intymne. Musieli oboje starannie omijać jakąkolwiek wzmiankę o Tonim, szczególnie o horrendalnych okolicznościach jego zniknięcia.

Dyskutowali też o problemach stających przed młodymi we współczesnym świecie – o niepewności zatrudnienia, bezrobociu, chorobach przekazywanych drogą seksualną, rozwodach, konieczności zarobkowania na życie przez oboje małżonków. Damon mimo woli przybierał wówczas współczujący, pouczający ton. Posuwał się nawet do ciepłych wypowiedzi o ciężarach zwałanych na głowy dzisiejszych kobiet.

– Za dawnych czasów żyło się łatwiej – oświadczył. – Nie wiem, jak wy, młodzi, stawiacie temu czoło.

Dusty się uśmiechnęła.

– Nie jest tak źle, tato. Zawsze było ciężko.

– Cieszę się, że tak uważasz – odparł, odpowiadając uśmiechem na uśmiech.

Zrodziła się między nimi pewna zażyłość. Damon łapał się na chęci matczynego roztkliwiania się nad córką, zabarwionego jednak ojcowską nieznaną kobiecych problemów, nieporadnością wobec nich. Dusty musiała go bezustannie zapewniać, że nic jej nie jest, że dużo się uczy, że ma pod dostatkiem przyjaciół.

Sprawa Toniego była wciąż zbyt bolesna, by którekolwiek z nich odważyło się ją poruszać, ale od czasu do czasu Damon pytał znacząco, czy Dusty „ma się już lepiej”. Dusty nieodmiennie odpowiadała, że przeszła nad tym „do porządku dziennego” i że nie chce rozpamiętywać przeszłości, lecz patrzeć w przyszłość.

Damonowi rwało się do niej serce, gdy widział, jak dzielnie jego córka dźwiga brzemię; brzemię, które on z nią dzieli. On jest jednak starszy, doświadczony w sprawach tego świata, ona zaś jest taka młoda, nie w pełni ukształtowana. Z rzadką u niego wnikliwością porównywał manifestacje jej kruchego, dumnego hartu z własnym rozczulaniem się nad sobą. Jakże osobliwą rzeczą jest młodość, myślał, uparta i odporna. Życie Dusty będzie zawsze naznaczone zniekształcającą blizną po ranie, jaką jej zadano, ale będzie się toczyło dalej. Pewnego dnia pozostanie tylko maleńka skaza na jej psychice, niedostrzegalna dla jej przyszłego męża, dla jej dzieci. Będzie w niej jednak zawsze tkwiła.

Damon nienawidził Rebeki za to, co zrobiła, za krzywdę, którą wyrządziła Dusty. I którą wyrządziła jemu. Zmusiła go, by odkrył nowe, straszne uczucia, by odkrył świat myśli i doznań, którego wolałby nigdy nie odkrywać. Kiedyś, któregoś dnia weźmie za to odwet.

Kiedy jednak myślał o Dusty, o harcie, z jakim stawia ona czoło sytuacji, jego gniew na Rebeke usuwał się na dalszy plan, ustępował miejsca współczuciu i nadziei. Nade wszystko pragnął, by Dusty wyszła z tego

obronną ręką, by się otrząsnęła po doznanej krzywdzie. Było to dla Damona coś nowego, ta ojcowska miłość wyzbyta uraz, niosąca ze sobą jedynie troskę.

Stopniowo docierało do niego, że przeżycia ostatnich tygodni rozwinęły go jako człowieka, że za ich sprawą inaczej patrzy na świat. Paradoksalnie, świadomość tego niosła ze sobą wdzięczność za dobrodziejstwo wynikające z wielkiej straty. Nadal nienawidził Rebeki, to oczywiste, ale zarazem czuł, że jej ucieczka odmieniła go jakby na lepsze. Zauważał w sobie nie doświadczaną od dawna świeżość, gotowość na przyjmowanie nowych doznań i przeżyć.

Dusty zdawała się dostrzegać tę nowo objawioną cechę ojca i jej stosunek do niego wyraźnie się ocieplił. Rozmawiała z nim bardziej otwarcie, wyzbyła się młodzieńczej nastrojowości i skrytości, jakie ją cechowały w ostatnich latach. Zdarzały jej się uwagi na temat jakiejś książki, filmu czy nawet spraw politycznych, których dojrzałość napawała Damona dumą. Niekiedy ujmowała jakąś myśl w formę tak rozważną, tak wyważoną, że Damonowi oczy zachodziły mgłą rozczulenia i musiał odwracać wzrok, by córka nie spostrzegła jego wzruszenia.

Te jej udatne sformułowania nosiły czasami wyraźne piętno umysłowości Rebeki, która miała zawsze dar słowa. Damon przymykał jednak oko na te podobieństwa.

W Święto Dziękczynienia Dusty nie została u ojca na noc. Musi się uczyć do egzaminu z ekonomii, tłumaczyła. Damon uparł się odesłać ją swoim autem, mimo jej protestów, że nie chce zakłócać kierowcy świątecznego wieczoru. Pocałował ją na dobranoc, powiedział: „Uważaj na siebie, złotko” – i czekał, aż się za nią zamkną drzwi windy.

Kiedy tylko zniknęła, zadzwonił do Ashley, która przyjechała o jedenastej i została do rana. Poczawszy dotyk jej dziewczęcego ciała, pomyślał o córce – i jego podniecenie zabarwił dziwny, przyciszony smutek.

Trzymając potem Ashley czule i opiekuńczo w ramionach, starał się bezowocnie zbilansować radości i bóle swego życia, krzywdy i chwile rekompensaty, splątane pokłady uczuć. Wszystko to było takie mylące. Czułby się w tym momencie stary, stary i oszukany przez los, gdyby nie ta słodka młoda dziewczyna, która jęczy teraz z rozkoszy, wstrząsana dreszczem, gdy on wbija się w nią coraz mocniej. Duma przyćmiła jego zagubienie, kiedy wreszcie doprowadził ją do spazmu.

Spał potem mocnym snem aż do rana.

Wróciwszy do domu, Dusty wystukała znajomy numer na klawiaturze telefonu i z miejsca poszła na Horatio Street. Było tam dwóch studentów z innego uniwersytetu, którzy przyjechali do kolegów. Pili wino, palili trawkę i kochali się na zmianę z Dusty. W pewnym momencie, oszołomieni narkotykiem, spróbowali seksu we trójkę. Miała wrażenie, że bardziej się podniecają sobą niż nią. Wyszła nad ranem, przekonana, że chłopcy wrócą do swojej zabawy, gdy tylko zostaną sami.

W domu rzuciła się na łóżko, nie biorąc nawet prysznicy. Między nogami czuła tępe pulsowanie.

Ostatnią twarzą, jaka jej stanęła przed oczami, nim zasnęła, była twarz ojca. W oczach miał łzy, rysy ściągnięte smutkiem, uśmiechał się jednak do niej z ojcowską dumą.

Nazajutrz, w piątek, uczyła się przez cały dzień do egzaminu z ekonomii, którym się wymówiła poprzedniego wieczoru przed Damonem. Pomimo kaca i zarwanej nocy, jej umysł pracował sprawnie. Była skupiona, robiła porządne notatki – i dostała później piątkę na egzaminie.

## *Rozdział 17*

Zbliżało się Boże Narodzenie.

Rebeka chodziła po ulicach, oglądała dekoracje świąteczne i szukała prezentu dla Toniego. Zamiast tego natykała się raz po raz na rzeczy, które byłyby wymarzone dla Dusty. Instynkt macierzyński kierował jej kroki do sklepów, gdzie mieli stroje w stylu, który Dusty sobie obrała od ukończenia szkoły średniej – niby to sportowym, ale lekko konserwatywnym.

Jak łatwo byłoby coś dla niej znaleźć! Znała rozmiary córki równie dobrze, jak własne. Wiedziała, co by pasowało do ulubionych pantofli Dusty i jaka spódnica wyglądałaby świetnie w zestawieniu ze swetrem, który jej kupiła zeszłej zimy.

Targało nią tysiąc rodzinnych porywów, gdy tak mijala kolejne sklepy. Towarzyszyły jej obrazy i odgłosy domu, Boże Narodzenie niosło bowiem ze sobą mnóstwo wspomnień. Zakupy na Piątej Alei, lunche ze znajomymi, zaproszenia, wizyty, przygotowywanie przyjęcia dla współników Damona, które urządzali co roku na jakiś tydzień przed Gwiazdką. Kupowanie prezentów dla Damona, Dusty, Irene, dla ciotek, wujków, kuzynów. A przede wszystkim radosne oczekiwanie przyjazdu Dusty do domu na dłużej, na tydzień, może dwa.

– Co byś chciała dostać od Mikołaja? – zwykła żartować Rebeka, kiedy zbliżały się święta.

– Och, mammo! – odpowiadała Dusty. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Ale Rebeka zawsze wiedziała, co jej kupić, i bezbłędnie trafiała w jej gust. Znała córkę tak dobrze.



Kiedy Dusty poszła na studia, Rebeka nie mogła przywyknąć do jej braku. Potrzebowała jej obecności bardziej, niż sądziła. Ich bliskość nie manifestowała się nigdy wylewnym okazywaniem uczuć, w jakimś sensie jednak Rebeka żyła tylko dla córki. Miłość do niej stanowiła jedyną rzecz, jakiej była pewna w życiu. Przez lata pochłaniało ją odczytywanie nastrojów i oczekiwań Dusty. Choć to Rebeka była stroną świadczącą opiekę i pomoc, więc ta znaczyła pewnie więcej dla niej niż dla córki. Dusty przyjmowała to jako rzecz należną, dla Rebeki był to dar wynagradzający jej wszystkie niesprawiedliwości świata.

Pod wieloma względami matka i córka były do siebie podobne. Cechowała je ta sama rozwaga, ostrożność w podejściu do spraw i ludzi. Tak jakby w najjaśniejszy dzień tuż-tuż czyhało nieszczęście. Dusty była jednak ambitniejsza od matki, bardziej uparta, pewna swego. Straszny „drugi rok życia”, kiedy to dzieci odpowiadają na wszystko „nie”, przeciągnął się u niej na blisko pięć lat. „Nie” – było odpowiedzią na niemal każde rodzicielskie pytanie, nie wspominając już o żądaniu czy upomnieniu. „Ja siama” – rozlegało się, ilekroć mógł istnieć jakikolwiek wybór między zrobieniem czegoś samodzielnie a przyjęciem pomocy Rebeki.

– Niezależny duch – zauważył kiedyś Damon.

– Delikatnie mówiąc – zgodziła się Rebeka.

– Jest podobna do ciebie – stwierdził z właściwym sobie brakiem wyczucia.

– Raczej do mojej matki – poprawiła. – Wie, czego chce, i nie przyjmuje „nie” za odpowiedź.

Przez długi czas Rebeka miała nadzieję, że uparty charakter pewnie poprowadzi Dusty z łona rodziny w samodzielne życie. Jednakże w miarę, jak Dusty dorastała i musiała stawić czoło światu współzawodniczącym



nastolatek w prywatnej szkole, zaczęła się coraz bardziej zamykać w sobie. Unikała każdej ambitniejszej rywalizacji, wybierała przyjaciółki spośród najmniej popularnych dziewcząt w klasie. Zrobiła się spokojna, na jej twarzy pojawił się wyraz wiecznego zatroskania, jaki cechował twarz matki. Choć nieco odmienny u jasnowłosej, pełnej życia, młodej dziewczyny, był jednak dostrzegalny.

Kiedy Dusty poszła do college'u, sprzeczne cechy jej charakteru zaczęły ze sobą współgrać. Zaangażowała się w działalność studencką, zaczęła przejawiać ambicje intelektualne, a przyjechawszy do domu na ferie, okazywała równowagę i pewność siebie, która imponowała Rebecce. Wdawała się w przyjacielskie dyskusje polityczne z Damonem, głosząc hasła feministyczne, co jego irytowało, a w niej wzbudzało podziw.

Uznanie dla świeżo odzyskanej niezależności córki zbliżyło do niej na powrót Rebece. Była z niej dumna, z radością śledziła, jak na drodze do dorosłości urastają dziewczynie skrzydła.

Teraz ten harmonijny pochód został zakłócony na zawsze.

Odepchnąwszy myśli o córce, Rebeka skierowała kroki do domu towarowego Harpera. Szukała swetra albo kurtki dla Toniego. Toniemu udało się dostać posadę stażysty w firmie inwestycyjnej, więc miała cały dzień dla siebie.

Toni zapisał się ponadto na kursy wieczorowe. Chciał zmienić zawód, zdobyć kwalifikacje konsultanta inwestycyjnego. Wykazywał w tym dużą determinację. Postanowił zapewnić Rebecce byt i nowe miejsce w świecie.

– Chcę, żebyś się nie musiała o nic martwić – oświadczył.

– Ależ ja się nie martwię.

Toni potrząsnął głową.

– Wiesz, co mam na myśli.

Krępowano go korzystanie z jej pieniędzy i próbował ją nakłonić do ograniczenia wydatków, życia w ramach jego zarobków. Bawiło ją to, bo naprawdę nie musieli oszczędzać. Ale była zarazem z niego dumna. Rozczulała ją jego determinacja, żeby oprzeć ich wspólne życie na solidnych podstawach, stopniowo uczynić je równie bogatym i urozmaiconym, jak życie innych ludzi. Chciała z nim dzielić codzienne troski, włącznie z gospodarowaniem pieniędzmi.

A jednak coś ją w tym wszystkim niepokoiło. Zaczęła się wstydzić swoich pieniędzy, krępować swoich lat, faktu, że zaszła w życiu o tyle dalej niż Toni. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oboje tylko udają normalnych ludzi w realnym świecie. Czyż uciekając razem, nie zostawili za sobą tego realnego świata? Są wygnańcami. Potwierdzały to spojrzenia ludzi mijających ich na ulicy. Są wygnańcami ze swego miejsca, od swoich rodzin, od określonego stylu życia. Każdy, kto ich spotyka, od razu to widzi.

Szukając pracy, próbując zmienić zawód, Toni czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby ich związek okryć woalem normalności. Ale był to woal, przez który wszyscy – a ona pierwsza – dostrzegali przezierającą prawdę.

Teraz dopiero zaczął docierać do niej ogrom ich szaleństwa. Mogłaby być matką Toniego. On sam żartował niekiedy, że zna rodzeństwa, które dzieli większa różnica wieku. Ale za kilkanaście lat ona będzie po sześćdziesiątce, podczas gdy on zaledwie krzepkim czterdziestolatkiem. Co potem, lepiej nie myśleć.

Rebeka nie odczuwałaby może tak dotkliwie żądła tej świadomości, gdyby nie pamięć córki. Wciąż czuła się matką, chciała się spotykać z Dusty, kupować jej prezenty pod choinkę, wysłuchiwać jej kłopotów, pocieszać ją. Chciała być częścią jej życia. I to ten instynkt, najbardziej

podstawowy instynkt jej istnienia, został zdławiony. Więzy między nią a Dusty jest już zerwana. I to ona sama ją zerwała.

Dusty nigdy jej tego nie wybaczy. Dlaczego miałyby wybaczyć? Zdrowie psychiczne Dusty zawisło niewątpliwie teraz na naturalnym oburzeniu na czyn matki, naturalnym żalu do niej. Własny instynkt macierzyński podpowiadał Rebecce, że tak być musi, tak być powinno. Nie chciałyby, żeby było inaczej.

Tak więc, po dwudziestu latach, Rebeka została bezdzietną matką. Ten koszmar jest rzeczywistością, do której nigdy nie przywyknie. Życie stało się iluzją.

Znalazła kurtkę sportową dla Toniego i już szła z nią do kasy, ale się cofnęła. Może nie jest to jednak styl Toniego. Odłoży zakup do jutra.

Przed wyjściem z domu towarowego przespacerowała się jeszcze po czwartym piętrze, gdzie mieścił się dział damski, i zobaczyła wymarzony dla Dusty komplet, sweter i spódnicę. Nie mogła się oprzeć pokusie kupienia go. Nie wiedziała, czy się zdobędzie na wysłanie prezentu, mimo to zapłaciła i nie bez poczucia winy wsiadła do windy.

Nacisnęła guzik parteru. Winda była stara, bardzo powolna. Numery pięter wskazywała długa mosiężna wskazówka. Rebeka patrzyła, jak się przesuwa z czwórki na trójkę, potem z trójki na dwójkę.

Dochodząc do drugiego piętra, zatrzymała się nagle. Żaden wstrząs ani zgrzyt nie zapowiadał, że coś się popsuło. Ruch po prostu ustał. Światło przygasło, rozbłysło, znów przygasło.

Rebeka nacisnęła guzik parteru. Żadnej reakcji. Spróbowała dwójkę i trójkę. Nic.

Westchnęła i zaczęła ponownie wciskać guziki. Odczekała może minutę. Winda ani drgnęła, więc Rebeka, z pewnym ociąganiem, nacisnęła

alarm. Gdzieś w górze zabrzączał ostry dzwonek. Umilkł, kiedy puściła guzik.

– Diabli nadali!

Znów nacisnęła guzik. Dzwonek zabrzączał ponownie. Nie chciała wołać o pomoc. Jeszcze nie. Powstrzymywała ją wrodzona nieśmiałość, narastała w niej jednak panika.

Nagle usłyszała z dołu głos.

– Halo! Stało się coś?

– Jest tam ktoś? – zawołała. – Utknęłam w windzie.

– Naciskam guzik na drugim piętrze – podjął głos. – Nic się nie dzieje?

Rebeka popatrzyła na martwą wskazówkę.

– Nic się nie ruszyło! – odkrzyknęła.

– Proszę spokojnie czekać. Zaraz kogoś sprowadzę.

Rebeka uświadomiła sobie, że winda stanęła tuż przed drugim piętrem. Głos, który słyszała, dobiegał z bliska, tuż zza masywnych drzwi.

Czekała, starając się opanować urywany oddech i zachować spokój. Nigdy nie lubiła wind, choć nie przydarzyło jej się dotąd nic podobnego. Postawiła na podłodze torbę z zakupami i stała z zaciśniętymi dłońmi.

– Prędeej, prędeej – mruzczała pod nosem.

Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, usłyszała kroki i podniecone głosy. Głos, który już znała, zawołał:

– Jak się pani czuje?

– Dziękuję, dobrze.

– To świetnie. Monter już naprawia dźwig. Musi pani wytrwać jeszcze minutkę.

Rebeka czekała teraz spokojnie. Jej strach ustąpił miejsca zakłopotaniu, że stała się przedmiotem zainteresowania obcych mężczyzn.

Złapała się na tym, że przygotowuje w myślach słowa podziękowania dla swoich wybawców.

Po minucie winda drgnęła i ruszyła. Zatrzymała się na drugim piętrze, otworzyły się drzwi. Rebeka czym prędzej wysiadła.

– Cała i zdrowa?

Uśmiechał się do niej mężczyzna, którego twarz wydała jej się znajoma. Przyjęła jego wyciągniętą dłoń, uścisnęła ją w geście ni to powitania, ni wdzięczności.

– Dziękuję panu bardzo. Zaczynałam się już niepokoić.

Z drzwi obok windy wyłonił się mężczyzna w kombinezonie, który zlustrował uważnie Rebeke i zapytał:

– To pani utknęła w tym pudle? Nic pani nie jest?

– Wszystko w porządku – odpowiedział za nią mężczyzna.

Monter wydawał się bardziej przejęty niż ona, więc ją go zapewniać, że naprawdę nic jej się nie stało. Tłumaczył coś o krótkim spięciu w aparaturze kontrolnej, powtarzał się kilka razy. Nadszedł też zastępca kierownika, który zaczął ją gorąco przeproszać. Zapytał, czyby nie chciała odpocząć chwilę w saloniku na górze.

Rebeka była teraz bardziej rozbawiona niż wytrącona z równowagi. Pozwoliła mężczyźnie dać się wyswobodzić spod opiekuńczych skrzydeł kierownika.

– To po strachu? – upewnił się, gdy zostali sami.

– Wszystko w jak najlepszym porządku. My się chyba skądś znamy? – zauważyła.

– Z widzenia, z hotelu „Royal Grace”. Nazywam się Sam Bittman.

– Rebeka Lowell. Miło pana poznać. Jeszcze raz ogromnie dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Ale czy to nie zabawne? Prawie codziennie mijamy się w hotelu, ale pewnie nigdy byśmy nie zamienili słowa, gdyby nie ta zepsuta winda.

– Tak – przyznała. – Los wziął sprawy w swoje ręce.

Przyjrzała się jego twarzy. Miał stalowosiwe kręcone włosy i rumianą cerę. Wyglądał inaczej bez okularów, w których go zwykle widywała, gdy podchodził do recepcji. Jego oczy błyszczały inteligentnie, z zachowania przebijała kurtuazja i nutka humoru. Miał na sobie tradycyjny garnitur, ale w sposobie, w jaki go nosił, było coś swobodnego i mile niedbałego.

Zauważyła, że trzyma w ręku torbę z zakupami.

– Też pan kupował prezenty? – zapytała.

– Usiłowałem – odparł. – Naprawdę wszystko w porządku? – upewnił się jeszcze raz.

– Ależ oczywiście. Teraz mam wobec pana dług wdzięczności.

– Nie ma o czym mówić. W końcu jesteśmy sąsiadami. Cieszę się, że choć tyle mogłem dla pani zrobić.

Teraz on zauważył jej torbę z zakupami.

– Wychodziła już pani, prawda?

– Wychodziłam, tak...

– Ja też. Więc może byśmy zjedli razem lunch? Znam miłą restauracyjkę tuż za rogiem. Odprężylaby się pani. Wygląda pani ciągle trochę blado.

Patrzył na nią przyjaźnie, opiekuńczo. Dostrzegła teraz w jego uśmiechu jakiś smutek. Pomyślała, że na jego twarzy musiał się odcisnąć ból.

Spojrzała na swoje dłonie. Lekko drżały. Była bardziej wytrącona z równowagi, niż sądziła.

– Pora coś przegryźć – nie dawał za wygraną. – Co pani na to?

Jego głos brzmiał kojąco, w jego całym zachowaniu była jakaś staromodna kurtuazja, która budziła zaufanie.

– Dobrze – zgodziła się. – Chętnie coś zjem.

Zeszli schodami na parter i wyszli przez obrotowe drzwi. Restauracyjka była rzeczywiście tuż za rogiem. Rebeka zwróciła na nią kiedyś uwagę, przechodząc obok z Tonim. Miała kuchnię francuską i ładny wystrój – obrusy w kratkę, reprodukcje impresjonistów na ścianach. Za zachętą Sama Bittmana Rebeka zamówiła kieliszek białego wina, które wkrótce uspokoiło jej nerwy.

Jej towarzysz wskazał na torbę z zakupami, którą postawiła na pustym krześle między nimi.

– Dla kogo ten prezent?

– Dla córki.

– Przeszła się pani po damskim dziale i od razu znalazła odpowiedni prezent? Zgadłem?

– Skąd pan wie?

– Ach, te matki! – odparł z gorzkim uśmiechem. – Nie mam racji? Wie pani, co jej się będzie podobało, w czym jej będzie do twarzy, co pasuje do jej innych ubrań. Gdybym ja to umiał... – Wskazał na swoją torbę. – Żeby nie wiem, jak się starał, mój prezent wywoła raczej krzywy uśmieszek niż okrzyk radości.

– To także prezent dla córki, dobrze się domyślam? Przytaknął.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia – powiedział, kręcąc głową jakby z niedowierzaniem. – A obnosi się z tym!

– Jedynaczka?

– O nie, to by było zbytnie szczęście. Mam trzy córki. Ale z tą jest największy kłopot. Nie można jej odmówić pomysowości. Dwie pozostałe są już samodzielne, zamężne. Ta chyba nigdy nie dorośnie.

Rebeka się roześmiała.

– Ubranie dla córki, która nigdy nie dorośnie. Wiem dobrze, co pan czuje. Moja córka ma dwadzieścia jeden lat.

– Myślałem, że kłopoty się skończą, jak dobiegnie pełnoletności. Ale jest odwrotnie. Kłopotów przybywa!

– Coś w tym jest – przyznała Rebeka.

Znów wydało jej się, że spoza jego humoru przebija smutek. Podejrzewała, że jest rozwodnikiem albo może wdowcem.

– Często pana widuję w hotelu. Przyjeżdża pan służbowo?

– Tak, co dwa, trzy tygodnie. Mieszkam stale w Wisconsin, ale tutaj prowadzę interesy.

– Rozumiem.

Rebeka uświadomiła sobie, że Sam Bittman musi ją pamiętać ze spotkań w holu hotelowym równie dobrze, jak ona pamięta jego. Musi więc także pamiętać Toniego. Na szczęście nie zapytał ani o niego, ani o powód jej tak długiego przebywania w „Royal Grace”.

Jej towarzysz rozejrzał się po gustownej sali.

– Nie lubię być poza domem w okresie świątecznym, ale tym razem nie mam wyjścia. Otwieram tu oddział mojej firmy i jak nie będę trzymał ręki na pulsie, wszystko się rozleci, zanim się na dobre rozkręci.

– Co to za firma?

– Konsultingowa. Doradzamy innym firmom, jak instalować programy komputerowe do inwentaryzacji i rachunkowości. Nic specjalnie wymyślnego, ale oferujemy nowy system i nowy język komputerowy.



– To pewnie bardzo skomplikowane?

– Gdzie tam, wiele hałasu o nic. Efekt końcowy jest najprostszy pod słońcem. Firma wysyła rachunek, pani go płaci. Tyle że staramy się tak zaprogramować komputer, żeby nie wysyłał tego samego rachunku dziesięć razy, co się często zdarza.

Rebeka się uśmiechnęła.

– Wiem coś o tym.

– Parę lat temu zwinąłem poprzedni interes – podjął. – Ale komputery doprowadzały mnie zawsze do rozpacz, więc postanowiłem poświęcić cały wolny czas, żeby je ujarzmić. Najśmieszniejsze, że ja jestem kompletnym imbecylem, jeśli chodzi o komputery. Ale czy nie o to właśnie chodzi? Żeby komputery służyły takim idiotom jak ja, a nie tylko ekspertom, którzy je programują?

– Brzmi to sensownie – przyznała Rebeka.

– Nie pozwala mi się to przynajmniej nudzić – ciągnął. – Ale muszę przyznać, że zapomniałem, ile nerwów kosztuje zakładanie nowej firmy. Czasami wolałbym siedzieć w domu i malować garaż.

– Wszystko się na pewno ułoży – pocieszyła go Rebeka. – To nie spędzi pan świąt w domu?

– O, nie, chcę wrócić na wigilię. Ale zakupy muszę zrobić tutaj. To dla mnie rzecz nowa, niezbyt pożądana. – Spojrzał melancholijnie na swoją torbę z zakupami. – Założę się, że niedługo będę to zwracał. Jakoś w styczniu.

– Może nie będzie tak źle. – Rebeka uśmiechnęła się ponownie. – Jak córka ma na imię?

– Christine.

– Studiuje?

– Tak, na Uniwersytecie Stanu Wisconsin. Jest na trzecim roku.

– Mieszka w akademiku?

– Co to, to nie! – zaśmiał się. – To nie dla niej. Gdyby to były lata sześćdziesiąte, toby maszerowała na Waszyngton albo agitowała za zamknięciem uniwersytetu. Teraz spędza każdą wolną chwilę na protestach przeciwko elektrowniom atomowym i toksycznym odpadom. Nawiasem mówiąc, to przezwisko, którego używa w stosunku do mojej osoby. Jak się na mnie wścieknie, to wrzeszczy: „Jesteś odpadem toksycznym, tato!”.

– Niezbyt ładnie – zaryzykowała Rebeka.

– To tylko żarty. Christine ma ostry języczek. Odziedziczyła go po matce. Widzi pani, przez całe życie pastwiły się nade mną cztery zdecydowane kobiety. Christine to już straż tylna. Niczego tak nie pragnie, jak uratować mnie dla potomności. Uważa, że jestem beznadziejnie zacofany.

Wyjął z portfela zdjęcie i podał Rebecę. Dziewczyna wyglądała na nim bardzo młodo – była to pewnie fotka do rocznika szkolnego. Miała rude włosy i zielone oczy. Rzucało się w oczy podobieństwo do ojca. Rebeka poczuła ukłucie bólu.

– Co pan jej kupił?

– Sukienkę. Chce pani zobaczyć?

Wyjął z torby pudełko, otworzył. Sukienka, którą pokazał Rebecę, nie mogła bardziej nie pasować do dziewczyny o charakterze Christine.

– Nie musi pani mówić – westchnął, widząc minę Rebeki. – Kompletny niewypał, tak?

– No, może to za silne słowo.

Sam Bittman popatrzył na nią z nadzieją.

– Nie wiem, czy miałyby pani jeszcze siłę, żeby mi wyświadczyć wielką uprzejmość?

– Mianowicie?

– Nie wróciłaby pani ze mną do Harpera i nie pomogła mi wybrać coś innego?

Rebeka uśmiechnęła się do niego.

– To niewielka cena za uratowanie mnie z windy. Z przyjemnością panu pomogę.

Sam Bittman wyraźnie się odprężył. W dobrych humorach, zamówili zupę cebulową i sałatkę nicejską. Jedzenie było pyszne, a Rebeka ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się zaskakująco swobodnie w towarzystwie tego niepozornego mężczyzny.

Potwierdziło się jej przypuszczenie, że jest wdowcem. Jego żona umarła trzy lata temu i to było prawdziwym powodem jego ucieczki w nową ambitną karierę. Kiedy zaczęła chorować, pracował w handlu hurtowym i myślał o wcześniejszej emeryturze. Załamany po jej śmierci, pozwolił wspólnikom wykupić firmę, po jakimś czasie rzucił się jednak z powrotem w wir pracy. Zaangażował programistę do pomocy w opracowaniu nowego systemu komputerowego, który zaczął wkrótce z powodzeniem sprzedawać na całym Środkowym Zachodzie Stanów. Teraz organizował filię w Kanadzie.

Wyzwanie zdawało mu się służyć, choć Rebeka pamiętała, że miał zawsze zmęczony wygląd, kiedy go spotykała w hotelu. Jasne było, że usiłuje ból utopić w pracy. Rozumiała go tym lepiej, że sama nosiła w sercu ból.

– Wygląda na to, że sprawy dobrze się panu układają – powiedziała. – Dwie starsze córki mają już własne rodziny, a młodsza...

– ... tylko udaje, że mnie nie cierpi – dokończył za nią. – Cóż, po prostu brakuje jej matki. Ale ma pani rację, nieźle nam się układa. Trzymamy się jako rodzina. W obecnych czasach, w naszym stuleciu, to wiele, prawda? Czasem myślę, że zawdzięczamy to Margery. Dużo nas nauczyła, nim odeszła.

Starsze córki miały na imię Gretchen i Anna. Rebeka nie zapamiętała imion ich mężów. Jedna miała dwoje dzieci, druga maleńkiego synka. Sam Bittman zdawał się nader dumny ze swoich córek, nie wyłączając Christine, która – jak Rebeka podejrzewała – jest do niego najpodobniejsza i najbliższa jego sercu.

Rebeka czuła pokusę opowiedzenia mu o Dusty i o swoim dawnym życiu. Nie mogła nie zazdrościć, słuchając tej krzepiącej opowieści o jego kochającej się rodzinie. Poza tym pragnęła się odwzajemnić. Takie przypadkowe rozmowy muszą mieć wspólny grunt, myślała, a jest przecież wiele rzeczy, które ją łączą z tym mężczyzną. Nie mogła jednak opowiedzieć o czymś, co sama zniszczyła.

Ten wspólny lunch był dla niej tyle przyjemny, co bolesny. Serce jej rosło, kiedy słuchała Sama Bittmana, musiała się jednak cały czas trzymać na wodzy, kryć ze swymi uczuciami. Czuła się jak szpieg, osoba, której każde słówko w rozmowie jest kłamstwem, bo fałszywa jest cała jej tożsamość.

Na szczęście Bittman jakby wyczuwał kłopotliwy charakter jej sytuacji i nie zadawał pytań. Opowiadał zabawne historyjki z życia swojej rodziny, a Rebeka uśmiechała się uprzejmie i od czasu do czasu udzielała drobnych porad, kiedy tego oczekiwał.

Po lunchu wrócili do domu towarowego, gdzie pomogła mu wybrać parę spodni i sweter, zestaw, który miał w sobie coś niezobowiązującego, a zarazem eleganckiego. Bittmanowi zaśmiały się oczy, gdyż rozpoznał w tym

wyborze styl córki. Zapłacił kartą kredytową, psiocząc przy tym na podatek prowincyjny, po czym zasypał Rebeke podziękowaniami.

– Życie mi pani ratuje! Ale uprzedzam, że wezmę całą zasługę na swoje konto. Niech Chrissie myśli, że jej staruszek choć raz utrafił w jej gust, że ją zna jak ona siebie. Będzie to pierwszy prezent od lat, który nie powędruje 26 grudnia z powrotem do sklepu. Z wyjątkiem słodczy, oczywiście.

– Nie pozwoliłabym, żeby było inaczej – roześmiała się Rebeka. – Cieszę się, że mogłam panu pomóc

– Proszę mi mówić Sam.

– A więc cieszę się, Sam. I jeszcze raz dziękuję za wydobycie mnie z tej windy.

– Nie ma sprawy. Od czego są sąsiedzi?

Złapali przed domem towarowym taksówkę i wrócili razem do hotelu. Sam uścisnął jej rękę i pozostał w holu, zaś Rebeka, nie bez skurczu strachu, wsiadła do windy.

Przekręcając klucz w drzwiach, poczuła ogarniające ją zmęczenie. Wyprawa na zakupy niezbyt się udała. Wracała z pustymi rękami, przynajmniej jeśli chodzi o prezent dla Toniego. Zmęczyła ją też rozmowa z Samem Bittmanem, w trakcie której miało nią tyle sprzecznych uczuć.

Weszła do pokoju. Na biurku spostrzegła lokalne wydanie dziennika „Globe and Mail” i przerzuciła parę stron, szukając wiadomości ze Stanów. Później sięgnęła po kupowany przez Toniego tygodnik „Maclean's” i zaczęła czytać jakiś artykuł, lecz po chwili stwierdziła, że nie wie, o czym czyta. Wahala się chwilę, czyby się nie zabrać do „La Presse”, którą kupiła dla odświeżenia swojej francuszczyzny, ale zrezygnowała.

Zastanawiała się właśnie, czy wziąć kąpiel, czy uciąć sobie drzemkę, kiedy w zamku zazgrzytał klucz. Zaskoczona, myślała przez mgnienie oka niemądrze, że to może Sam.

Drzwi się otworzyły i ujrzała Toniego. Wyglądał młodzieńczo i wyjątkowo przystojnie w swoim ciemnym garniturze.

– Wracasz wcześniej. Wstała, żeby go pocałować.

– Skończyłem, co miałem do zrobienia. Nie było sensu dłużej siedzieć.

Objął ją długim ramieniem. Roztaczał jak rano aurę młodości, choć przebijała spod niej lekka woń zmęczenia po całym dniu pracy. Przygarnął ją mocno. Poczula ogarniającą ją żądzę. Emanująca z niego męska siła obudziła z uśpienia jej zmysły.

– Kim jest ten mężczyzna, z którym cię widziałem na dole? – spytał nagle.

– Mężczyzna?

– Starszy facet. Wysiadałaś z nim z taksówki.

– Ach! – Posłała mu uśmiech. – Nazywa się Bittman. Prowadzi tu jakieś interesy. Spotkaliśmy się w domu towarowym. – Roześmiała się teraz na głos. – Utknęłam w windzie, a on wezwał pomoc.

– Naprawdę? Najadłaś się strachu?

– E, nie. Wszystko to trwało kilka minut. Ale byłam mu wdzięczna za pomoc. Żeby się zrewanżować, pomogłam mu wybrać prezent dla córki.

Z niewiadomego powodu postanowiła się nie wyrywać z informacją o wspólnym lunchu.

– Widziałem go kilka razy w hotelu – zauważył Toni.

Rebeka kiwnęła głową.

– Tak, zatrzymuje się tu, ilekroć przyjeżdża. Otwiera w Kanadzie filię swojej firmy. Komputery czy coś takiego

– Ach, tak...

Zakołysał nią kilka razy, nie odrywając bioder od jej ciała.

– Żonaty? – zapytał.

– Wdowiec – odparła. – Ma trzy córki – dorzuciła trochę zbyt pośpiesznie.

– Córki? – powtórzył Toni z zastanowieniem.

– Tak.

Zaległo milczenie. Toni patrzył jej w oczy.

– Więc nie było to takie straszne?

– Zamknięcie w windzie? Och, tylko przez moment. Złękłam się trochę, ale nic więcej. Naprawdę nie było żadnego niebezpieczeństwa.

– A jak się teraz czujesz?

– Nigdy nie czułam się lepiej.

– To chciałem usłyszeć.

Pocałował ją znów, bardziej zmysłowo, po czym przesunął dłońmi po jej pośladkach. Rebeka chciała coś powiedzieć, ale ogarnęła ją niemoc. Słowa zamarły jej na ustach. Toni wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Długo trwało, nim wrócili do rozmowy.

## *Rozdział 18*

Toni i Rebeka postanowili spędzić Boże Narodzenie w ośrodku sportów zimowych Cally Mountains, sto mil od Grace Island. Pogoda była tam niemal gwarantowana, trasy narciarskie dobre, a schronisko przestronne i przytulne. Urokliwa górská chata była z pewnością lepszym miejscem na spędzenie świąt niż hotel w mieście.

W dniu wyjazdu natknęli się w holu hotelowym na Sama Bittmana. Niósł niewielką, lecz mocno wypchaną torbę podróżną, niewątpliwie bagaż podręczny do samolotu, oraz torbę z zakupami. Odchodził właśnie od recepcji, kiedy wysiedli z windy. Jego twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech.

– Wraca pan do domu? – zapytała. – W takim razie wesołych świąt!

– Jadę na ostatnią chwilę. Przed godziną miałem tu jeszcze spotkanie. Łapię samolot do San Francisco i jeśli nie zawiodą dalsze połączenia, jeszcze dzisiaj będę spał we własnym łóżku.

Rebeka ujęła Toniego za łokieć.

– To jest Sam Bittman z Wisconsin, a to Toni Delafield – przedstawiła ich sobie. – Poznałam pana Bittmana, robiąc świąteczne zakupy.

– Miło mi pana poznać – powiedział Sam. – I wesołych świąt!

– Dziękuję, wzajemnie.

Wymienili uścisk dłoni.

– To pan uratował Rebeke z windy, prawda?

– Och, zadzwoniłem tylko po pomoc, a potem czekałem, aż monter naprawi dźwig.

– Chyba już pana gdzieś widziałem.

– Z pewnością! Tak często tu przyjeżdżam, że rezerwują mi zawsze ten sam pokój. Przyzwyczailem się do niego, chociaż widział lepsze czasy,



jak i ja zresztą. Fotel jest wysiedziany w sposób identyczny jak mój własny w domu.

Umilkł. Rebeka czuła, że miałby ochotę zadać Toniemu zwykłe grzecznościowe pytania – co tu robi, co go łączy z Rebeką i tym podobne – jednak świadomie wybiera taktowne milczenie. Postanowiła przerwać niezręczną ciszę.

– Pan Bittman ma córkę w wieku Dusty – powiedziała do Toniego i natychmiast pożałowała tych słów. – Zapomniałam, jak jej na imię.

– Christine. Wiozę tu dla niej mały prezent. – Sam uniósł torbę i zwracając się do Toniego, wyjaśnił: – Pani Lowell uratowała mi życie. Po raz pierwszy jestem odpowiednio przygotowany do roli Świętego Mikołaja.

Toni nie odpowiedział.

Cisza, która potem zapadła, była jeszcze bardziej niezręczna. Rebeka zdawała sobie sprawę, że każde pytanie, które Sam mógłby zadać, musiałyby prowadzić na niebezpieczne tory. Całe to spotkanie było niefortunne. Wybrali z Tonim życie, które im uniemożliwia normalne ludzkie kontakty, zwłaszcza z Amerykanami, myślała ze smutkiem. Cóż, musiała się z tym pogodzić, teraz zaś nie pozostawało jej nic innego, jak szybkie zażegnanie tej kłopotliwej sytuacji.

– Cóż, szczęśliwej podróży – powiedziała do Sama.

– I pewnie do zobaczenia w nowym roku.

– Z pewnością. Wygląda na to, że będę często tu przyjeżdżał. Chyba nawet polubiłem to miejsce, włącznie z mgłą. Zawsze to lepsze niż burze śnieżne w Wisconsin.

Za drzwiami hotelu uderzył Rebeke w twarz mokry chłód.

– Nie podoba mi się ten facet – oświadczył Toni.

– Robi wrażenie porządnego człowieka – odpowiedziała bagatelizującym tonem. – Wdowiec z młodą córką i nowym biznesem. Jest tym chyba trochę przytłoczony, ale wygląda na nieszkodliwego.

Toni milczał.

– Bardzo go chyba dotknęła śmierć żony – dodała. – Tak sędzę po jego wyglądzie. Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że to stary człowiek. Dopiero jak się do mnie odezwał, od razu wydał mi się o dziesięć lat młodszy. Pewnie to ból tak zmienia.

Uświadomiła sobie, że broni Sama przed Tonim, ale nie widziała, jak inaczej mogłaby zareagować.

– Co z tobą? – zapytała wesoło. – Gdzie twój świąteczny nastrój?

Posłał jej ostre spojrzenie, ale szybko się rozpromienił.

– Nic mi nie jest. Jedźmy.

Wynajęli auto za pośrednictwem hotelu. Umowę musiała podpisać Rebeka, bo Toni nie ukończył jeszcze wymaganych dwudziestu pięciu lat. Portier włożył do bagażnika ich walizki i torby z prezentami, powiedział, jak trafić do przystani, i uśmiechnął się na pożegnanie.

Jadąc przez miasto w stronę promu, zbyt byli zaabsorbowani, by rozmawiać. Rebeka czytała mapę i dawała Toniemu wskazówki. Po trzech kwadransach jechali już wśród malowniczych wzgórz, a na horyzoncie majaczyły pokryte śniegiem szczyty. Dwujęzyczne znaki drogowe i odległości w kilometrach zamiast mil nadawały krajobrazowi egzotyczny posmak.

– Cudownie tak jechać w nieznane – powiedziała Rebeka. – Nie wyobrażam sobie lepszej Gwiazdki!

Śledząc przesuwane się za oknami widoki, dotknęła ramienia Toniego.

– Jest coś, czego o mnie nie wiesz. W Boże Narodzenie nie mogę się doczekać prezentów jak mała dziewczynka. Wyciągnę cię pewnie z łóżka o wpół do siódmej!

– Zawsze wiedziałem, że jesteś małą dziewczynką – odparł, po czym dorzucił coś zaskakującego: – Muszę na ciebie uważać.

– A to czemu? – zdziwiła się.

– Nie widzisz, jakie robisz na ludziach wrażenie?

– O czym ty mówisz?

– Na przykład ten dziadyga w hotelu. Wpadłaś mu w oko.

Rebekę zatkało.

– Komu? – spytała.

– Temu starszemu facetowi z córką. Bittmanowi czy jak mu tam.

Rebeka parsknęła śmiechem.

– Jemu? Wpadłam w oko? Oszalałeś, Toni? Posłał jej nieoczekiwane wrogie, podejrzliwe spojrzenie.

– Nie zarzekaj się tak – powiedział ostrzegawczo.

Rebeka obróciła wzrok ku drodze. Góry zbliżały się bardzo powoli. Pragnęła teraz jechać szybciej, znaleźć się jak najprędzej na miejscu. Ledwo dostrzegalne zbliżanie się stawało się nie do zniesienia. Milczała nie spuszczać oka z gór. Nie wiedziała, skąd jej się bierze ta niecierpliwość.

Wypad w góry udał się nadspodziewanie.

Schronisko, całe z drewnianych bali, było odświeżenie udekorowane. W salonikach i kawiarenkach błyskał i trzaskał na kominkach ogień, wygodne fotele i kanapki zapraszały do odpoczynku. Gości nie było ani za dużo, ani za mało, w swoich grubych swetrach i wełnianych skarpetach sprawiali swobodne wrażenie i nie krępowali swoją obecnością.

Restauracja była duża, z pianistą, który z humorem grał kolędy i przeboje, zręcznie okraszając stare tematy fragmentami z Gershwina i Cole Portera. Za zachętą Toniego, Rebeka poprosiła kilka razy o swoje ulubione melodie, a pianista z wdziękiem spełniał jej prośby. Ilekroć schodzili potem z Tonim na kolację, witał ich którąś z nich.

Dzień spędzali na nartach. Na łatwiejsze trasy jeździli razem, po czym Rebeka przyglądała się z dołu, jak Toni pokonuje trudniejsze. Ciekawie było obserwować go z takiej odległości, małą postać, spuszczałą się zakosami ze zbocza w kompletnej ciszy, rozpoznawalną tylko po czerwonym szaliku, który mu kupiła w hotelowym kiosku z prezentami. Zdawał się daleki, niemal nierealny, gdy tak meandrował po górskim stoku. Potem robił się coraz większy i większy, aż w końcu hamował przed nią ze zgrzytem nart o zbity śnieg.

Mroźne powietrze działało na nią dziwnie podniecająco. Raz zwabiła Toniego do pokoju na godzinę przed zmierzchem i wstali z łóżka dopiero, gdy kończyły się godziny wydawania kolacji. Nazajutrz Toniego bolały mięśnie. Masując mu plecy, Rebeka nie mogła się powstrzymać, żeby ich co chwilę nie całować. Pieszczoty te prowadziły nieodmiennie do nowego seansu miłosnego—

- Wyprujesz ze mnie wszystkie siły – śmiał się wówczas Toni.
- Bzdura. Nie zauważyłam, żebyś miał dosyć.
- Bo jesteś stworzona, żeby mnie podniecać.

Obejmował ją w ten swój delikatny sposób, a ona całowała kędzierzawe włosy na jego piersi. Ciała mieli przesycone zapachem miłości, łóżko zaś było nagrzane tak, że trudno się było z niego wyrwać.

Rebeka lubiła go podniecać. Czasami robiła to jak psotna dziewczynka, dla zabawy, obejmując go zniecka, gdy był już na w pół

ubrany. Wiedziała, że wystarczy kilka pocałunków, by pociągnąć Toniego z powrotem do łóżka. Dawno nie czuła się tak pożądana.

Właściwie nigdy. Jak daleko może sięgnąć pamięcią, stwierdzała teraz, jej cała kobiecość ograniczała się do instynktu macierzyńskiego wobec Dusty. Instynktu, który zakładał rezygnację z własnych potrzeb, wyzbycie się wszelkich składników kobiecości poza matkowaniem. I oto Toni jednym zamachem przywrócił ją sobie. Czy może należałoby raczej powiedzieć: obudził dla siebie. Utraciła bowiem coś istotnego, jeszcze nim urodziła Dusty. Utraciła to czy może wyrzekła się tego z własnej nieprzymuszonej woli. Oto bolesna dwoistość, wokół której kręciło się jej życie. Oto powód, dla którego od tak dawna trudno jej było przejrzeć się w lustrze.

Teraz może stanąć nago przed lustrem i patrzeć, jak ramiona Toniego obejmują ją z tyłu. Patrzeć na jego piękne młode ciało, czuć, jak wzbiera ono żądzą, mówić sobie: „Pożąda mnie. To właśnie mnie pożąda”.

Myślała o tym w Boże Narodzenie, kiedy mu ofiarowała sweter i nową teczkę, a dostała od niego śliczną bransoletkę oraz spódnicę z dobraną do niej bluzką. Całe świąteczne popołudnie spędzili potem w łóżku. Dla Rebeki najcenniejszym świątecznym darem był sam Toni, jego namiętność, jego zachwyty, szczęście, jakie jej daje. Był darem, dla którego wiele warto poświęcić. Może nawet wszystko.

Nie opuszczała jej ta myśl przez cały cudowny dzień Bożego Narodzenia, rozświetlając coraz bardziej cienie, w których spoczywało dotąd jej prawdziwe ja. Nigdy przedtem nie widziała tak jasno, na co się ważyła, ile zaryzykowała i ile utraciła. Nadawało to jeszcze bardziej niezwykły wymiar jej pożyciu z Tonim, rodziło jeszcze gorętsze doznania.

Po pysznym obiedzie w restauracji i grogu przy trzaskającym kominku w salonie, Rebeka leżała naga w ramionach kochanka. Zmysły buzowały jej

wspomnieniami dnia, rozliczne wrażenia i obrazy przemykały w myślach i odpływając – jak odpłynąć musi wszystko, nawet najpiękniejsze chwile – pozostawiały w pamięci niezatarty ślad.

– Kocham cię – szepnął Toni.

– Wesołych świąt – odpowiedziała.

Zaczynała ją ogarniać senność, kiedy na krótką chwilę zakłócił jej szczęście przelotny obraz bardzo małej Dusty, rozwijającej przy choince pudełka z prezentami – lalki, zabawki, dziewczęce sukieneczki. Zmęczenie po długim dniu z Tonim pozwoliło jej odepchnąć ten obraz. Zacisnęła powieki i z lekkim westchnieniem zapadła w głęboki sen. Sen, który pozbawiony był marzeń.

## *Rozdział 19*

Miało to być przyjęcie bożenarodzeniowe.

Dwóch studentów, którzy obiecali załatwić kokainę, zawiodło, ale pewien absolwent anglistyki przyniósł kef, który jego brat przeschmuglował minionego lata z Meksyku. Powinno go starczyć prawie dla wszystkich. Poza tym było mnóstwo alkoholu.

Zabawa odbywała się na przepastnym strychu dawnej fabryki fortepianów. Zebrało się ze trzydzieści, czterdzieści osób, głównie studentów, ale przyplątały się też jakieś ciemne typki z miasta. Chcąc mieć dostęp do narkotyków, trzeba było przymykać oczy na pojawianie się podobnych gości.

Ktoś przypiął do ściany plakat przedstawiający Mikołaja z wzwiedzionym członkiem. Nowo przybywający wybuchali na ten widok krótkim śmiechem, po czym pograżali się w rozmowach. Ogłuszająco dudniła muzyka.

Dusty przyszła ze studentem, kolegą kolegi Dana. Znała go tylko o tyle, że zdążyła się z nim dwa razy przespać. Pojawił się, jak ostatnio większość chłopców, jako głos w telefonie. „Cześć – rozlegało się w słuchawce. – Nazywam się tak i tak. Ten i ten powiedział, że może byśmy się poznali”. Później było jakieś mieszkanie, alkohol, kokaina czy tylko trawka. No, i oczywiście brudna pościel, w której się budziła niemal z reguły sama.

Nie brakowało jej ostatnio takich telefonów. Prowadziła podwójne życie. W dzień pilnie studiowała, w nocy spała, z kim popadło. Dbała jednocześnie o podtrzymywanie kontaktów z ojcem, nie chcąc, żeby nabrał

podejrzeń. Na spotkania z nim robiła staranny makijaż, ubierała się elegancko. Nie to co na randki.

Nie było to złe życie, jeśli pominąć kace, z którymi musiała się często zmagać z rana. Nie czuła nic. Było tak, jakby dryfowała po wielkim oceanie o falach na tyle spokojnych, że może się utrzymać na ich grzbietach i rozglądać dokoła. Nie przeszkadzało jej to czytać, pisać referaty, uczyć się do egzaminów, prowadzić rozmówki z ojcem. Wszystko bez zmrużenia oka. Wszystko pomalutku. Nic na siłę. Bez zachwiania równowagi. Tydzień temu przysłali jej wyniki za pierwsze półrocze. Zaliczyła semestr z przeciętną 4.

Tego wieczoru paliła kef, wypiwszy przedtem, może nierozważnie, dwa mocne drinki. Czuła pod skórą pulsowanie narkotyku, dłoni, w której trzymała szklaneczkę, wydawała jej się odległa o kilometr. Rozmawiając ze studentem, którego widziała już na jakichś imprezach, zastanawiała się leniwie, czy z nim kiedyś spała. Nazywał się Rick. Ktoś dolał jej do szklaneczki bourbonu z półlitrowej plastikowej butelki. Nie była pewna, czy przedtem też piła bourbon. Ciekawa była, jaki będzie nowy smak.

– Kończy się alkohol! – zawołał ktoś.

– Bo pijecie za dużo.

– Moglibyśmy zrobić zrzutkę – odezwał się inny głos. Może jej własny?

Uśmiechnęła się do chłopca. Zmarszczyła czoło, widząc, że to nie Rick. Albo już nie Rick. Ten był znacznie wyższy, miał kasztanowe włosy, piegi. Nie pamiętała go.

Zapytał ją, co studiuje. Powiedziała, że dziennikarstwo. Mówiła ogólnikowo, jak zawsze przy podobnych okazjach. Ot, formalna wymiana zdań, wstęp do pójścia do łóżka. Pociągnęła spory łyk ze szklaneczki – smakowało jak bourbon, ale nie była całkiem pewna – i doszło do niej, że



nieznajomy mówi coś o swojej pracy. Robił z czegoś doktorat. Był tak wysoki, że musiał się pochylić, żeby ją słyszeć w dudnieniu muzyki. Dusty zauważyła ze zdziwieniem, że zdaje się nieprzyzwoicie trzeźwy.

– Nie chciałabyś łyknąć świeżego powietrza? – zagadnął po chwili.

Zgodziła się, wyszli. Na dworze było zimno, lecz Dusty na szczęście przysłała w zimowym płaszczu. On miał krótką kurtkę i czapkę z pomponem, w której wyglądał dość śmiesznie.

Mroźne powietrze zakłuło ją w nozdrza. Chłopiec coś mówił, ale ją ogarniała fala słabości. Do oczu skakały jej refleksy latarni, odbite w mokrych czarnych płytach chodnika. Stanęła.

– Dobrze się czujesz?

W jego głosie brzmiał szczery niepokój.

– Nie masz auta?... – zaczęła i nie kończąc, osunęła się w jego ramiona.

Ocknęła się w obcym mieszkaniu. Chłopiec zdejmował z niej płaszcz. Stała chwiejnie, oparta o drzwi, kiedy wieszał płaszcz w szafie. Potem wziął ją pod ramię i poprowadził do pokoju. Zobaczyła podwójne łóżko z kołdrą oraz duże biurko z lampą i komputerem. Ściany kryły się za półkami z desek poukładanych na piramidkach cegieł, na półkach stały grube tomy, niemal wszystkie z dziedziny chemii.

Zrobiła krok w kierunku łóżka, zatoczyła się i prawie padła na nie z rozpędu. Chłopak zaczął ją rozbierać. Podniosła na niego wzrok. Biedził się nad rozpinaniem jej bluzki. Zobaczyła bursztynowy błysk w tęczówkach jego piwnych oczu. Ze swymi piegami na twarzy wyglądał bardzo chłopięco.

Straciła przytomność w momencie, gdy unosił jej biodra, żeby ściągnąć spódnice.

Obudziła się sama w pokoju. Między listewkami żaluzji sączyło się dzienne światło. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Musiała tu przyjść z jakimś facetem, ale nie mogła sobie przypomnieć, z kim była wczoraj. Leżała długo – a może tylko tak jej się zdawało – zastanawiając się nad sytuacją. Przypomniało jej się, jak ją obezwładnił alkohol. Miała okropnego kaca, nie mogła ruszyć ręką ani nogą.

Zachciało jej się siusiu, więc zebrała się w sobie i usiadła. Ból, z którego nie zdawała sobie sprawy, uderzył ją jak obuchem w głowę. Chwyciła się za skronie i potoczyła do łazienki.

W apteczce znalazła aspirynę, łyknęła od razu sześć tabletek. Oprócz aspiryny nie było w apteczce prawie nic – tubka cortaidu, buteleczka czegoś przeciw przeziębieniu, syrop na kaszel.

Usiadła na sedesie. Paraliżowało ją dudnienie w głowie i przez dłuższą chwilę nie mogła się wysiusiać. Jej uwagę zwróciła zasłona nad wanną – tani plastik, ale o przyjemnym barwnym wzorze. Wybrała mu ją pewnie dziewczyna albo matka. Mało prawdopodobne, żeby sam myślał o czymś takim.

Siedziała dobrą chwilę, skupiając całą siłę woli, żeby nie zwymiotować. Między nogami czuła pulsowanie. Nie wiedziała, czy miała wieczorem stosunek. Próbowwała sobie bezskutecznie przypomnieć, jak się tu dostała i jak wygląda facet, który ją tu przyprowadził.

Długo się rozkoszowała gorącym prysznicem. Pomogło jej to trochę. Potem, owinięta w ręcznik kąpielowy, zrobiła krótki obchód mieszkania. Oprócz sypialni składało się ono z małej kuchenki i pokoju od frontu, w którym był mały telewizor, kolekcja taśm wideo i sięgające aż pod sufit półki z desek na ceglach, zawierające setki książek.

Całe mieszkanie było czyste i schludne. Nawet szafki w kuchni, ze skromnym zasobem puszek z zupą, kubków i talerzy, lśniły czystością. Na stole zauważyła kartkę.

*W lodówce jest sok pomarańczowy, w szafce po lewej chleb na tosty i kawa rozpuszczalna. Czuj się jak u siebie.*

Nalała wody do kubka, wstawiła ją do kuchenki mikrofalowej. Całkiem tu przyjemnie, pomyślała. Skromnie, ale kulturalnie w sposób, z jakim się dotąd nie stykała. W dwu miejscach nie zajętych przez półki wisiały na ścianie plakaty. Jeden przedstawiał Einsteina, drugi chyba Nietzschego.

Kanapa była wysłużona, przykryta narzutą. Obok stał fotel z plastikowych pasków układających się do kształtu ciała. Środek pokoju zaścierał pleciony dywan.

Kiedy woda się zagotowała, zrobiła sobie mocną kawę i poszła z nią do sypialni. Jej spódnica i bluzka leżały starannie złożone na krześle. Uśmiechnęłyby się na ten przejaw dbałości, gdyby nie sparaliżowało jej znów dudnienie w głowie. Spozregła swoje pantofle, ustawione równo pod krzesłem, i stwierdziła, jak bardzo potrzebuje nowych. Te kupiła jej matka zeszłej wiosny. Były znoszone.

Posłała łóżko, zastanawiając się, czy do czegoś w nim doszło w nocy; nie posunęła się jednak do obejrzenia prześcieradła. Potem się ubrała, upięła włosy.

Była już gotowa do wyjścia, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje i jak trafić do domu. Zajrzała do torebki. Nosiła tam pieniądze na wypadek takiej sytuacji.

W szafie ściiennej wisiał jej płaszcz. Wkładając go, zauważyła kartkę przypiętą do kieszeni. Była to mapka przedstawiająca usytuowanie

mieszkania w stosunku do uniwersytetu. Wynikało z niej, że znajduje się zaledwie pięć przecznic od swojego mieszkania.

Spojrzała na zegar w kuchni: wskazywał kwadrans po dziewiątej. Zdaży przed zajęciami wstąpić do siebie po książki.

Przed wyjściem rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. Na półce nad telewizorem stała oparta o książki rodzinna fotografia. Przedstawiała młodego mężczyznę obejmującego ramieniem starszą kobietę, niewątpliwie matkę. Mężczyzna miał piegowatą twarz, krótkie włosy, skupioną minę. Obok stała podobna do niego dziewczyna. Pewnie siostra, zdecydowała Dusty. Zdjęcie zostało zrobione na dworze, przed jakimiś trybunami. Po świetle można się było domyślać, że rano. Matka, mimo uśmiechu, miała smutne oczy. Syn odziedziczył je po matce, córka wyglądała inaczej. Może wrodziła się bardziej w ojca, którego nie było na fotografii.

Dusty wsunęła mapkę do kieszeni. Wyczuła w niej kształt obcego klucza. Obróciła go w palcach, domyślając się, że to klucz do tego mieszkania.

Wkładając płaszcz, jeszcze raz obrzuciła okiem pokój. Kulturalne miejsce, pomyślała.

Wyszła z dudniącym bólem w głowie. Strome ciemne schody pachniały drewnem i lakierem. Na dole stał oparty o ścianę rower, w kącie wózek dziecięcy.

Na zewnątrz powitał ją lśniący poranek. Dusty zmrużyła oczy, w głowie załupało ją mocniej. Chłodne powietrze owionęło przyjemnie jej twarz.

Ruszyła na wschód, w kierunku uniwersytetu. W kieszeni miała klucz do obcego mieszkania.

## *Rozdział 20*

Pewnego chłodnego, mokrego styczniowego piątku Damon siedział w swoim gabinecie, omawiając sprawy minionego tygodnia z Bobem Kriegem.

Wszystko szło dobrze. Zabiegi Damona przynosiły rezultaty. Na ostatnim spotkaniu głównych inwestorów burmistrz zacytował jego pisemne opinie na temat stref budowlanych i podatków, opierając swoje wystąpienie na jego argumentacji.

– Wygląda na to, że ich przeciągnąłeś na swoją stronę – mówił Bob. – Na naszą stronę, powinienem pewnie powiedzieć.

– Odpukać! – odparł Damon z uśmiechem.

– Rozmawiałem wczoraj z gubernatorem – ciągnął Bob. – Jest pod wrażeniem. Wyraża się o tobie w samych superlatywach.

– Miło mi to słyszeć.

Damon wiedział, że Bob jest w bliskich stosunkach z gubernatorem. Studiowali na jednym roku na Harvardzie. Jeśli Bob mówi, że gubernator jest pod wrażeniem, to musi tak być.

– Chłopcy są zachwyceni, że potrafiłeś tak to rozegrać

– powiedział Bob bardziej oficjalnym tonem, jaki zawsze przybierał, mówiąc o wspólnikach jako grupie. – Jeśli tak dalej pójdzie i Hightower wypali, będzie to dla nas nobilitacja. A medal dla ciebie.

– Nie mogę jednak powiedzieć, żeby to należało do przyjemności – przyznał Damon. – Nie miałem nigdy do czynienia z takimi trudnymi klientami. Ale doświadczenie, i owszem, interesujące.

– Wiem, że nie przyszło ci to łatwo. Ale...

Damon zdawał sobie sprawę, że wspólnicy bacznie go obserwują. Minęło pół roku, odkąd Rebeka go rzuciła. Stopniowo ustały uprzejme pytania o zdrowie Irene. Czasem się zastanawiał, ilu z jego wspólników wyciągnęło własne wnioski co do nieobecności jego żony. Zmyślona historyjka nie mogła służyć w nieskończoność. Ma przecież do czynienia z adwokatami.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzało ciekawie dwóch wspólników, Tom Blackman i Evan Gaeth.

– *Sanctum sanctorum* – powiedział Tom. – Co wy tu knujecie?

\* *Sanctum sanctorum (łac.) – dosłownie: świętość świętości; miejsce prywatne, zastrzeżone.*

– Rozmawiamy o Hightower – odparł Bob. – Chcecie się przyłączyć?

Popatrzył pytająco na Damona, który był tu gospodarzem.

– Oczywiście, włączcie. – Damon przybrał serdeczny ton. – Napijcie się czegoś?

Tom i Evan chętnie przyjęli zaproszenie. Instynkt mówił Damonowi, że jest to wizyta oficjalna. Przyszli po to, żeby go pochwalić za jego wkład w sprawę Hightower i pociągnąć za język na temat najnowszych ustaleń.

Nie było w tym nic zaskakującego. Bob Krieg, jako stojący najbliżej Damona, pełnił podwójną rolę – jego powiernika w sprawie Hightower i łącznika z pozostałymi wspólnikami. Evan i Tom byli najbliżsi wiekiem Damonowi i Bobowi (to Evan wprowadził Damona przed dwudziestoma laty do firmy), oni to więc stanowili pomost między Damonem a starszymi wspólnikami.

Rozmawiali przez kilka minut. Damon zaprawiał barwnymi szczegółami sprawozdanie z ostatnich dwóch tygodni.. Nie była to pierwsza

podobna wizyta – wspólnicy wpadali do niego zasięgnąć języka co najmniej dwa razy w miesiącu. Damon czuł przez skórę, że sprawa Hightower jest dla firmy istotniejsza, niż którykolwiek z nich przyznałby otwarcie. Tak duży projekt łączyłby się oczywiście z rachunkami na grube sumy, a zyski firmy nie były w ciągu ostatnich dwóch lat – delikatnie mówiąc – takie, jak być powinny. Mogło się za tym jednak kryć jeszcze coś więcej. Damon nie wiedział, co.

– Może byśmy dokończyli tę rozmowę w „Grillu”? – zaproponował Tom. – Umieram z głodu.

Rozległ się szmer aprobaty. Damon pomyślał, że albo chcą go wybadać trochę skrupulatniej niż zwykle, albo któryś z nich ma mu coś ważnego do zakomunikowania. Ten lunch wchodził mu w paradę, ale ciekawiło go, co z tego wyniknie. Szczycił się swoją umiejętnością czytania myśli współpracowników. Rozumiał ich lepiej niż oni jego i przez dwadzieścia lat potrafił o krok wyprzedzać ich wszystkie pociągnięcia.

– No, to chodźmy. Powiem tylko Nancy, gdzie mnie szukać w razie czego.

Wstawał właśnie od biurka, kiedy zadzwonił telefon.

– Lowell, słucham – odezwał się do słuchawki. Głos po drugiej stronie linii brzmiał znajomo.

– Cześć, Damon, jesteś sam?

Z trudem opanował rumieniec.

– A, dzień dobry. – Instynktownie przybrał swój adwokacki ton. – Miło słyszeć pani głos.

Była to Ashley. Damon nie wiedział, co myśleć. Jak jej się udało z nim połączyć? Gdzie jest Nancy?

– Chcę się z tobą pieprzyć, Damon, teraz...



Zastanowił się szybko. Nie widział się z nią od wtorku. Miała wyjechać na weekend, nie spodziewał jej się zobaczyć do następnego tygodnia. Widać zmieniła plany.

Poczuł gwałtowny ucisk w kroczu. Dał współnikom znak, żeby poczekali.

– I jak sprawy? – powiedział zachęcająco do słuchawki. – Wszystko się układa?

Ashley milczała. Zorientowała się, że nie jest sam.

– To dobrze! – mówił tymczasem Damon do milczącej linii. – Świetnie!

Bob patrzył na niego podejrzliwie, dwaj pozostali wymienili między sobą krótkie uwagi. W uszach Damona wciąż dźwięczało niecenzuralne słowo Ashley. Twarze współników wydały mu się raptem niewymownie nudne i stare. Nie tylko w zestawieniu z bezwstydną, świeżą dziewczyną na drugim końcu linii, ale w szerszym sensie. Znał tych mężczyzn równie dobrze, jak kurz na podłodze, jak wysiedzianą skórę fotela. Nie mogli go niczym zaskoczyć. Tak jak nic nie może go już zaskoczyć w tej pracy. Wszystko to stara śpiewka, stereotyp odarty z sensu od długiego używania. A Ashley jest nowa.

– Nie możesz rozmawiać, tak? – upewniła się, usłyszawszy jego oficjalny ton.

– Mhm, rozumiem, oczywiście – mruknął w odpowiedzi.

– No to ja będę mówić. Chcę cię, Damon. Teraz, zaraz...

Ucisk w kroczu wzmocnił się i nasilił, tymczasem Ashley wyraźnie bawiła się jego zakłopotaniem.

– Jak pani sobie życzy – powiedział. – Oczywiście!

– Będę, wiesz gdzie, za pół godziny.



– Świetnie. Naturalnie.

– Stanął ci? Podnieciłam cię, co?

W jej głosie pobrzmiwał dziwny ton, coś między rozbawieniem a złośliwą uciechą.

Odłożył słuchawkę. Wspólnicy patrzyli na niego wyczekująco.

– Jest okropnie zdenerwowana. – Posłał im przeproszający uśmiech. – Dostała pismo strony przeciwnej. Idźcie, zaraz do was dołączę. Muszę się z nią na chwilę zobaczyć.

– Z kim? – zapytał Tom.

– Z taką jedną od Herzoga – skłamał, wymieniając nazwę firmy, której sprawę prowadził od niedawna. – Postaram się to szybko załatwić. Dołączę do was za jakieś pół godziny.

Wspólnicy wyszli. Za dwadzieścia minut, jeśli ruch nie będzie zbyt wielki, znajdzie się z Ashley w łóżku. Nie mógł się tego doczekać. Rozpalił go jej bezwstyd.

W Grace Island było wpół do drugiej. Toni Delafield wracał dziś z pracy wyjątkowo wcześnie.

Minął pierwszy roboczy tydzień po świętach. Toni wykonywał sprawnie analizy inwestycyjne, zabrał nawet teczkę jednego z klientów ze sobą na wakacje, a przez ostatni tydzień zostawał po godzinach. Wiedział, że jego pracowitość i inteligencja są dostrzegane przez szefów. Cóż, jego kariera będzie trudna i powolna, z pewnością nie tak łatwa jak ta, na jaką mógłby liczyć w Stanach, ale w końcu osiągnie swoje.

Czuł nowy przyływ energii, nową falę szczęścia. Zdawało mu się, że spędziwszy razem święta, wszedłszy w nowy rok kalendarzowy, skończyli z Rebeką budować fundamenty wspólnego życia. Jesień wlokła się powoli,

była często pełna niepewności i bolesnych wspomnień. Ale ich miłość przetrwała pierwszą próbę.

Spędzili razem Gwiazdkę, dali sobie nawzajem prezenty, wyjechali na krótkie wakacje jak prawdziwa para małżeńska. Rozpoczął się nowy rok – i oto znów prowadzą normalne, zwykłe życie. Ich miłość dowiodła swojej realności. Od dziś może się jedynie pogłębiać.

Idąc szybko zamgloną ulicą – w ostatnich dniach pogoda się ociepliła i zaczęła się słynna „styczniowa odwilż”, o której rozpisywały się miejscowe gazety – Toni usiłował ocenić swój pierwszy młodzieńczy poryw w świetle obecnego, bardziej złożonego uczucia do Rebeki.

W Cally Mountain czuł jej bliskość w nowy, inny, nieznany wcześniej sposób. Nie wiedział, na czym to polega. Kiedy ją poznał, zafascynowała go jej tajemniczość, jej głębia. Poddał im się bez zastanowienia, bez obawy, że może w tej miłości zatracić własne ja.

Wszystko to było nadal żywe, ale teraz, leżąc w jej objęciach, znajdując w nich schronienie i pociechę, doznawał dojmującego uczucia wdzięczności, niemal świętości. Ciepło jej ciała zdawało się stanowić osłonę przed okrucieństwem świata.

Zależność taka raniłaby może jego dumę, gdyby nie niewymowna rozkosz czerpana z jej pieszczot; gdyby nie świadomość, że kochając się z Rebeką, poddaje jej się w równej mierze, co ją bierze. Otwierało to przed nim cały świat zupełnie nowych doznań.

Gryzł się chwilami, że jest zbyt zachłanny, że przytłacza Rebeke ogromem swoich wymogów. Ale nie miał na to rady. Potrzeba była zbyt wielka, poddanie się zbyt rozkoszne.

Swoją rozterkę próbował pokrywać zdecydowanymi męskimi pieszczotami, finezją nowo nabytego doświadczenia. Nauczył się faktycznie,

jak mówi stara mądrość, grać na jej ciele niczym wytrawny muzyk na swoim instrumencie. Znał jej potrzeby, jej wrażliwe punkty równie dobrze, jak swoje własne. Ale nie chciał się stać jej panem.

Pamiętał powieść Prousta, którą mu poleciła w październiku. Była to historia obsesyjnej miłości. Kiedy bohater, Swann, zatracił się coraz bardziej w swoim uczuciu do kobiety, w pewnym momencie nie było już dla niego odwrotu. Nie mógł mu pomóc cały jego cynizm, całe bogate doświadczenie z kobietami. Jego miłość, jakby powiedział chirurg, stała się „nieoperacyjna”. Coś takiego odczuwał teraz Toni wobec własnej miłości. Napawało go to lękiem, który starał się ukryć przed Rebeką. Z drugiej strony napawało go również skrywaną dumą – czuł się tak, jakby przeszedł rodzaj inicjacji.

Znajdował się o przecznicę od „Royal Grace”, kiedy ujrzał przed hotelem Sama Bittmana. Ten wysiadł właśnie z taksówki, tuż za nim wysiadła zaś Rebeka.

W powietrzu wisiała gęsta mgła, ale widział ich wyraźnie w świetle hotelowej latarni. Bittman trzymał Rebekę za łokieć, uprzejmie pochylony. Przez ramię miał przerzucony płaszcz od deszczu, na nosie okulary. Zapłacił kierowcy, obrócił się potem do niej i coś powiedział, a ona się roześmiała.

Toni zwolnił kroku, żeby go nie dostrzegli.

Tamci stali tymczasem na chodniku, rozmawiając o czymś z wyraźnym zaciekawieniem. Wreszcie Bittman podniósł dłoń, jakby sprawdzał, czy nie pada, a Rebeka podniosła wzrok na niebo, które jakby wisiało tuż nad wieżowcami, otulając miasto. Toniemu wydało się w tym momencie, że dostrzega w oczach Rebeki beztroskę, jakiej nie okazywała nigdy w jego towarzystwie.

Bittman uczynił wesoły, bagatelizujący gest, jakby mówiąc: „Oczywiście mży. Tu zawsze mży” – po czym weszli do hotelu. Wyglądali razem swobodnie i naturalnie. Bittman uniósł rękę, jakby zamierzał objąć ją ramieniem, a ona zdawała się gotowa zdać na jego opiekę.

Toni zawrócił na pięcie i obszedł cały kwartał budynków, nim wszedł do hotelu.

W Nowym Jorku przedmiotem rozmów była przez cały wieczór marznąca mżawka, która przyszła nieoczekiwanie po południu. Na ulicach Manhattanu samochody wpadały w poślizg i uderzały jeden o drugi jak wagony hamującego pociągu. Znaki drogowe i lampy uliczne pokryte były lodem. Dalej od centrum zaczynały pękać linie telefoniczne.

Taksówka wioząca Damona utknęła w korku ulicznym. Zmrok spowijał unieruchomione pojazdy, kierujących ruchem policjantów, ślizgających się przechodniów. Zniecierpliwiony zapłacił kierowcy i ruszył pieszo pozostałe pięć przecznic. Jego eleganckie włoskie półbuty na skórzanych podeszwach były zupełnie nieodpowiednim ekwipunkiem na takie warunki. Kilkanaście razy omal nie upadł.

W Greenwich Village było nie lepiej, ale Dusty miała na nogach botki na kożuszkę, o antypoślizgowych podeszwach, kupione jej zeszłej zimy przez Rebeke, więc stapała stosunkowo pewnie po oblodzonym chodniku. Na ramieniu niosła torbę z książkami i małą torebkę. Wracała z ostatnich w tym tygodniu zajęć. Miała przed sobą mnóstwo wolnego czasu, bowiem semestr dopiero się zaczął i termin najbliższego referatu był jeszcze odległy.

Czekał ją samotny weekend. Nikt nie zadzwonił w tym tygodniu i musiałyby zrobić pierwszy krok, żeby zaaranżować sobie randkę. Chciała się z kimś przespać, ale wzdragała się przed telefonowaniem. Było to może niedorzeczne, ale nawet po tym wszystkim, co przeszła, zachowała jeszcze

jakaś pozostałość dziewczęcej skromności. Co innego zgodzić się pójść z kimś do łóżka i ponieść konsekwencje, a co innego uganiać się za mężczyznami.

Doszła powoli Czwartą Ulicą Wschodnią do Washington Square i ruszyła w kierunku Zachodniego Greenwich Village, okrążając park. Minąwszy bibliotekę i ośrodek studencki, przypatrywała się chwilę zabawnemu spektaklowi w parku, gdzie narkomani i handlarze narkotyków, ślizgając się i przewracając, usiłowali dobijać targu. Jakiś bezdomny, ratując się przed upadkiem, złapał za poły przechodnia, którego nagabywał o datek.

Na noc park zamkną. Po zmierzchu robiło się tu ostatnio niebezpiecznie, więc magistrat wydał odpowiednie zarządzenie. Próbowano ją zagadywać kilku mężczyzn, ale ona zachowywała tę minę i posturę mieszkanki Nowego Jorku, która ostrzega przechodniów, żeby się trzymali z daleka. Robiło się coraz ciemniej, refleksy latarni i neonów połyskiwały migotliwym blaskiem na czarnej, lśniącej jezdni.

Dusty postanowiła, że zaraz po przyjściu do domu zadzwoni do Carla albo Chrisa. „Cześć, co robisz?” –powie. Albo: „Szykuje się jakaś impreza?” Przygotowywała sobie wejście, zaciskając zęby w przewidywaniu chwili wymownego milczenia na drugim końcu linii. Będzie to upokarzające, ale musi to zrobić. Nie spędzi przecież samotnie weekendu. Wszystko, tylko nie to.

Minęła Sullivan Street i skręciła w prawo w MacDougal. Oddalała się od domu. Nie chciało jej się wracać. Książki ciążyły jej na ramieniu, ale szła dalej. Śliski chodnik stanowił wyzwanie, które czyniło zawrócenie w stronę domu tym trudniejszym.

Dotarła do Zachodniego Washington Square i skręciła w lewo, w ulicę, na której była tylko raz. W wieczornym mroku domy wyglądały obco.

Zatrzymała się przed jednym z nich i zmierzyła wzrokiem schodki prowadzące na ganek. Namacała w kieszeni obcy klucz.

Weszła po śliskich stopniach i zajrzała przez szybkę w drzwiach wejściowych. Zobaczyła skrzynki na listy, ale nie mogła odczytać na nich nazwisk. Weszła do sieni.

Odczytała nazwiska: Aurora, Burch, Ouintero, Lange. Dziwne, pomyślała, nie wie, o które jej chodzi. Wiedziała jednak, do których iść drzwi.

Zaczęła wchodzić po schodach. Drzwi, do których zmierzała, mieściły się na pierwszym piętrze po lewej. Zamarła z uniesioną dłonią, wahając się, czy zapukać. To szaleństwo, myślała. Czego ona tu szuka? Czas jeszcze zawrócić.

Zapukała. Nikt nie odpowiadał, więc włożyła klucz do zamka, przekręciła. Wsunęła się szybko do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Zobaczyła znajome półki. Fotografia rodzinna, oparta o grube tomy, wciąż ukazywała młodego mężczyznę obejmującego matkę. Obok stała podobna do niego siostra. Trybuna za nimi stanowiła wdzięczne tło. Prości, nieporuszeni. Czas zdaje się być po ich stronie, pomyślała.

Zdjęła płaszcz, powiesiła go w szafie, tam gdzie wisiał poprzednio. Usiadła, żeby poczekać.

Damon nie dołączył do współników. Zadzwoił do restauracji, że klientka od Herzoga histeryzuje i spacyfikowanie jej zajmie mu więcej czasu, niż przypuszczał.

Sam zjadł dopiero po trzykrotnym stosunku z Ashley. Czekala na niego w mieszkaniu, naga, ze zwiniętym prześcieradłem między rozłożonymi nogami. Wyzywająco sterczały jej młode jędrne piersi.

– Co, stanął ci? – zapytała. – Napaliłeś się na mnie?

Damon był zbyt zajęty zrzucaniem z siebie ubrania, żeby odpowiedzieć. W chwilę później leżał już na niej, całował ją łakomie, między nogami czuł jej dłoń.

Do diabła ze współnikami, kiedy ona mu daje tyle rozkoszy. Załatwi z nimi sprawę w poniedziałek. Nie może go zaskoczyć nic, co mają do powiedzenia na temat Hightower.

## *Rozdział 21*

Toni i Rebeka siedzieli w restauracji, którą odkryli niedawno na północy miasta. Reklamowana jako kontynentalna, miała kuchmistrza, który wprowadzał do kuchni francuskiej smaczki orientalne i bliskowschodnie. Była trochę za droga na ich kieszeń, Rebeka jednak chciała uczcić urodziny Toniego.

– Wszystkiego najlepszego! – powiedziała, trącając się z nim kieliszkiem szampana. – Wielu lat szczęścia.

– Dziękuję.

Toni kończył dwadzieścia cztery lata. To więcej niż połowa jej wieku, myślała nie bez satysfakcji. Z czasem różnica będzie się procentowo zmniejszać. Samo to czyniło urodziny Toniego szczęśliwą okazją.

– To nie moje urodziny są ważne – powiedział.

– Nie rozumiem...

– Nie będę się mógł doczekać piątego sierpnia – odparł, ujmując jej dłoń.

– Ach, tak...

Wiedziała, co Toni ma na myśli – piątego sierpnia minie rok od ich ucieczki.

– Nie wspominając już o jedenastym lipca – dodał.

– A to dlaczego?

– Wtedy cię pierwszy raz zobaczyłem.

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Rozczułała ją jego namiętność. Znajdowała w niej ucieczkę w ostatnich tygodniach, kiedy stosunki między nimi robiły się trudne.



– Za młody jesteś, żeby pozostać długo tak zakochanym – powiedziała, nie zdając sobie w pełni sprawy z wagi swoich słów. – To nie może trwać wiecznie. Przejdzie ci pewnego dnia.

– Nie licz na to zbyt.

Ścisnął mocniej jej rękę. Rebeka się roześmiała.

– Dlaczego? W twoim wieku zmiany następują bardzo szybko. Sam Bittman mówił mi w zeszłym tygodniu, że jego córka ma nowego chłopaka. Ledwo się pogodził z ostatnim, a tu już nowy.

W oczach Toniego pojawiło się nagle wrogie spojrzenie i Rebeka natychmiast pożałowała swoich słów. Ale było już za późno. Toni puścił jej rękę, wyprostował się na krześle. Już miała zacząć się tłumaczyć, ale przeproszenie za niewinną wzmiankę o Bittmanie wydało jej się absurdalne.

Pociągnęła szampana, patrząc na dłoń Toniego. Mimo gniewu, trzymał rżnięty kieliszek z instynktowną delikatnością. Palce artysty, pomyślała. Skąd takie smukłe, wrażliwe palce u tak sztywnego, upartego mężczyzny?

– Znów te twoje humory – powiedziała. Popatrzył na nią posepnie.

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Potrząsnęła głową, krew napłynęła jej do twarzy.

– Toni, nie możemy się wiecznie sprzeczać o nic.

– Czy aby na pewno o nic? Nie byłbym taki pewny.

– Absolutnie o nic!

Rozejrzała się szybko po sali, czy jej lekko podniesiony głos nie zwrócił uwagi gości przy sąsiednich stolikach. W jej przekonaniu prawda była oczywista. Jedyne, co łączy ją i Sama Bittmana, są córki w wieku studenckim. A i to w wątpliwej mierze, bo wszystko, co mu opowiedziała o Dusty, jest więcej niż w połowie kłamstwem.

– Gdyby nie Dusty... – zaczęła i urwała.

– Co chciałaś powiedzieć?

Westchnęła.

– Dla Bittmana jestem tylko podporą moralną, wsparciem w jego kłopotach z córką. Martwi się o nią, a we mnie widzi matkę, która wie, jak postępować z młodą dziewczyną. Po śmierci żony szuka pomocnej dłoni.

Prawdę mówiąc, Rebeke łączyła z Bittmanem wspólna więź utraty – ma się rozumieć, bardziej gorzka w jej przypadku – i rozmowy z nim pozwalały jej zasmakować fantazji, że Dusty stanowi nadal realną i ważką część jej życia. Do tego jednak nie mogła się oczywiście przyznać.

Toni uśmiechnął się ironicznie.

– Nie doceniasz siebie.

– Co to znowu znaczy?

– Ta jego córka to tylko pretekst – odparł. – Interesuje go coś więcej.

Rebeka zdobyła się na pobłażliwy uśmiech.

– Mój ty zazdrośniku! Z tą twoją gorącą głową gotów byś go wyzwąć na pojedynek.

– Jeśli to sposób na pozbycie się faceta, to czemu by nie?

– Pochlebiasz mi.

– Nie ma to nic wspólnego z pochlebstwem.

Rebeka po raz kolejny poczuła się rozdarta. Zdawało jej się, że jest matką zmuszoną do zażegnania infantylnych humorów krnąbrnego syna, a jednocześnie niewolnicą, której prywatne myśli i reakcje są przedmiotem ustawicznych podejrzeń zazdrosnego kochanka. A już na zupełny paradoks zakrawał fakt, że przystojny młody człowiek jest zazdrosny o niespecjalnie urodziwego starszego mężczyznę. Co dziwniejsze, właśnie to, że Sam jest starszy, zdawało się podsycać zazdrość Toniego. Niejako instynktownie bał się tej zwyczajności, przeciętności, braku olśniewającej urody.

I w pewnym pokrętnym sensie bał się całkiem słusznie. Sam reprezentował bowiem typ rodzinnego mężczyzny; uosabiał ideał ogniska domowego, jakie Rebeka rzuciła dla Toniego. Swoją powszednią osobowością i faktem, że zdawał się kochającym ojcem, budził w niej rodzaj nostalgii. Stanowił uderzający kontrast do gładkiego, zimnego i przewrotnego Damona. Z twarzy Sama dało się bez trudu czytać jego emocje. W jego towarzystwie Rebeka mogła być sobą, zachowywać się swobodnie i spontanicznie, nie tak jak ostatnio w obcowaniu z Tonim.

Zazdrość Toniego odzierała go z części jego atrakcyjności – ze zdolności pocieszania jej, bycia tym silnym, rozumiejącym, uwodzicielskim młodym mężczyzną, który się zjawiał na plaży w Sands Point i który zdawał się czytać jej myśli, odgadywać jej porywy.

Teraz wymagał od niej ciągłych zapewnień, których jednak, uparty jak dziecko, nie przyjmował, gdy mu je ofiarowywała. Szantażował ją, jeżył się na najmniejszą wzmiankę o Samie. Prowokował ją przy tym tak, że imię Sama wymykało jej się mimo woli w jakimś niewinnym kontekście i natychmiast stawało kamieniem obrazy.

Nie odpowiadała jej rola siostry miłosierdzia. Nie po to poświęciła dla niego tak wiele. W ich związek wkradło się niepotrzebne zażewie konfliktu, który zaczynał ją męczyć.

Popatrzyła z namysłem na przystojną, zaciętą twarz młodego kochanka. W kubelku mroziła się butelka szampana, który miał uświetnić uroczystość, popsutą teraz bezsensowną sprzeczką.

– Musisz z tym skończyć, Toni – powiedziała. – To absurdalne. Posuwasz się za daleko.

Nachylił się ku niej skwapliwie.

– A ty? Też chcesz z tym skończyć? – zapytał.

Rebeka nie zrozumiała w pierwszej chwili. Przez głowę przemknęła jej myśl o odzyskanej wolności, o zerwaniu z Tonim i pozostaniu samej.

– O czym ty mówisz?

– Zostań moją żoną. – Ujął jej obie dłonie, nie zauważając jej spojrzenia. – Najwyższy czas, nie ma co zwlekać. To przyczyna wszystkich naszych problemów. Weź rozwód, pobierzemy się na wiosnę. Wszystko się wtedy ułoży.

Rebeka uśmiechnęła się smutno do swoich myśli. Faktycznie zwleka. Toniemu mówiła, iż czyni to ze względu na Dusty. Powtarzała, że nie chce zrywać więzi rodzinnej, dopóki nie uda jej się pogodzić z córką. Do tej pory jednak Dusty nie odpowiedziała na żaden jej list, ona zaś nie miała odwagi prosić Damona o pomoc w nawiązaniu kontaktu z córką.

Nie była pewna, czy u podłoża obecnego zachowania Toniego leżą rzeczywiście jej opory względem rozwodu. Z jednej strony miała ochotę spełnić jego życzenie, wyjść za niego i położyć kres dwuznacznej sytuacji. Z drugiej, powstrzymywał ją konflikt, jaki kładł się ostatnio cieniem na ich związku. Chciała się czuć z Tonim swobodnie, zanim uczyni ostateczny krok. Niestety, w tym nowym roku czuła się tylko bardziej samotnie.

– Daj mi jeszcze trochę czasu – poprosiła, ściskając jego dłonie.

– Czas! – powiedział z goryczą, jakby mówił o odwiecznym wrogu.

Rebeka nie mogła mu odmówić intuicji. Istotnie, czas nie jest po ich stronie.

## *Rozdział 22*

Damon Lowell leżał pośrodku łóżka, które przez dwadzieścia trzy lata dzielił z Rebeką. Ashley siedziała na nim okrakiem, przegięta lekko do tyłu, podczas gdy on się trudił nad doprowadzeniem jej do orgazmu.

– Szybciej, chłopczyku – dyszała – wal, wal mocniej!

Była niestrudzona w podobnych okrzykach i ponagleniach, te zaś robiły się coraz częstsze, głośniejsze i bardziej gardłowe. „Rąb mnie, rąb mnie!” albo „Głęboko, głęboko!” – podobne zachęty padały za każdym razem, kiedy się kochali. Zauważyła na samym początku, że go to podnieca, i teraz nigdy w tym nie ustawała.

Czując nadchodzący spazm, Damon chwycił obiema dłońmi jej pośladki.

– Ta–ak! – jęknęła i pochyliła się nad nim, a jej włosy omiotły mu twarz.

Damon uniósł biodra, żeby wbić się w nią głębiej, po czym zastygł w tej pozycji, choć pamiętał, że kiedyś, może dziesięć lat temu, nadwreżył sobie w ten sposób plecy. Chyba z Alison.

Ashley, wstrząsana dreszczem, długo jęczała z rozkoszy. Damona rozpierała duma. Miał się za dobrego kochanka i cieszył się, że wciąż jest w formie. Wreszcie ucichła i zwinęła się koło niego.

Po chwili usiadła na poduszce i zapaliła papierosa – napominał ją, że to szkodliwy nałóg, ale niezmiennie odpowiadała, że u niej w biurze wszyscy palą. Położył głowę na jej biodrze. Pod pościelą rysowały się jej smukłe uda, które tak podziwiał. Uśmiechnięta, popatrzyła na niego z góry i szepnęła z uznaniem:

– Dobry byłeś!

– Ty też!

Wciągnął aromat perfum, które jej niedawno kupił, pomieszany z zapachem seksu. Siedzieli przez parę minut w milczeniu. Ashley zgasiła niedopałek, zapaliła drugiego papierosa.

– Opowiedz mi o swojej żonie – poprosiła nieoczekiwanie.

Damon oparł się o poduszkę, popatrzył w sufit.

– Znowu do tego wracasz? O czym tu mówić?

Ashley знаła podstawowe dane o jego życiu, było to nie do uniknięcia. Wiedziała, że ma córkę, bo Damon często prosił ją o usunięcie się z mieszkania bądź ścigał ją do niego po wizytach Dusty. Poza tym Ashley słyszała kilkakrotnie, jak rozmawiał z córką przez telefon. Wiedziała też – był to w końcu fakt powszechnie znany – o jego romansie z Alison Shore. Damon podejrzewał nawet, że Ashley zastanawia się czasami, czy romans ów należy rzeczywiście do przeszłości.

Ale najbardziej interesowała ją Rebeka. Znała jej twarz ze zdjęć rodzinnych, których nie brakowało w mieszkaniu. (Damon nie usunął ich częściowo z braku czasu, a częściowo w nadziei, że Rebeka do niego w końcu wróci. ) Domyślała się też, że meble i całe urządzenie zostały wybrane przez Rebeke. Wszystko w końcu – od obrazów po naczynia i garnki – nosiło tu piętno kobiecej ręki. Widziała też jej ubrania w szafie, które wciąż tu wisiały, a których Damon nie zamierzał na razie usuwać.

Ashley była nieodparcie ciekawa jego życia prywatnego, więzów, które utrzymywały jego małżeństwo, i konfliktu, który je rozerwał. Z początku taktownie nie pytała o to, teraz ośmieliła ją rodząca się między nimi zażyłość.

– Dlaczego się rozstaliście?

– Nie pytaj, nieważne.

– Ale ja chcę wiedzieć.

Podniósł na nią wzrok.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo to dotyczy ciebie. Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

Zirytowało to Damona. Nie traktował Ashley na tyle poważnie, żeby zawracać sobie głowę wyjaśnianiem jej swoich spraw, tak jak to czynił w stosunkach z Alison. Miał jak na razie dosyć podobnych przyjemności. Nie chciał się angażować emocjonalnie wobec żadnej kobiety, wiedział już bowiem, że prowadzi to do nieuchronnych komplikacji.

Niestety, Ashley emocjonalnie angażowała się równie silnie, jak seksualnie. Tego Damon nie przewidział, teraz stawało się to jednak aż nadto widoczne i musiał to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza, jeśli chciał się z nią nadal spotykać. Przywiązała się do niego w stopniu, który nie był jeszcze dla niego jasny, i była oczywiście ciekawa jego innych związków. Niemniej jej pytania wydawały mu się ingerencją w jego prywatne sprawy, więc milczał. Ashley usiadła wyżej na poduszce.

– Słyszałam, że to ona cię rzuciła.

Damon obrócił się do niej gwałtownie.

– Kto ci to powiedział?

Wzruszyła ramionami.

– Wszyscy tak mówią. Słyszałam od jednej dziewczyny w biurze.

– Niech to diabli! – zaklął, sięgając po kieliszek. – Nosem mi wychodzi to cholerne miasto. Człowiek nie może się wysikać, żeby nie wiedzieli o tym w Ratuszu.

Zaległo milczenie.

– To jak, rzuciła cię? – zapytała Ashley, gasząc papierosa.

Damon skrzywił się, zakręcił koniakiem w kieliszku.

– Nie twoja sprawa.

– Proszę cię, Damon, powiedz mi to jedno. To dla mnie bardzo ważne.

– Dotknęła jego piersi. – Mam chyba prawo wiedzieć?

Zacisnął palce na jej dłoni. Nie chciał jej tracić. Jest zbyt dobra w łóżku. I zapełnia w jego życiu istotną lukę. Ale nic nie sprawiało mu większej przykrości niż rozmowa o Rebecce.

– Nie mówmy o tym teraz, to zbyt bolesne. Może później.

– Wiesz, słyszałam zabawną historię – powiedziała z wahaniem, które wydało mu się udawane.

– Tak?

– Że cię rzuciła dla kogoś znacznie młodszego. Prawie chłopca. Dzieciaka, który mógłby być jej synem.

Damona ogarnęła wściekłość.

– Kto ci to powiedział?

– Mówiłam ci już, że wszyscy o tym mówią – powtórzyła, nie patrząc na niego.

W jej głosie nie było cienia dyskrecji. Przeciwnie, brzmiała w nim nutka prowokacji.

Damon zerwał się z łóżka, zmierzył ją z góry niechętnym wzrokiem.

– Idź już sobie – powiedział.

Ashley podniosła na niego niewinne oczka. Dłońmi obejmowała kolana, między ramionami przeżyły się jej młode piersi. Pod przykryciem widział zarys jej nóg. Ta wyzywająca, nieodparta uroda jeszcze bardziej go rozeźliła.

– Powiedziałam coś złego? – spytała.

– Nieważne. Idź już. Na dziś dosyć, a jutro mam ciężki dzień.



Ashley się nie ruszała.

– Dlaczego się z nią nie rozwiedziesz?

Damon się skrzywił, zacisnął pięści. Jej wścibstwo doprowadzało go do szału.

– Nie twoja sprawa, Ashley – powtórzył, siląc się na spokój. – Proszę cię, żebyś sobie poszła. Na tę noc. Porozmawiamy o tym innym razem. Teraz jestem zmęczony, chcę spać.

– Planowałam zostać na noc.

Wciągnął głęboko powietrze. Poczuł, że drżą mu ręce i ogarnęła go złość, że ta bezmyślna dziewczyna jest świadkiem jego słabości.

– Proszę cię, Ashley. Nie chcę się z tobą kłócić.

Opadła raptem na poduszkę, założyła ręce za głowę.

Jej ciało osunęło się głębiej w pościel.

– A co będzie, jeśli nie pójdę? – zapytała filuternie. – Jeśli mam ochotę pofiglować?

Damon trząśł się cały ze złości.

– Musisz – oświadczył. – Nie będzie żadnych figłów. Mam jutro ciężki dzień.

Nadała się. Była gotowa urządzić mu scenę. Wyraźnie miała ochotę prowokować go dalej.

W końcu jednak westchnęła ciężko i zrezygnowała.

– Dobrze – powiedziała. – Ale wiedz, że dla mnie jesteś pacan.

Damon odetchnął z ulgą.

– Dobrze, jestem pacan.

Ubierała się szybko. Patrzył, jak jej pośladki znikają w figach, potem w dzinsach. Boże, ale jest zgrabna! Trzeba wiedzieć, do czego zdolne są te uda, żeby je docenić. Całe jej ciało jest jedną wielką, cudowną tajemnicą.

Nawet będąc w niej, czuł czasami, że nie posiadał klucza do tej tajemnicy. Zdawała się ona paradoksalnie kryć w cieniach jej pospolitości.

Włożywszy sweter, zarzuciła na ramię płaszcz i podeszła do Damona, który wciąż leżał nagi na łóżku. Był zbyt pochłonięty przyglądaniem się jej, by wstać i narzucić szlafrok.

Ukucnęła na podłodze, położyła dłoń na jego udzie.

– Ona ci wyrządziła krzywdę, Damon – oznajmiła. – Ja bym tego nigdy nie zrobiła. Nigdy w życiu!

W jej głosie była powaga, jej oczy wyrażały – czy też udawały? – szczerłość.

– Wiem – odparł, starając się nadać głosowi równie szczerze brzmienie, choć był przekonany, że oboje kłamią.

– I jeszcze jedno – powiedziała, zbliżając twarz do jego twarzy. – Ja jestem prawdziwa, przekonasz się o tym. Ona nie była.

Pocałowała go, wsuwając z kocią zręcznością język do jego ust, a jej dłoń pobiegła śmiało w górę jego uda.

– Pamiętaj – szepnęła jeszcze i przerwała gwałtownie pocałunek.

Wstała. Damon odprowadził ją do drzwi. Patrzył, jak czeka na windę, tak jak często patrzył na Dusty. Ashley nie spuszczała z niego wzroku, aż otworzyły się przed nią drzwi, po czym jej młode ciało wsunęło się pewnie do windy.

Damon pokręcił głową i westchnął, wracając do mieszkania. Wkrótce był z powrotem w łóżku. Zasnął po stronie Rebeki.

## *Rozdział 23*

Nazywa się Cameron Burch i robi doktorat z chemii.

Dusty dowiedziała się tego owego dnia, kiedy weszła do jego mieszkania, korzystając z klucza, który jej wsunął do kieszeni. Cameron wrócił późno z laboratorium, gdzie prowadził ćwiczenia ze studentami, i zastał ją siedzącą na kanapie.

Usiłowała przywołać w pamięci jego twarz z tamtego pierwszego wieczoru, który spędzili razem, lecz tak naprawdę dopiero dzisiaj widziała go po raz pierwszy. Podziękowała, że pozwolił jej wtedy spędzić noc w swoim łóżku. Na jej pytanie potwierdził, że do niczego między nimi nie doszło.

Zaproponowała, że mogą sobie to teraz powetować, ale odmówił. Zaskoczona, zapytała, po co wobec tego przyprowadził ją wówczas do siebie.

– Byłaś kompletnie zamroczona – odparł. – Poza tym robiłaś wrażenie zagubionej i straszliwie samotnej. Pomyślałem, że nie masz dokąd iść na noc. Powtarzałaś, że nie chcesz wracać do domu.

– Serio? – zdziwiła się. Nic z tego nie pamiętała. –A dlaczego wsunąłeś mi klucz do kieszeni?

Zastanawiał się chwilę. Przesunął wzrok na półki pełne książek.

– Podobałaś mi się – odpowiedział wreszcie. – Miałem nadzieję, że może będziesz chciała mnie bliżej poznać. Oczywiście nie... nie w kontekście tamtego wieczoru.

Nie w kontekście tamtego wieczoru! Sposób wyrażania się naukowca.

Cameron posłał jej uśmiech.

– Nie wiedziałem, czy wrócisz. Ale wróciłaś. Cieszę się.

Dusty milczała. Popatrzyła na małą sztuczną choinkę na stoliczku przy telewizorze.

– Już dawno po świętach – zauważyła.

Przytaknął.

– Byłem w domu na Boże Narodzenie, a po powrocie nie miałem czasu jej rozebrać. Pomożesz mi?

Pomogła mu zdjąć skromne ozdoby choinkowe, które z łatwością się pomieściły w tanim tekturowym pudełku. Potem to samo uczynili z lampkami.

– Co dostałeś pod choinkę? – spytała.

– Nic nadzwyczajnego. – Uśmiechnął się. – Głównie ubranie. Moja mama jest zakochana w swetrach. Wydaje jej się, że nie mam głowy do tego, by dbać o swój ubiór.

Dusty popatrzyła na jego sweter. Wyglądał na nowy.

– To jeden z prezentów?

Pytanie przyprawiło ją o ukłucie bólu, którego źródła nie umiała jednak określić.

– Tak – potwierdził.

Stała dostatecznie blisko, żeby dotknąć kosmatej wełny. Położyła dłoń na jego ramieniu. Sweter zdawał się ciepły i miły w dotyku.

Cameron wyjął choinkę z podstawy i zaczął przyginać do dołu gałązki.

– Przytrzymaj pudełko – poprosił – a ja ją wsunę.

Na długim pudle, do którego wsuwał spłaszczoną choinkę, zauważyła napis „Made in Sri Lanka”. Po skończonym pakowaniu usiadła na kanapie i patrzyła, jak Cameron wynosi pudła do sypialni. Wrócił z melancholijnym uśmiechem.

– Cóż, do następnego roku – powiedział.

– Do następnego roku – powtórzyła.

– Zawsze mi żal, że Boże Narodzenie tak szybko mija – dodał, stojąc przed Dusty z opuszczonymi rękami. – To moje ulubione święta.

Chwilę trwała cisza.

– Moje też – potwierdziła.

Patrzył na nią. Siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami, głowę miała lekko spuszczoną. Nadawało jej to wygląd pogrążonej w myślach, bezbronnej.

– No, cóż – westchnął, jakby nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Cóż – powtórzyła za nim.

Uśmiech, który zbladł na jej twarzy, powrócił, kiedy podniosła na niego wzrok.

Następnego dnia po tej rozmowie, Dusty przeprowadziła się do Camerona.

Ściągnęła swój komputer i książki, umieściła je w sypialni. Cameron przeniósł swój komputer do drugiego pokoju i ustawił na biurku, które sobie zrobił z arkusza sklejk ustawionego na piramidzie pustaków.

Przez pierwsze dwa tygodnie gotowali na zmianę, potem zaczęli gotować razem. Dusty pamiętała kilka dań, których ją nauczyła Rebeka, teraz wzbogacała swoje umiejętności, korzystając z postrzępionego egzemplarza „Radości gotowania”, który znalazła na półce w kuchni.

Po kilku dniach Cameron zaczął sypiać z nią w jednym łóżku. Nie tykał jej, choć ona tuliła się do niego jak dziecko. Budziła się często w jego ramionach i leżała przez parę chwil bez ruchu, przyglądając się jego uśpionej twarzy, łagodnej i trochę smutnej w świetle poranka, mimo piegów,

które nadawały jej nieco filuterny wygląd. Jego osobowość zdawała się oscylować między dorosłym skupieniem na pracy a chłopięcą bez troską, której się jeszcze nie wyzbył.

Z każdym dniem Dusty prznosiła do jego mieszkania coraz więcej swoich rzeczy. Jego prawie puste szafy zapełniły się powoli jej ubraniami. Przyniosła też swoje wypychane zwierzątka, wśród nich pluszową żyrafę, którą dostała od Rebeki, kiedy kończyła liceum.

Gotując, rozmawiali. Usłyszała o dzieciństwie Camerona w Illinois, o przeprowadzce rodzinnej na północ stanu Nowy Jork, o jego studiach na uniwersytecie stanowym w Buffalo i o decyzji zrobienia doktoratu i zostania profesorem. Jego rodzice byli rozwiedzeni, ojciec pracował jako psycholog kliniczny w New Haven.

W pytaniach o jej życie Cameron ograniczał się do jej studiów i planów na przyszłość. Po jakimś czasie Dusty sama mu jednak opowiedziała o swojej rodzinie, o bostońskim pochodzeniu matki, o rozgłosie ojca. Wspomniała, że rodzice żyją w separacji, ale starannie przemilczała prawdę o Rebecce i Tonim. Przychodziło jej to bez trudu, gdyż Camerona zdawały się ciekawić tylko sprawy, o których chciała mu opowiedzieć. O nic więcej nie pytał.

Nie mieli zbyt dużo czasu na rozmowy, bo Cameron musiał nie tylko spędzać długie godziny na badaniach laboratoryjnych, ale także przygotowywać ćwiczenia dla studentów i sprawdzać ich prace. Kiedy Dusty szła do łóżka, on zazwyczaj ślęczał nad notatkami. Zasypiając, słyszała z drugiego pokoju kojący szum komputera i stukot klawiszy.

W weekendy chodzili na długie spacery, ale przeważnie milczeli. Czasem zabierał ją do kina. Raz, gdy w sali zgasły światła, ujął jej rękę. Dusty patrzyła to na ich splecione palce, to znów na ekran.

Nie sypiała więcej, z kim popadnie. Zostawiła Brit numer Camerona na wypadek, gdyby dzwonił ojciec, a sama przestała chodzić do swego mieszkania. Brit przekazywała jej wiadomości od chłopców, którzy znali jej numer z poprzednich miesięcy, ale Dusty nie oddzwaniała.

Wychodziła tylko na zajęcia i zaraz po nich wracała się uczyć. Popołudniami słuchała płyt Camerona. Była to niewielka kolekcja rzeczy przypadkowych, trochę starego jazzu, trochę muzyki folk, całość „Wesela Figara” w rozpadającym się pudełku. Dusty słuchała jednej płyty po drugiej, rozkoszując się nimi mimo częstych zgrzytów i skrzypów, które jakby tylko dodawały muzyce uroku staroci.

Nie powiedziała Brit o swoim życiu z Cameronem, choć spotkała ją dwukrotnie i domyślała się, że Brit ją podejrzewa o zamieszkanie z jednym z chłopców, z którymi sypiała. Brit była o nią wyraźnie zatroskana, mimo to Dusty w nic ją nie wtajemniczyła. Rzeczą niesłychanej wagi zdawało jej się odseparowanie Camerona od jej dawnego życia. Dotyczyło to zarówno koleżanek, jak i ojca. Z Damonem spotykała się jak dawniej.

– Przytyłaś trochę – zauważył kiedyś.

Nie odpowiedziała.

– To komplement.

– W takim razie dziękuję.

– I robisz wrażenie szczęśliwszej. To dobrze.

– Uhm.

– Prawie jak za dawnych czasów.

Ta niewinna uwaga, jak wiele innych, przywiodła jej na pamięć bolesne wydarzenia sprzed kilku miesięcy. Tym razem jednak Dusty nie odczuła tego tak dotkliwie, jak dawniej.

Nie była pewna swoich uczuć do Camerona. Ilekroć spojrzała w jego twarz, jawiła jej się ona w swoich różnych wcieleniach. Jednym był jego dzisiejszy wygląd, drugim mętny obraz chłopca z tamtego pierwszego spotkania na studenckiej popijawie, trzecim podobizna Camerona na owej rodzinnej fotografii, stojącego obok matki na tle trybun. Miała w oczach wszystkie te wcielenia, ale nie potrafiła ich połączyć w jedną całość. Jego życie wydawało się oddzielone od jej życia szybą tyle niewidoczną, co nieprzenikalną.

A przecież witał ją uśmiechem, ilekroć wracał do domu i zastawał ją czekającą. Sypiała u jego boku, wiedząc, że jej nie tknie. Potrzebowała go teraz serdecznie i drżała przed dniem, w którym czas lub okoliczności mogłyby ją od niego oderwać.

Z czasem opowiedział jej więcej o swojej rodzinie. Nie lubił ojca, który się powtórnie ożenił, darzył natomiast ciepłymi uczuciami matkę, która pracowała obecnie jako agentka ubezpieczeniowa. Nie musiała się zbytnio przyczyniać do jego utrzymania, bo miał stypendium asystenckie. Rad był z tego stanu rzeczy.

Jego młodsza siostra miała na imię Emily. Mówił o niej z pobłażliwym uśmiechem, nazywając ją „numerkiem”. Opowiadał też o starszym bracie, który był żonaty, miał dwoje małych dzieci i pracował jako agent handlowy fabryki motocyklów.

Cameron nie objawiał zbytnio swoich uczuć. Był powściągliwy, starał się jak najmniej eksponować swoją osobę. Kiedy dzwoniła Brit z wiadomością od ojca, oddawał jej słuchawkę i nigdy o nic nie pytał.

Godziny milczenia między nimi były dla Dusty równie cenne, jak okruchy rozmów, w których poruszali rozmaite nieistotne sprawy. Doceniała



fakt, że Cameron jej się nie narzuca, choć wiedziała, iż budząc się następnego ranka, stwierdzi, że śpi przytulona do jego boku.

Wróciwszy któregoś wieczoru późno z uniwersytetu, Cameron zastał ją skuloną na kanapie przed telewizorem. Czekając na jego powrót, włączyła telewizor w połowie filmu „Zaginęła Bunny Lake”\*, który ją zafascynował. Wszedłszy, Cameron stanął przed ekranem. W ciemnym pokoju bawili się jak dzieci Carol Lynley i Keir Dullea, grający rodzeństwo. Niepoczytalny brat brał zabawę za rzeczywistość, siostra starała się rozpaczliwie utrzymać fikcję, żeby nie odgadł, że ona zna prawdę.

*\* „Zaginęła Bunny Lake” (Bunny Lake Is Missing, 1965) – to nisko notowany w historii kina (mimo że grają w nim także Laurence Olivier i Noel Coward) film angielski w reżyserii Otto Premingera. Jest to dramatyczna historia młodej matki (właśnie Carol Lynley), która przeżywa jeden koszmar po drugim, czekając, aż Scotland Yard odnajdzie jej porwaną córeczkę.*

– Wyglądasz jak ona – zauważył Cameron, wskazując na Carol Lynley.

– Naprawdę? – zapytała. – Ale ona jest taka smutna. O mnie wszyscy zawsze mówili, że wyglądam na szczęśliwą.

Cameron nie odpowiedział. Zabrał się do sprawdzania prac studentów, a ona obejrzała do końca film. Potem wzięła prysznic i umyła głowę. Kiedy wróciła we frotowym szlafroku, Cameron leżał na łóżku, wciąż w ubraniu, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Wyglądał na zmęczonego. Położyła się koło niego, oparła głowę na jego ramieniu.

Leżeli przez dłuższy czas w milczeniu. Potem Cameron ujął jej dłoń i zaczął się delikatnie bawić jej palcami.

– Mam tylko ciebie – powiedziała.

Znowu zaległo milczenie. Cameron obrócił się do niej twarzą. Po kąpieli pachniała świeżością. Jej mokre włosy zmoczyły poduszkę. Spod rozchylonej poły szlafroka wyglądała pierś.

– Ja też – powiedział.

Sięgnął i przykrył połą zbyt śmiały dekolt. Dusty przysunęła się bliżej, a on ją objął. Zasnęła w szlafroku.

Kiedy się obudziła rano, leżała pod kołdrą. Camerona nie było. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że jest szczęśliwa.

## *Rozdział 24*

Problemy z Ashley się nasilały.

Zrobiła się zaborcza, domagała się, by Damon spędzał z nią coraz więcej czasu. Okazało się, że jej apetyt na seks, tak fascynujący na początku, idzie w parze z upartym, zachłannym charakterem, zupełnie nie do przyjęcia u kochanki.

Damon nie wiedział, co robić. Z jednej strony tracił cierpliwość do jej fanaberii, szczególnie że żył pod ustawiczną presją. Rozstrzygały się właśnie sprawy jego dalszej kariery i musiał myśleć o własnym spokoju. Nie miał głowy do humorów kochanki w wieku własnej córki. Jej szczenięce zachowanie irytowało go coraz bardziej.

Z drugiej jednak strony, po zerwaniu z Alison, Ashley, czy raczej ciało Ashley, było tym, co go utrzymywało w formie. Żywiołowość i zmysłowość tej dziewczyny stanowiła nie kończącą się przygodę, ciągle nową i nieobliczalną, która go odmładzała o całe lata. Musiał przyznać, że nawet jej fumi działają na niego podniecająco i czynią życie ciekawszym. A nade wszystko jego męskiej dumie schlebiało jej zazdrosne uganianie się za nim.

Jednakże jej uporczywe rozpytywania o Rebekę robiły się nieznośne. Znała, niestety, podstawowy fakt – wiedziała, że Rebeka uciekła od męża z młodszym mężczyzną. Z uwag Damona i krążących plotek zdołała się także zorientować, że Rebeki nie można było w żadnej mierze uznać za kobietę puszczalską i że była ostatnią żoną, po której należało się spodziewać, że ucieknie od tak wpływowego i poważanego męża, jak Damon. Ashley nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad tą zagadką. Powracała do niej uparcie i nieustannie.

– Jesteś w niej ciągle zadurzony – prowokowała. –Dlaczego nie chcesz tego przyznać? Dlatego się z nią nie rozwodzisz, prawda? Dlatego nie usunąłeś jej ubrań. Czym ci tak załazła za skórę? Mnie możesz powiedzieć.

Damon tłumaczył cierpliwie:

– Jedyńm powodem, dla którego się nie rozwodzę, jest Dusty. To dla niej bardzo trudny moment. Utrata matki była dla niej strasznym ciosem.

– I co z tego? – pytała bezczelnie Ashley.

– Nie chcę, żeby czuła, że wszelkie więzi z Rebeką zostały definitywnie przecięte. Że rodzina całkowicie się rozpadła.

Było to kłamstwo, ale kryła się w tym pewna doza prawdopodobieństwa. Rebeka i Dusty były sobie bliskie. Rebeka nie należała do matek, które porzucają córki jedynaczki. Damon pragnął utrzymać pozory, że tworzyli zgodną rodzinę, do której Rebeka wcześniej czy później wróci, właśnie ze względu na córkę.

Instynkt adwokacki podpowiadał mu, że to dobry wybieg, nie zadowalało to jednak Ashley. Upierała się, że to jemu zależy nadal na Rebecce.

– Masz do niej dziwną słabość. Mnie nie zwiedziesz..

Kiedyś powiedziała Damonowi, że jej ojciec rzucił rodzinę, gdy była małą dziewczynką. W świetle tego wyznania jasne się stało, dlaczego Ashley tak rozpaczliwie łąnie właśnie do niego, do mężczyzny znacznie od niej starszego. Nie tłumaczyło to jednak jej obsesyjnego zainteresowania Rebeką.

Pewnego razu zaczęła wydziwiać głośno:

– Nie rozumiem, jak ta baba mogła cię tak owinać wokół palca.

Ku własnemu zaskoczeniu Damon zjeżył się na te słowa

– Zabraniam ci tak o niej mówić!

Zastanawiały go własne odczucia. Musiał przyznać, że dociekania Ashley frapują także i jego. Rebeka stanowiła dla niego wciąż bolesną zagadkę. Nie ze względu na to, jaka była, kiedy z nim żyła, ale na sposób, w jak od niego uciekła. Nie leżało to w jej charakterze. Jako adwokat wiedział jednak, że trzeba brać pod uwagę wszelkie ludzkie motywy, nawet te z pozoru nieprawdopodobne. Patrząc teraz wstecz, musiał jej nagłą ucieczkę wpasować jakoś w jej charakter, znaleźć dla niej miejsce. I to właśnie uczyniło ją teraz bardziej interesującą. Alison miała rację, mówiąc, że nie znał jej widać do końca.

Ostatnio dużo myślał o Rebecce. Zastanawiał się, czyn zwabiła tego szczeniaka. I czym on ją zwabił. Rebeki była kobietą powściągliwą. W sprawach seksualnych na wet oziębłą. Z pewnością niełatwo jej przyszło porzucić rodzinę dla młodego kochanka. I to narzeczonego własnej córki!

Tak, musiała się w niej dokonać wielka przemiana. Za jej ucieczką kryło się rozdzielenie na podobieństwo doktora Jekylla i pana Hyde'a. Leżąc w łóżku, często się zastanawiał, co Rebeka teraz robi. Śpi z tym młodym Delafieldem? Idzie z nim ulicą czy czeka na niego w umówionej restauracji? Jakie ma plany, co myśli?

Po dwudziestu latach intrygowały Damona po raz pierwszy ukryte myśli Rebeki. Stanowiły zagadkę, tajemnicę, którą musi zgłębić, żeby móc ciągnąć dalej własne życie. Życie, które nie opierało się być może na tak trwałych podstawach, jak wcześniej myślał. Może odejście Rebeki zostawiło w nim większą wyrwę, niż sądził z początku?

Cóż, Ashley nie myliła się w swoim uporczywym przekonaniu, że Damon ma do Rebeki dziwną słabość. Brakowało jej być może przenikliwości do zgłębienia prawdziwych powodów tego uczucia, ale kobieca intuicja pozwalała jej przejrzeć maskę kochanka. Co więcej,

podzielała jego fascynację zagadką ucieczki Rebeki. Z upływem czasu stało się to paradoksalnie najintymniejszym z łączących ich więzów. I to właśnie niepokoiło Damona bardziej niż cokolwiek innego.

Pewnego dnia Damon się dowiedział, że jego córka mieszka z jakimś mężczyzną.

Zadzwoił do jej mieszkania, ale zamiast Brit odebrała telefon nieznana mu dziewczyna. Kiedy zapytał o Dusty, nieznajomy głos odrzekł:

– Dusty właściwie tu już nie mieszka. Wpada tylko czasem po pocztę.

Damon powiedział, że to nagła sprawa, i zapytał, jak może się z Dusty skontaktować, a wówczas dziewczyna podała mu jej numer. Zadzwoił, ale nikt nie odpowiadał. W przyływie natchnienia wpadł na pomysł, żeby znów poprosić o pomoc Dicka Hamlina. Dick w ciągu godziny sprawdził numer. Należał do jakiegoś asystenta na wydziale chemii.

Damon przemyślał starannie sprawę. Do wściekłości doprowadzało go odkrycie, że córka prowadzi za jego plecami własne życie. Zezłościło go to tym bardziej, że to przecież on płaci jej rachunki, włącznie z czynszem za mieszkanie, w którym Dusty, jak się okazuje, już nie mieszka.

Kusiło go, żeby natychmiast do niej pojechać i zrobić jej awanturę, po zastanowieniu pohamował się jednak. W końcu Dusty wiele ostatnio przeszła. Nie można nic robić pochopnie. Co więcej, Dick Hamlin doniósł mu, że chłopak, niejaki Cameron Burch, jest spokojnym, cieszącym się dobrą opinią doktorantem, ma stypendium asystenckie i świetne stopnie.

Po pewnym czasie wpadło Damonowi do głowy, że może wykorzystać nową sytuację w niespodziewany sposób. Dusty jest w końcu jego córką, on zatroskanym ojcem. Każda dziewczyna ma prawo liczyć w krytycznym momencie na pełne oparcie w rodzinie.

Porzucił myśl o bezpośredniej rozmowie z Dusty. Miał lepszy plan.

## *Rozdział 25*

Rebeka siedziała przy biurku hotelowym, pisząc list do Dusty.

Pisała do niej niemal codziennie, wysyłała jednak tylko najkrótsze i najniewinniejsze z listów, w których przekazywała mało ważne wiadomości i zadawała stereotypowe pytania o to, jak Dusty sobie radzi. Na żaden z listów nie otrzymała odpowiedzi. Gnębiło ją pytanie, jak długo będzie w stanie tak pisać w ciemno.

Równocześnie prowadziła jednak rozległą, wysoce osobistą korespondencję, która pozostawała nie wysłana. Opisywała w niej wszystkie sprawy, jakie by poruszała jako kochająca i troskliwa matka, gdyby nie doszło między nimi do zerwania. Starannie datowała listy i składała je nabożnie w teczuszcze, którą specjalnie w tym celu kupiła. Nosiła się z niejasną nadzieją, że kiedyś, w przyszłości, gdy się pogodzą, przekaże Dusty wszystkie te listy jednocześnie. Nie miała pewności, czy chwila taka kiedykolwiek nastąpi, ale nie potrafiłaby żyć, zwątpiwszy w to całkowicie. Kontynuowała więc tę niewczesną korespondencję, a w każdym liście jej serce wyrywało się do córki.

Niekiedy zawierała w listach nowe myśli lub też formułowała na nowo dawne, zupełnie jakby Dusty odpowiedziała na poprzedni list jakimś pobudzającym do myślenia komentarzem czy wymagającym skwitowania pytaniem. Było tak, jakby w skrytości duszy ich wzajemny stosunek mógł trwać, a nawet się rozwijać. Rebeka się zastanawiała, czy pod pewnymi względami wszelkie stosunki między ludźmi nie rozwijają się, nie ewoluują, nie rosną właśnie tak, bez faktycznej rozmowy stron o zachodzących przemianach. Czy wysiłki porozumienia się nie przypominają przerzucania

wiadomości do osoby znajdującej się po drugiej stronie muru, która nas nigdy nie widzi, nawet jeśli nas kocha? Czy potrafimy sobie choćby wyobrazić, jak odbierze ona owe wiadomości, jakie wywrą one na niej wrażenie?

Zaabsorbowana tą ideą, Rebeka zastanawiała się nawet, czyby nie opisać swoich przemyśleń w jednym z listów do Dusty. Wiedziała jednak, że Dusty, osoba stąpająca trzeźwo po ziemi, dopatrzyłaby się w tym gorzkiej ironii. „Jeśli istnieje między nami jakiś mur – odpisałaby – to wzniosłaś go ty sama. Ja cię nie prosiłam, żebyś mnie porzuciła i uciekła”. Tak więc Rebeka ograniczała się do stereotypów. Teraz też zakończyła list wyrazami miłości, żalu i nie ustającej troski, po czym zastygła nieruchomo, z ciężkim sercem, wpatrzona w swoje drobne, równe pismo.

Usłyszała pukanie, więc wstała i podeszła do drzwi.

– Toni? – zapytała ostrożnie.

Za drzwiami odezwał się przytłumiony głos. Znajomy.

– Kto tam? – zawołała Rebeka.

– Damon.

Wstrzymała na moment oddech. Odwróciła się i oparła plecami o drzwi, jakby dla zagrodzenia drogi nieprzyjacielowi. Po chwili, nagle zdecydowana, otworzyła je na oścież.

Na korytarzu rzeczywiście stał Damon, elegancki jak zawsze w swoim jedwabnym garniturze, z przerzuconym przez rękę skórzanym płaszczem. Włosy miał nieskazitelnie zaczesane, policzki zaróżowione od ostrego wiatru. Wyglądał jak zwykle znakomicie, tylko twarz miał trochę bardziej zmęczoną, jakby lekko pobrużdżoną i niewyspaną.

Już miała zapytać, jak ją znalazł, ale uznała, że to nieistotne. Rozmowa przyniesie bez wątpienia niespodzianki, ale nie to będzie jedną z nich.



– Mogę wejść? – zapytał nie bez sarkazmu.

Cofnęła się w milczeniu, żeby go przepuścić. Na tle pokoju wydał jej się większy niż zwykle, jakby wraz z nim wkroczyła cała jego potęga, jego pozycja, jego wysokie koneksje.

Ale już w następnym momencie Rebeka stwierdziła, że cała ta jego władczość to poza. Zobaczywszy pokój, w jakim mieszka jego żona, zapadł się jakby w sobie. Z trudem wziął się w garść.

– Więc to tak – powiedział. – Tak mieszkasz. Ironia w jego głosie była wymuszona.

Zaległa dłuższa chwila ciszy. Oczy Damona rejestrowały ślady obecności Toniego – książki, sweter przerzucony przez poręcz krzesła, męski zegarek na stoliku nocnym. A więc to prawda, myślał.

– Dusty wyprowadziła się po kryjomu. – oznajmił, obróciwszy się do niej. – Mieszka z jakimś facetem w Greenwich Village.

Nie dodał, że mężczyzna ten jest asystentem na uniwersytecie i robi doktorat.

Rebeka poczuła ukłucie żalu. Nie dlatego, że Dusty zamieszkała z mężczyzną, lecz dlatego, że życie córki toczy się dalej całkiem zwyczajnie po odejściu matki. Do tej chwili zarówno Damon, jak Dusty trwali w jej wyobraźni niczym zastygłe figury, niczym ilustracje w podręczniku historii, tak jakby nic w ich egzystencji nie ulegało zmianie od czasu jej odejścia. I oto teraz się przekonała, że tak nie jest. Że Dusty prowadzi własne życie. Co więcej, po utracie Toniego znalazła sobie nowego chłopca.

W oczach wzbierały Rebecce łzy, z trudem je powstrzymywała.

– Co to za mężczyzna? – spytała cichym głosem.

– Jakiś starszy student – odparł Damon. – Robi doktorat z chemii czy czegoś takiego. Nie w tym chyba rzecz, prawda?

– A poza tym... poza tym Dusty ma się dobrze?

– Czy ma się dobrze? – powtórzył Damon z uśmiechem. – Można chyba tak powiedzieć. W każdym razie żyje.

– Dziękuję, żeś mnie zawiadomił – powiedziała. – Ale nie musiałeś w tym celu jechać taki kawał drogi.

Damon stał, mierząc ją wzrokiem.

– A ja? – zapytał ni to z gniewem, ni z żalem. – Nie jesteś ciekawa moich wiadomości? Nie interesuje cię, co się ze mną działo od twojego wyjazdu?

Nutka pretensji w jego głosie była bronią, którą jej dawał przeciwko sobie. Zgrał już swoją kartę atutową, czuła to.

– Czasami – odparła.

Dotknęła go ta zdawkowa odpowiedź.

– Zburzyłaś nasze życie – rzucił gniewnie. – Rozbiłaś nasz dom, Rebeko zostawiłaś nas, mnie i Dusty. Czy po tym wszystkim nie interesuje cię, jak się próbujemy pozbierać?

Rebeka zacisnęła zęby. Myśl o usiłującej się z trudem pozbierać Dusty, Dusty okaleczonej, była straszna. Ale Rebeka знаła Damona, wiedziała, do czego zmierza. Nawet teraz buduje swoją sprawę po adwokacku. I po swojemu będzie jej się starał dobrać do gardła.

– Masz swoje życie – powiedziała. – Przykro mi, jeśli jest ci teraz trudno.

Damon westchnął ciężko.

– Musiałaś uciekać z narzeczoną własnej córki? – zapytał. – Na miłość boską, Rebeko! Jeśli nie byłaś ze mną szczęśliwa, mogliśmy to załatwić w cywilizowany sposób. Nawet jeśli byśmy nie mogli żyć nadal ze sobą. Ale to... Jak mogłaś coś takiego zrobić Dusty?

Zmierzył ją piorunującym wzrokiem. Rebeka wiedziała, że to pauza dla wywołania mocniejszego efektu.

– Zbliżyliśmy się bardzo z Dusty, odkąd odeszłaś, wiesz? – podjął po chwili. – Mamy teraz w końcu tylko siebie. Dusty bardzo cierpi, Rebeko. Przechodzi piekło, jakiego nie powinna zaznać żadna dziewczyna w jej wieku. Nigdy nie będzie już taka, jak była.

Jego słowa godziły Rebekeę prosto w serce. Zebrała jednak siły, żeby mu stawić czoło. To jego sposób, żeby jej dopiec, za pośrednictwem Dusty. Po to przyjechał. Skorzystał z pretekstu, że Dusty się wyprowadziła.

– Rozmawiałeś z tym studentem? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ukrywała to przede mną. Zrobiła to oczywiście na przekór sobie. Żeby nam pokazać, jak cierpi. Nie jesteś chyba tak zaślepiona swoimi sprawami, żeby tego nie dostrzegać.

Rebeka nic nie odrzekła. Wiedziała, że musi się trzymać twardo, póki on tu jest. Kiedy sobie pójdzie, będzie mogła się rozkleić, dać upust łzom. Ale nie może mu okazać słabości, nie może pozwolić, żeby myślał, że ma nad nią władzę.

Damon obserwował ją ze zmarszczonym czołem.

– Mój Boże, ty masz serce z kamienia – powiedział, kiedy nie doczekał się z jej strony żadnej reakcji. – Muszę przyznać, że mnie zadziwiasz. Nigdy nie przypuszczałem, że kryje się w tobie coś takiego. Myślałem, że cię znam. Myliłem się. Jesteś zimna jak lód.

Rebeka stała koło łóżka. Miała na sobie spódnice z bluzką, pończochy, biżuterię. Włosy, starannie uczesane, nosiła dłuższe niż za czasów, gdy mieszkała z Damonem. Bluzkę dostała w prezencie od Toniego. Ubierała się zawsze schludnie i elegancko, nawet kiedy siedziała w ciągu dnia sama w

pokoju. Było to niewątpliwe echo jej bostońskiej młodości. Pozwalała sobie na mniej formalny strój dopiero, kiedy Toni wracał do domu.

Damon nie spuszczał z niej oka. W jego wzroku pogarda walczyła o lepsze z podziwem. A więc to prawda, myślał. Nie ma już tej Rebeki, którą nosił w pamięci, cieplej osoby, którą znał. Została mu zabrana przez niezrozumiałe, szalone wydarzenia, zastąpiona przez to zimne stworzenie, na którym nie robią wrażenia jego słowa.

Postąpił krok naprzód.

– Czy to go w tobie pociągało? – zapytał. – Ten twój chłód? Twoja niewrażliwość?

Rebeka się wzdrygnęła, ale dotrzymała mu pola.

– Zawsze wiedziałem, że młodzi mężczyźni mają słabość do kobiet, które im przypominają matkę – prychnął. – Ale ty mi bardziej wyglądasz na kata.

Chociaż przysunął się bliżej, wydawała mu się wciąż niedostępna. Z jej zimnej, obojętnej twarzy nie mógł wyczytać żadnej myśli. Co by ją mogło poruszyć? Co ma dla niej znaczenie? Nie jest już tą kobietą, którą znał. Poczuł ukłucie żalu po jej utracie. Potem ogarnęła go wściekłość.

Rzucił okiem na łóżko. Oczyma wyobraźni ujrzał nagle uciechy, którym oddaje się na nim Rebeka z młodym kochankiem, uciechy należące do tej samej mętnej, nieludzkiej strefy, w której żyje teraz jej myśl. Zapieкло go to jak trucizna. Po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł, poczuł, że traci nad sobą panowanie.

– A więc to go w tobie pociąga? – syknął.

– Puść mnie!

Wyrywała się, ale już po chwili przycisnął ją do łóżka. Poczuł zapach perfum, innych niż te, których dawniej używała. Jej ciało także wydawało

się inne, niemal czuł jego nowe możliwości, rozbudzone apetyty. To na tym łóżku rozkłada dla młodego kochanka nogi, nie tak jak kiedyś dla niego – nawet nie tak, jak wówczas, gdy byli oboje młodzi – rozkłada w inny, niewyobrażalny sposób. Myśl o tej mrocznej stronie jej natury wprowadziła go w szal.

– Jak to z nim robisz? – wysapał, mocując się z guzikami jej bluzki. – No, jak!?

– Damon!

Wbiła łokcie w jego pierś. Wyrwawszy bluzkę ze spódnicy, poczuł aksamitny dotyk jej brzucha, zadarł jej spódnicę. Ujrzał nagie uda, ciemne sedno jej kobiecości, nawykłe teraz do innego mężczyzny, do nowych pieszczot.

– Damon! Przestań! Opamiętaj się!

Zaskoczyło go, że wydaje się bardziej zła niż przestraszona. W jej głosie brzmiała nagana. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Lecz prócz gniewu poczuł także nagłe, gwałtowne podniecenie.

– Niech cię diabli! – wysyczał. – Niech cię wszyscy diabli!

– Damon, przestań...

Zatkał jej usta dłonią. Zmagali się teraz w milczeniu. Po chwili przestało to być zmaganie. Rebeka zrobiła się bezwładna. Nie miałby z jej strony mniejszego odzewu, gdyby była martwa.

Damon wstał. Drżał cały ze zdenerwowania, oddech palił mu pierś. Kiedy poprawiał na sobie ubranie, trzęsły mu się ręce. Rozejrzał się po nieznanym pokoju, zobaczył drzwi do łazienki. Zamknął się w niej.

Kiedy wyszedł, wyglądał znów tak samo nienagannie, jak przedtem – krawat starannie zawiązany, jedwabny garnitur bez jednej fałdki. W każdym calu bogaty adwokat. Mimo miotającego nią gniewu, Reбекę to rozbawiło.

Popatrzył na nią z góry. Jej ubranie było w nieładzie, robiła jednak wrażenie opanowanej i niedostępnej.

– Brzydzę się tobą – powiedział. – Stryczek byłby dla ciebie za dobry.

Złapał za płaszcz i ruszył do drzwi. Otwierając je, obrócił się i wycedził jeszcze przez zęby:

– Skończysz w piekle! Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Rebeka długo leżała bezgłośnie na łóżku. Nie czuła nic prócz poduszki pod głową i skotłowanej pościeli pod plecami. Wizyta Damona była jak koszmary sen, po którym nie sposób od razu dojść do siebie.

Potem oczy wezbrały jej łzami, zaś z piersi wyrwał się szloch, powściągany w obecności Damona. Była zdruzgotana tym, co się wydarzyło. Niegodziwe posłużenie się Dusty jako narzędziem ataku trafiło w jej najczulszy punkt. Prawdą jest, że złamała życie własnej córce. Teraz Dusty, według słów Damona, próbuje je budować od nowa, na własną rękę, bez matki.

Przypomniała jej się paczka listów, które co dzień pisze i których nie wysyła. A więc tylko tyle pozostało z jej matczynych uczuć. Nie może nawet pocieszyć córki, której wyrządziła nieodwracalną krzywdę.

Może Damon ma rację. Może rzeczywiście skończy w piekle za to, co uczyniła. Nie jemu, tylko Dusty.

Leżała wciąż na skotłowanym łóżku, wpatrzona tępo w sufit, kiedy wrócił Toni.

– Co tu się dzieje? – spytał, patrząc na jej półnagie ciało.

Westchnęła. Chciała odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Otarła ręką łzy.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – powtórzył Toni, stojąc nad nią w swoim wyjściowym garniturze, z płaszczem przerzuconym przez rękę.

Spróbowała się zebrać w sobie. Poszukała oczu kochanka, ale te płonęły podejrzeniem i naganą. Wszystko się przez to jeszcze bardziej pomieszało. Ujrzała w Tonim adoratora Dusty, jej narzeczonego. Wszystko w nim, z gniewem włącznie, krzyczało o jej winie. Jak mogło do tego dojść? Jak świat mógł się przewrócić do góry nogami?

Toni podszedł, chwycił ją za ramiona. W pierwszej chwili myślała, że chce ją pocieszyć. Potrzebowała tego jak nigdy. Ale zamiast przytulić, pchnął ją silnie na łóżko.

– Był tutaj? – zapytał drżącym z gniewu głosem. – To cię tak wzięło? Tylko nie kłam!

Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Spojrzała w oczy Toniego. Nie było w nich nic prócz zazdrości. Kiedy tak stał, oczekując od niej wyjaśnień, w swoim najlepszym garniturze, ze swoją urażoną męską dumą, przypominał jej Damona.

– Czekam na odpowiedź, Rebeko! – Potrząsnął nią i przy dusił mocniej do materaca. – Mów! – krzyknął.

Milczała, więc uderzył ją w policzek, z rozmachem. Pierwszy raz ją uderzył.

Spojrzała na niego nowym wzrokiem. Słowa, które chciała właśnie wypowiedzieć, zamarły jej na wargach.

Tymczasem Toni lustrował ją z pogardą. Miała wciąż zadartą do pasa spódnicę, dół jej ciała pozostał obnażony.

Po wyjściu Damona była w zbyt wielkim szoku, żeby wstać i ogarnąć się. Teraz było za późno.

– Brzydzę się tobą – wycedził Toni. – Nie wiem, po co traćłem dla ciebie czas. Nie jesteś tego warta.

Wdusił ją silniej w łóżko. Po chwili puścił ją gwałtownie, jakby kontakt z jej ciałem przepełniał go wstrętem. Ruszył do wyjścia, trzasnął drzwiami. Dokładnie tak jak Damon.

Nie będzie go kilka godzin, pomyślała Rebeka. Może się upije. Na moment ogarnął ją strach, że zrobi scenę Samowi. Czuła całą absurdalność takiego obrotu sprawy, ale nie wykluczała, że tak może się zdarzyć. Nagle wszystko wydało jej się właśnie takie – absurdalne, lecz możliwe.

Leżała długo, rozmyślając o tym, co się stało i jak sama wszystko to na siebie ściągnęła. W końcu wstała, wzięła długi gorący prysznic, po czym zabrała się do pakowania.

Wróciwszy późno w nocy, po pijaństwie w śródmiejskim barze, Toni stwierdził, że Rebeka zniknęła, a wraz z nią wszystkie jej rzeczy.



# ***CZEŚĆ TRZECIA***

## *Rozdział 26*

Rebeka wsiadła w autobus jadący do Beatrix, miasteczka oddalonego o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Grace Island. Stamtąd zamierzała pojechać pociągiem albo autobusem do jakiegoś większego miasta, skąd by mogła polecieć, dokądkolwiek zechce.

Ale dokąd? Nie przyzywa jej żadne miejsce na ziemi. Nie czeka na nią nikt, nie ma nikogo, kto by ją chciał przyjąć. Może tylko matka. Ale ta z różnych względów nie wchodziła w rachubę.

Beatrix było dziwnym miejscem, uderzająco brzydką miejsciną, z tartakami i starymi domami, które jakimś cudem nie zostały wyburzone w ciągu ostatnich pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, przenikliwy odór, prawdopodobnie z jakichś zakładów przetwórstwa drzewnego. Wiele ulic, nie wiedzieć czemu, było nad miarę szerokie. Idący nimi ludzie mieli wygląd smutny, szary, puste oczy. Nawet samochody wydawały się stare. Całość sprawiała przygnębiające wrażenie.

Rebeka wzięła pokój w hotelu, ale nie rozpakowała nawet walizki. Potrzebowała dnia czy dwóch, żeby uporządkować myśli, potem zaś miała zamiar ruszyć dalej.

Uporządkowanie myśli wcale jednak nie było łatwe.

Leżała na łóżku, śledząc nieme obrazy na ekranie telewizora i wdychając kwaśny odór, który się wdzierał przez każdą szparę. Obmierzłość tego zakazanego miasteczka potęgowała jeszcze jej własne poczucie zagubienia.

Po raz drugi w życiu spaliła za sobą mosty. Zdawało się to stawać jej specjalnością, to palenie za sobą mostów. Tym razem jednak uciekła, nie wiedząc, dokąd ucieka.

– Nie mam nikogo – powtarzała w duchu, chodząc po pokoju i gryząc paznokcie.

Stwierdzenie tego smutnego faktu napełniło ją bardziej zdziwieniem niż żalem. Całe życie miała wokół siebie mnóstwo ludzi. Pewnie za cenę brania na siebie odpowiedzialności za nich i wobec nich. Czasami za cenę utraty czegoś cennego w samej sobie. Ale zawsze miała kogoś obok siebie. Teraz została sama.

Siedziała do późna na łóżku, oparta o poduszki. W końcu zapadła w męczący sen, który nie przypominał wcale snu. Obudziła się wcześnie. W hotelu nie było restauracji, wyszła więc na ulicę do pobliskiej jadłodajni. Cuchnący odór fabryczny mieszał się z zapachem jajek na bekonie i syropu klonowego. Wypiła kawę i wyszła.

Wróciła do swojego pokoju. Potrzebowała więcej czasu do namysłu. Problem w tym, że mimo całego wysiłku nie zdołała wczoraj skupić myśli. Sen nie zbliżył jej do podjęcia decyzji. W głowie miała pustkę.

Wyjrzała przez okno na sfatygowane auta wlokące się ulicą. Niebo, chociaż szare, odbijało rozproszone światło, które kłuło w oczy. Odwróciła się od okna, rozejrzała po pokoju. Jego pustka była nie do zniesienia. Zadzwoiła po taksówkę, jako punkt docelowy podała dworzec kolejowy. Zamknęła nie rozpakowaną walizkę.

Dworzec, jeszcze bardziej zaniedbany niż reszta miasta, znajdował się tylko kilka przecznic od hotelu. Ławki i kasy wyglądały jak z początków wieku. Rebeka zaczęła niepewnie studiować rozkład jazdy. Beatrix miało połączenia z większością miast zachodniej i wschodniej Kanady. Mogła też

pojechać na Alaskę, gdyby jej coś strzeliło do głowy. Albo na południe, do Seattle, Portlandu czy Kalifornii. A więc i stąd można wystartować w nowe życie, pomyślała melancholijnie.

Niewiele myśląc, kupiła bilet do Seattle, z połączeniem do San Francisco. Nigdy nie była w San Francisco, choć Damon latał tam wiele razy w interesach. Czuła do niego często piekący żal, że nigdy jej ze sobą nie zabrał.

Pociąg odjeżdżał dopiero za dwie godziny. Kupiła w kiosku powieść w miękkiej okładce i usiadłszy na starej, twardej ławce, spróbowała czytać. Po chwili wstała, żeby pospacerować po dworcu, ale zaraz wróciła, bo nie chciała spuszczać oka z walizki.

Kiedy wreszcie przyjedzie ten pociąg? Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, gdy tylko znajdzie się w przedziale i zostawi za sobą tę przeklętą ziemię.

Pociąg w końcu nadjechał. Zapowiedział go napis na tablicy informacyjnej, wykonany ze staroświeckich liter, wyglądających jakby je układano ręcznie. Rebeka zebrała swoje rzeczy i pospieszyła na peron. Konduktor o zmęczonej twarzy wskazał jej wagon. Weszła do przedziału i czekała niecierpliwie na sygnał odjazdu. Poczowała głód, nie jadła nic przez cały dzień, ale nie chciała już wychodzić z pociągu, żeby coś kupić.

Po jakimś czasie do przedziału weszła matka z synem. Kobieta była mniej więcej w wieku Rebeki, chłopiec wyglądał na jakieś siedemnaście lat. Matka powiedziała do niego kilka zdawkowych słów, które chłopiec zignorował. Zagłębił się z miejsca w piśmie prezentującym na okładce dziewczynę na motocyklu.

Rebeka spodziewała się, że jeszcze ktoś wsiądzie, ale nikt więcej się nie zjawiał. Kobieta miała wyraźnie ochotę nawiązać z nią rozmowę, lecz

Rebeka unikała jej wzroku, zbyt wytrącona z równowagi, by mieć siłę na rozmówki towarzyskie. Chłopiec prychnął pogardliwie, przerzucając strony magazynu. Podkurczył nogi, pochylił tułów, odgradzając się od świata.

Wreszcie pojawiły się oznaki bliskiego odjazdu. Nie było żadnego obwieszczenia, ale tragarze wrócili na peron, korytarzem zaś przemaszerował szybkim krokiem konduktor. Po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Wagon zakołysał się chwilę. Chłopiec przewrócił z suchym szelestem kolejną kartkę pisma. Matka usadowiła się wygodniej, w oczekiwaniu długiej podróży. Szykowała się wyraźnie, żeby korzystając ze sposobnej chwili, zagadnąć wreszcie Rebeke.

Ale Rebeka nagle się poderwała i złapała swoją walizkę. Wybiegła na peron, dopadła do budki telefonicznej i poprosiła telefonistkę o pomoc w połączeniu zamiejscowym. Pociąg wciąż stał przy peronie, gotowy do drogi, lecz jeszcze nieruchomy.

Rebeka ścisnęła słuchawkę drżącą dłonią. Wykręciła kierunkowy do Stanów Zjednoczonych, a potem numer do informacji o abonentach. Pamiętała go, bo nieraz wpatrywała się w te cyfry w informatorze hotelowym w Grace Island, bawiąc się fantazją, że któregoś dnia odnajdzie numer i zadzwoni do Dusty w jej studenckim mieszkaniu.

– Biuro numerów, słucham?

– Dzień dobry, chodzi mi o numer w Wisconsin, konkretnie w Madison...

W chwilę potem wykręcała numer, przygryzając nerwowo wargi.

„Nie mam nikogo. Nikogo na świecie...”

Usłyszała trzy dzwonki, potem czwarty. Pociąg jeszcze nie ruszył. Czekąo na nią miejsce w przedziale. Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy wreszcie usłyszała:

– Halo, mówi Bittman.

– To ty, Sam? Tu Rebeka. Rebeka Lowell... Zapadła cisza, wystarczająco długa, by serce jej zamarło.

– Rebeka! To ci niespodzianka! Gdzie jesteś? Słyszę cię, jakbyś była w drugim pokoju.

Przez szybę budki widziała, jak pociąg powoli rusza.

– Jestem daleko. W Kanadzie.

– Czemu zawdzięczam twój...

Jego głos brzmiał ostrożnie, uprzejmy jak zawsze. Załamał się jednak w pewnej chwili i Rebeka nie usłyszała końca zdania.

Szukała gorączkowo właściwych słów, którymi mogłaby wytłumaczyć, dlaczego właściwie zadzwoniła. Na próżno. Milczenie stawało się nieprzyjemne. Była tak zdenerwowana, że o mały włos nie odłożyła słuchawki.

– Kiedy cię zobaczę? – zapytał innym tonem.

– Zaraz! – Niemal wykrzyczała to słowo. – To znaczy, jak tylko do ciebie dotrę. Naprawdę chcesz mnie zobaczyć?

– Będę liczył godziny! Ale ty, czy ty też tego chcesz?

– Tak! – powiedziała i oczy jej się nagle zamgliły.

Odprowadziła wzrokiem oddalający się coraz szybciej pociąg.

– To dobrze, Rebeko – usłyszała po drugiej stronie. – To dobrze!

## *Rozdział 27*

Cameron był pierwszą osobą, której Dusty o tym powiedziała. Pierwszą i jedyną. Kiedyś powiedziałyby pewnie Brit czy Susan, albo może Marie, z którą dzieliła pokój na pierwszym roku, ale teraz przyjaciółki zdawały się odległe o tysiące kilometrów. Jedynym człowiekiem w świecie, któremu ufała, był Cameron.

Cameron jej nie zawiódł. Wysłuchał jej cierpliwie, a potem trzymał długo w ramionach. Zapytał o jej uczucia. Dusty nie umiała ich opisać, bo sama nie bardzo wiedziała, co się z nią działo przez ostatnie miesiące. Wszystko zdawało się snem. Cameron był w pewnym sensie częścią tego snu. Tylko on jeden zdawał się jednak rzeczywisty.

Już następnego dnia pomógł jej przeprowadzić rozpoznanie klinik w dzielnicy uniwersyteckiej. Wszystkie zapewniały oczywiście dyskrecję i wszystkie wydawały się bez zarzutu z medycznego punktu widzenia. Cameron dowiedział się jednak od jednej z koleżanek na wydziale, że na Czternastej Ulicy istnieje gabinet, w którym ginekologiem jest kobieta i gdzie pracują wyjątkowo życzliwe i troskliwe opiekunki społeczne.

Poszedł z Dusty na pierwszą wizytę. Pracownica, która przeprowadzała z nimi wstępny wywiad, w błędnym przekonaniu, że to Cameron jest ojcem, zapytała go dosyć ostro, co sądzi o usuwaniu ciąży. Dusty wyjaśniła, że Cameron nie jest ojcem, a jedynie przyjacielem, który jej pomaga. Musiała nie bez wstydu przyznać, że nie wie, kto jest odpowiedzialny za jej ciążę i czyje dziecko nosi w swoim łonie.

Pracownica zaopatrzyła Dusty w kilka broszur na temat techniki przerywania ciąży oraz poleciła jej parę książek o psychicznych skutkach

zabiegu. Cameron znalazł książki w księgarni uniwersyteckiej i oboje je przeczytali. Ich głównym przesłaniem było, że Dusty grozi po zabiegu kryzys emocjonalny, który może przyjść nawet kilka miesięcy później. Często skutkiem bywają uporczywe lęki, spóźniony żal, a także zaburzenia seksualne. Wiele kobiet usuwa bez zastanowienia ciążę, by po kilku miesiącach stwierdzić, że nie są zdolne do pożycia płciowego. Pojawia się oziębłość, która może trwać przez nieokreślony czas i wymagać leczenia psychiatrycznego.

W dniu zabiegu Cameron towarzyszył Dusty. Siedział przy niej podczas końcowego wywiadu z opiekunką społeczną, a potem – na wyraźne życzenie Dusty – był obecny przy samym zabiegu.

Nie bolało tak bardzo, jak się obawiała. Najgorsze było poczucie, że na jej ciele dokonuje się gwałt, jakiego sobie nie wyobrażała. Lekarka była miła i rzeczowa, nie okazywała jej jednak współczucia, jakiego Dusty oczekiwała. W trakcie zabiegu wyjaśniała w lekko tylko zawołowanej formie, co robi, lecz bynajmniej nie stwarzała pozorów, że jest sprawczynią jakiegoś dobrodziejstwa. Nie było sposobu na zatuszowanie straszliwej istoty tego, co się dokonuje, i lekarka nawet się na to nie siliła.

Kiedy było po wszystkim, Cameron został z Dusty w pokoju pooperacyjnym, a potem zawiózł ją taksówką do domu. Krwawiła obficie przez jakieś dwa dni, po czym krwawienie ustało i zrobiło się sporadyczne. Siedziała w domu, ucząc się, kiedy była w stanie się skupić, i oglądając telewizję, kiedy stawało się to ponad jej siły.

Trzeciego dnia zaczęła płakać. Cameron kołysał ją lekko na piersi, szepcząc jej słowa pociechy przez całe rano i całe popołudnie. Wieczorem łkanie ustało. Wzięła proszek nasenny i spała czternaście godzin.



Potem znów była sobą, tyle że niekiedy w toku najzwyczajszej rozmowy napływały jej zniechęta do oczu łzy. Czasem, śmiejąc się z czegoś, co mówił Cameron, zalewała się raptem łzami, zupełnie jakby się uśmieła do łez.

Początkowo Cameron wydawał jej się tak samo odległy, jak wszystko w świecie. Potem zaczął się urealniać. Znów odnajdywała w jego ramionach schronienie, znów trafiały do niej jego wypowiedzi. Powoli zacierało się wszystko inne. Wspomnienia się oddalały, robiąc miejsce nowym doświadczeniom.

W tydzień po usunięciu ciąży była umówiona na spotkanie z ojcem. Przedtem odwołała dwa spotkania pod rząd, pod pretekstem egzaminów i referatów, które musi pisać. Damon mógłby nabrać podejrzeń, gdyby się wymówiła po raz trzeci.

Cameron patrzył, jak się ubiera do wyjścia. Włożyła spódnicę i sweter, o których wiedziała, że Damon szczególnie je lubi. Oprócz lekkiej bladeści na jej twarzy nie było znać żadnych śladów dokonanego zabiegu.

– Dasz sobie radę? – zapytał Cameron.

– Jasne!

Powiedziała to głosem rażnym, ucinającym dyskusję. Jednakże Cameron, który miał ucho wyczulone na niuanse jej uczuć, ukrywanych pod zewnętrznymi pozorami, dosłuchał się w nim nutki niepewności.

– Mógłbym cię odwiedzić i poczekać gdzieś w pobliżu – zaproponował.

– Byłbym pod ręką, gdybyś mnie potrzebowała.

Potrząsnęła głową.

– Och, nie trzeba. O nic się nie martw! – odparła, po czym odwracając się od lustra, zapytała: – Jak wyglądam?

– Pięknie!

Odprowadził ją do postoju taksówek. Było bardzo zimno. Na tle okien i ulicznych latarni tańczyły rzadkie płatki śniegu. Mróz szczypał w policzki, ale na pustym niebie malował się już przedsmak wiosny.

Cameron otworzył jej drzwiczki taksówki. Dusty wsiadła, odkręciła okno. Pochylił się z dłońmi opartymi o dach taksówki.

– Zostaniesz moją żoną?

– Tak.

Kierowca zapytał, dokąd ma jechać, więc rzuciła szybko nazwę restauracji, po czym pocałowała Camerona i zamknęła okno.

## *Rozdział 28*

Ashley siedziała naga na łóżku i paliła papierosa. Damon przyglądał jej się sennie, oparty o poduszki.

– Jestem w ciąży – oznajmiła.

Poruszył się niespokojnie, zmrużył oczy.

Dziewczyna nie patrzyła na niego. Zaciągnęła się papierosem, wypuściła kółko dymu. Przyglądając się, jak dym szybuje przed jej twarzą, strząsnęła popiół do popielniczki.

Jakże inaczej wygląda dzisiaj niż cztery miesiące temu! Wciąż jest oczywiście piękna. Te same długie uda, jędrne piersi, aksamitna skóra. Zapuściła trochę dłuższe włosy – wie, że on lubi długie włosy – używa też perfum, które jej kupił na Gwiazdkę, „Mon Baiser”.

Zmieniła się jednak wewnętrznie. Przede wszystkim od dobrych kilku tygodni robiła mu ciągle sceny o Rebece. Starła go się też za wszelką cenę przywiązać do siebie. Dotknięta brakiem widocznego powodzenia, odgrywała się atakami na Rebece i drwinkami z Damona, że wciąż się w niej durzy; on zaś, swoim ociąganiem się z rozwodem, dolewał jeszcze oliwy do ognia.

W miarę narastania konfliktu, sytuacja Damona robiła się coraz trudniejsza. Nie mógł tak po prostu powiedzieć Ashley, że jest pospolitą, prymitywną dziewczyną i że daleko jej do Rebeki subtelnością czy – lepsze słowo – klasą. Nie kwalifikuje się nawet do tej samej ligi co Alison Shore, która – choć ma swoje braki – jest jednak rasową kobietą i niewątpliwą osobowością.

Nie, nie mógł jej tego wszystkiego powiedzieć prosto w oczy, nie mógł z dwóch przyczyn. Po pierwsze, powiedziawszy jej, co naprawdę myśli, nie mógłby z nią dłużej sypiać. Zdawał sobie sprawę, że istotną częstkę jej atrakcyjności stanowią dla niego jej wysiłki przywiązania go do siebie. Ashley go rzuci, jeśli utraci nadzieję, że kiedyś zdobędzie go na wyłączność. Jest ambitną dziewczyną, nie będzie marnowała młodości dla mężczyzny, który nią się tylko bawi. Chce czegoś w zamian.

Po drugie, mimo całego wyrachowania, Ashley jest niepewna siebie i wrażliwa. Wyczuwał w niej jakiś brak równowagi, który kazał mu się mieć na baczności. Zerwanie – a wiedział, że musi do niego dojść, choć może jeszcze nie tak zaraz – może ją dotknąć do głębi. Niebezpiecznie dotknąć.

Na razie faktem jest, że się zmieniła. Zachowuje się inaczej, kocha się inaczej. Rozwiała się jej dziewczęca fascynacja jego pozycją i siłą, która tak mu kiedyś pochlebiała. Jej miejsce zajęło gniewne wyzwanie, którym podszyte jest wszystko, co Ashley mówi, włącznie z tym, co właśnie oznajmiła.

Być może zmęczony trzymaniem jej w ryzach, Damon sam zareagował teraz gniewem.

– Skąd wiesz, że to moje dziecko? – spytał.

– Bo wiem.

Posłała mu złe spojrzenie.

– Nie mylisz się?

– Nie myślę. Powinnam mieć okres trzy tygodnie temu.

– Nie to miałem na myśli. – Damon spojrzał nad jej ramieniem w niebo za oknem. – Nie przeczę, że jesteś w ciąży, ale mam wątpliwości, czy to aby na pewno moje dziecko.

– Cooo? Chcesz powiedzieć, że się puszczam na prawo i lewo?

– Nie uważasz mnie chyba za faceta, który idzie przez życie z zawiązanymi oczami? – odparł. – Nigdy się nie łudziłem, że jestem twoim jedynym, Ashley.

Zgniotła porywczo papierosa.

– Śledziłeś mnie?

Damon obserwował chłodno wzbierającą w niej furję. Jego blef się powiódł. Nie wiedział nic o jej prywatnym życiu, ale instynkt adwokata podpowiedział mu, że taka dziewczyna nie może się ograniczać do jednego mężczyzny.

– Za kogo ty mnie bierzesz? – spytał zimno.

Nie patrzyła na niego. Zagryzła wargę, odgarnęła z oka kosmyk włosów. W tym momencie Damon uświadomił sobie, że to właśnie ta jej pospolitość tak go wzięła. Miał dosyć kobiet subtelnych, potrzebował dziewczyny prostej, bardziej zmysłowej, łatwiejszej do prowadzenia.

– Co mam zrobić? – spytała.

– To, co zrobiłaby każda kobieta na twoim miejscu. Załatw sprawę. Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy, daj mi znać. W każdej chwili służę pomocą.

Popatrzyła na niego. W jej oczach malował się wyrzut. Ale i kapitulacja.

– Po to jestem, żeby pomagać – powtórzył. – W każdej formie.

Przyglądał się, jak idzie do łazienki. Takie piękne uda, myślał. Taki piękny chód.

## *Rozdział 29*

Kiedy odszedł od nich ojciec, Rebeka kończyła trzynaście lat. Było to latem, podczas wakacji, a dzień, w którym to się stało, powracał stale w jej snach, zawsze w kolorze, z nadnaturalną świeżością i realizmem.

Wybrała się owej soboty ze swoją najlepszą koleżanką szkolną, Josey, na wycieczkę do parku stanowego koło Concord. Droga była daleka, trzeba było jechać autobusem, ale w szkole chodziły słuchy, że można tam podebrać chłopców. Wyruszyły wcześniej rano, w szortach i koszulkach sportowych. Rebeka zwędziła szminkę z obfitego zapasu matki i, umalowane, kręciły się po polu piknikowym z wyzywającymi minami, które miały przyciągnąć uwagę bawiących się chłopców.

Krażące wieści okazały się niebezpieczne, bo wkrótce zagadnęło je dwóch wyrostków z Północnego Bostonu, którzy chwilę wcześniej wynurzyli się ze stawu. Okazywali im zainteresowanie, a one prowokowały ich to chichotaniem, to znów wymownym milczeniem. Po jakimś czasie Rebeka znalazła się z jednym z nich w gęstym lesie koło wodospadu.

Był niewiele od niej starszy i dość niezdarny w pieśczołach, ale był z niego miły chłopak, a jego nieporadność tym bardziej ośmielała Rebeke. Pozwoliła mu się całować do woli. Jej koszulka wysunęła się z szortów i poczuła na swoich żebrach rękę chłopca, zatrzymującą się przy małym staniku, który zaczęła nosić dopiero na wiosnę. Pomogła mu. Pod ich ciałami zaszeleściły sosnowe igły, w wilgotnym powietrzu południa szemrał wodospad.

Wracała potem autobusem z Josey, czując się nową osobą. Przez całą drogę po ciele chodził jej miły dreszczyk. Josey również była podniecona i

nieprzyzwoicie wprost ciekawa tego, „jak było”, ale Rebeka nie powiedziała jej, co zaszło. Zatajenie prawdy przed przyjaciółką stanowiło miarę tego, jakie to było osobiste i cenne.

Kiedy wróciła do domu, Irene – pamięta, że to od tej chwili myślała o niej już zawsze jako o Irene, nie o mamie – siedziała przy kuchennym stole. Oczy miała czerwone od łez.

– Ojciec od nas odszedł – oznajmiła, wskazując wymiętą, zamazaną kartkę. – Znalazł sobie inną kobietę, kocha ją bardziej od nas. Masz, czytaj!

Wyciągnęła list oskarżycielskim gestem. Rebeka się cofnęła.

– Nie chcę!

– Czytaj! – krzyknęła Irene. – Musisz wiedzieć, czego się spodziewać!

Rebeka puściła się pędem na górę, rzuciła na łóżko i nie opuściła już do wieczora swego pokoju.

Jej sen urywał się teraz zawsze na tym panicznym biegu po dwa stopnie w górę, z sercem dudniącym w piersi. We śnie jednak nigdy nie dopadała sypialni

Uciekała tylko od wszystkiego, pędziła ku niczemu. Na wargach czuła niezdarne pocałunki chłopca, w uszach brzmiały jej słowa matki.

„Musisz wiedzieć, czego się spodziewać...”

Nigdy nie powiedziała Samowi o tym śnie, może dlatego, że stał się on tak bardzo częścią jej podświadomości, iż nie potrafiła go umiejscowić w trzeźwej egzystencji na jawie.

Poza tym opowiedziała mu wszystko o sobie.

W lutym Rebeka i Sam zatrzymali się w hotelu w Wisconsin, oddalonym zaledwie o kilka mil od miejscowości, w której Sam się urodził. Chciał jej pokazać okolicę.

– Widzisz? Wszystko to jest z geologicznego punktu widzenia bardzo młode. Lodowce zniosły wzniesienia i wyłobily jeziora. Wydarzyło się to głupie kilkaset tysięcy lat temu. Gleba, którą widzimy, została po większej części naniesiona z Kanady. Nie zdziwiłbym się, gdyby tu były minerały z okolic Grace Island.

Rebeka zastanowiła się chwilę nad tą zaskakującą informacją. Grace Island stanowiło dla niej cząstkę zupełnie innego świata, innego pod każdym względem.

– Faktem jest – ciągnął Sam z uśmiechem – że tak zwana epoka lodowcowa nie należy wcale do przeszłości. Nadal w niej tkwimy. Lodowce przeszły tędy kilkanaście razy i przejdą znowu. Kiedy byłem chłopcem, uważałem wszystko tu za niezmiennie. Myślałem, że tak zawsze było i tak zawsze będzie. Teraz wiem, jaki intrygujący jest każdy kawałek krajobrazu. Pomyśl tylko, Rebeko, za następne sto tysięcy lat ten teren będzie zmieniony nie dopoznania. Zostaną na niego naniesione materiały przywleczone Bóg wie skąd.

Wciągnął ostrożnie zimowe powietrze, a Rebeka się roześmiała.

– Mówisz o tysiącletniach, jakbyś mówił o pojutrze!

– Tak, daję się czasami ponieść. Fascynują mnie takie dociekania. Zastanawiam się, czy rzeczywiście wszystko ma swoją przyczynę. Moim zdaniem pomiędzy przyczyną a jej potencjalnymi skutkami pozostaje zawsze miejsce na przypadek. Dlatego życie jest takie ciekawe.

Obrócił się do Rebeki.

– Wiesz, co mawiał Einstein? Że Bóg nie gra w kości ze wszechświatem. Nie przypisuję sobie jego mądrości, ale nie podoba mi się to twierdzenie. Gdyby Bóg nie wmontował czynnika przypadku w działanie rzeczy, nie istniałby element ryzyka. A bez ryzyka nie byłoby realnych



zmian. – Uczynił szeroki gest. – Żadnych niespodziewanych jezior, nowych wzgórz, minerałów przywleczonych z odległych miejsc.

Jego błękitne oczy płonęły dociekliwością, gdy lustrował horyzont. Rebeka czuła w nim niemal entuzjazm nastolatka, trochę tylko mitygowany przez sceptyczny umysł dojrzałego mężczyzny.

– To śmiały sposób patrzenia na świat – zauważyła. – Ja tam bym często wolała, żeby przypadki mnie omijały. Żeby mnie zostawiły w spokoju.

Sam uniósł znacząco brew.

– Ale gdyby nie przypadek, nie poznałabyś mnie. Rebeka nie odpowiedziała.

– A ja bym nie poznał ciebie – ciągnął. – Pomyśl ilu trzeba było przypadków, żeby cię tu sprowadzić. A mnie się przez ten cały czas nawet nie śniło, że spotka mnie kiedyś takie szczęście. To jest właśnie życie.

– Cieszę się, że cię uszczęśliwił ten obrót koła fortuny – odparła z uśmiechem.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Sam miał niezwykłą umiejętność ożywiania wolnego biegu czasu, patrzenia na rzeczy znane od dawna tak, jakby w tej chwili nabrały swego kształtu. Kochał pomniki, pamiątki, miejsca, gdzie się rozegrały historyczne wydarzenia. Z niezmienną fascynacją potrafił lustrować trawiaste zbocze czy łąkę, rozpamiętując fakt, że pod tym samym słońcem, w takim samym wietrzyku dziesięć tysięcy żołnierzy Północy i Południa oddało tutaj w bitwie życie podczas wojny secesyjnej. Było to dla Rebeki coś uderzająco nowego, bo historia nie miała dla niej dotąd większego znaczenia, ot, jakieś spiżowe pomniki w parkach czy tablice pamiątkowe na starych budynkach.

Prawie tak samo jak geologią, Sam pasjonował się archeologią. Starodawne artefakty były dla niego równie żywe, jak najnowsze gadżety w jego firmie. Z niemal chłopięcym zapałem zajmował się również sejsmologią. Wiedział, co tylko można, o trzęsieniach ziemi, uskokach, rowach tektonicznych. Zwykł mawiać, że pod spokojną z pozoru powierzchnią toczy się bitwa dwóch nierównych sił, z których jedna nieuchronnie zwycięża. Każda góra, każda rzeka, nawet każdy kontynent są wynikiem jakiegoś kataklizmu, spowodowanego zwycięstwem jednej z tych sił.

Rebekę rozczulał entuzjazm, z jakim Sam podziwiał świat. Kryła się w tym jakaś niewinność, odświeżająca i urzekająca. Teraz, kiedy go lepiej poznała, zrozumiała, że wynika to z nieprzeciętnej osobowości. Sam nie miał w sobie śladu męskiej potrzeby przewodzenia, górowania. Traktował życie jako dar, który należy przyjmować z zachwytem, nie jako wroga, którego trzeba ujarzmić. Rebeka nigdy nie napotkała takiego podejścia u żadnego mężczyzny. Na pewno nie u Damona. A gdy się teraz nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że także nie u Toniego.

Odkryła jednak, że Sam nie zawsze był taki. W pewnym sensie odnalazł młodość dopiero w wieku średnim.

– Przed chorobą Margery byłem pracoholikiem – wyznał jej kiedyś. – Ledwo zauważałem własne córki, kiedy były małe. Biznes miał swoje wznosy i upadki, a ja wznosiłem się i upadałem wraz z nim, jak bezwolna kukła. Kiedy Margery umarła, znalazłem się na dnie. Zdałem sobie sprawę, że nie żyłem naprawdę. I że się nie pozbieram, nie będę sobą, jeśli nie ułożę swego życia inaczej. Byłem dotąd bezduszną maszyną, teraz zaś musiałem stać się człowiekiem. A spryt, rozpychanie się, przewodzenie nie mają nic

wspólnego z człowieczeństwem. To trudna lekcja. Może trudniejsza dla mężczyzny niż dla kobiety.

Jego szczerość ośmieliła ją do wyznania prawdy o sobie. Opowiedziawszy zaś mu swoją historię, Rebeka stwierdziła, że Sam domyślał się znacznej części prawdy z tego, czego był świadkiem w Kanadzie. Nie krył tylko zaskoczenia, że tak trzeźwa kobieta mogła się wdać w tak dziwną awanturę. Nie potępiał jej jednak.

– Zdaje nam się czasem, że wiemy, kim jesteśmy – powiedział. – Ale tyle rzeczy gromadzi się pod powierzchnią. Czasami tylko drastyczny krok może nas wyrwać ze starych kolein.

– Martwię się o Toniego – przyznała. – Prawdę mówiąc, martwię się o wszystkich.

– Niepotrzebnie, Rebeko. To ty byłaś przez wiele lat ofiarą – orzekł Sam. – Wszyscy cię wykorzystywali, nawet nie dlatego, żeby ci źle życzyli. Po prostu nie widzieli cię w innej roli. Żeby się z tego wyrwać, musiałaś ich zranić. Ale co jest lepsze? Zadać jednorazowy ból czy pozostać ofiarą na resztę życia? Myślisz, że to było dobre dla Dusty, mieć taką nieszczęśliwą matkę?

– To nic w porównaniu z matką, która ucieka – wyszeptała Rebeka i odwróciła głowę.

Sam wziął ją w ramiona.

– To należy do przeszłości – powiedział. – Musisz o tym zapomnieć.

Znajdując pociechę w jego ramionach, Rebeka widziała całą paradoksalność sytuacji. To jej grzech przywiódł ją do Sama. Znalezienie go było pośrednim rezultatem tego, że zbłądziła, zeszła z prostej ścieżki. Porzuciwszy rodzinę dla Toniego, teraz porzuca Toniego dla Sama. Sam jest

wypadkową wielkiego spustoszenia, jakie za sobą zostawiła. Szukając u niego pociechy, czuła się jak ostatni tchórz.

– Posłuchaj, Sam – powiedziała z raptowną gwałtownością. – Można szukać takich czy innych usprawiedliwień dla tego, co zrobiłam, fakt jednak pozostaje faktem. To był grzech. Wiem, że chcesz mnie pocieszyć, ale w głębi serca czuję, że popełniłam straszny grzech. Musisz mi pomóc...

– ... odkupić ten grzech?

– Tak!

Sam przytulił ją mocniej.

– Skoro mnie potrzebujesz, to jestem do twojej dyspozycji. Przede wszystkim musisz wybaczyć sobie swoją ludzką słabość. Prawdę mówiąc, na tym właśnie polegał twój problem. Od samego początku.

Rebeka zastanowiła się nad jego słowami. Może ma rację. Może zgrzeszyła przeciw sobie dawno temu, kiedy była zbyt młoda, by wiedzieć, co czyni. Postąpiła tak, jak jej się wydawało, że oczekują od niej inni, sprzedając przy tym duszę. Żeby ją odzyskać, musiała popełnić drugi grzech, grzech, którym zraniła kilka osób. Czy może liczyć, że nie spotka jej za to kara?

Trudna sprawa, myślała. Gra o twardych, nieustępliwych regułach. Gra, w której – jak mówi Sam – istotną rolę ma przypadek. Gdyby nie spotkała na swojej drodze! Toniego, gdyby nie wywarła na nim takiego piorunującego wrażenia, jej życie toczyłoby się dotąd torem wytyczonym w dniu, w którym wyszła za Damona. Mogła siebie porównać do jednego z tych spokojnych wzgórz, które zdają się takie niewzruszone do momentu, gdy parcia tektoniczne na linii uskoku rozłupią je pewnego dnia na pół.

Linia uskoku, myślała z gorzkim uśmiechem. Cóż za trafne określenie dla skaz w ludzkim charakterze. W jej charakterze.

Nie rozegrała dobrze tej partii. Wpadała we wszystkich zasadzki. Ale długa i męcząca wędrówka przywiodła ją ostatecznie do Sama – i za to wdzięczna była losowi. Sam nie może jej zapewnić zbawienia duszy, ale może jej pomóc ocalić życie. Wiedziała, że i za to może jej przyjść zapłacić wysoką ceną. Ale już się nie bała.

W kilka dni po wyjeździe z Grace Island, Rebeka napisała do Toniego. Jej słowa układały się w zdania uprzejme i życzliwe. Wspaniałomyślnie brała na siebie całą winę i wyrażała nadzieję, że mimo wszystko jej wybaczy. Toni był tylko niewinną ofiarą, tłumaczyła jemu i sobie. Zdobywając ją, poszedł za głosem namiętności. Darzył ją na pewno szczerą miłością, ale nie tak wybiera sobie partnerkę życiową dojrzały mężczyzna. Dlatego, nawet gdyby nie spotkała Sama, musiało się to niefortunnie skończyć.

Tydzień po wysłaniu listu zadzwoniła do Toniego. Mieszkał wciąż w hotelu „Royal Grace”. Zapytał ją, gdzie jest, a ona nie ukrywała, że u Sama.

– A nie mówiłem? – powiedział. – To jedno musisz mi w końcu przyznać.

– Przyznaję, miałeś rację.

– Cóż, dojrzała kobieta powinna pewnie żyć stosownie do swego wieku. Nie powinienem był cię zmuszać do rzucenia wszystkiego.

– Do niczego mnie nie zmuszałeś.

Cisza.

– Wyjdiesz za niego?

– Czy ja wiem – odparła. – Nie myślę teraz o takich sprawach. Już dosyć się śpieszyłam. Potrzebuję czasu do namysłu. Muszę najpierw odnaleźć siebie.

Kolejna chwila ciszy.

– Przepraszam, że ci nie pomogłem w twoich poszukiwaniach.

– Ależ pomogłeś! – wykrzyknęła, żałując poprzednich słów. – Wywarłeś decydujący wpływ na moje życie. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Już nigdy nie powrócę do Damona. I – zawahała się – wcale tego nie żałuję.

– To też coś.

– Chcę jednak, żebyś był szczęśliwy – dodała. – Żebyś osiągnął wszystko, czego pragniesz. Mam nadzieję, że pomoże ci w tym czas spędzony ze mną.

Znów zapadło milczenie, bardziej tym razem niezręczne.

– Co teraz zamierzasz? – spytała nerwowo. – Nie gniewasz się, że pytam?

– Mam zamiar przepracować tu rok, żeby dostać dobre referencje od szefów. – Głos Toniego brzmiał rzeczowo, niemal chłodno. – Potem wrócę do Stanów, kontynuować studia. Pisałem już do dziekana. Pozwolą mi powrócić na uczelnię od jesieni. Po prostu skończę rok później.

– To wspaniale!

Przemknęło jej przez myśl, że rok nic nie znaczy dla takiego młodego człowieka. Zanim skończy studia, ta ich sielanka pójdzie w zapomnienie. To dobrze. Nie chciała zostawiać żadnych śladów na jego życiu. Niech myśli o niej jak o pomyłce młodości albo nie myśli wcale.

– No, to chyba...

Urwał. Oboje myśleli o tym samym. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że za chwilę zerwie się ostatnia nić, która jeszcze ich łączy. Tak jak ona nie wróci do Damona, tak on nie wróci do Dusty. Na to już za późno. Jeszcze jedna rzecz, której nie da się odwrócić.

– To chyba tyle – powiedziała Rebeka.

– Chyba tak.

Już miała odłożyć słuchawkę, wydało jej się jednak, że słyszy jeszcze głos Toniego. Szybko przytknęła ją z powrotem do ucha, lecz dobiegł ją tylko suchy trzask na drugim końcu linii.

Kiedy odkładała słuchawkę, przemknęła jej przez głowę myśl, że może powiedział: „A ja i tak ciągle cię kocham”.

## *Rozdział 30*

Wiosną Rebeka przeprowadziła się do Chicago i znalazła pracę jako redaktorka w pewnym wydawnictwie technicznym. Wynajęła mieszkanie z widokiem na jezioro Michigan, które kiedyś kosztowałoby pewnie majątek, lecz teraz było dostępne za umiarkowane komorne, bo koniunktura się załamała w momencie, gdy najbogatsi mieszkańcy tej dzielnicy zaczęli się wyprowadzać ze śródmieścia.

Mieszkanie było na czterdziestym piętrze, miała więc z niego wspaniały widok na nie kończące się, wzburzone wody jeziora, przeważnie szare lub żółtawozielone, jako że w tym targanym wiatrami mieście panowała prawie zawsze kiepska pogoda.

Wybrała Chicago ze względu na Sama. Chciała mieszkać blisko Wisconsin, ale nie tak blisko, by to wpływało na jego życie rodzinne. Sam nie krył, że pragnie ją poślubić, nie ponaglał jej jednak, rozumiejąc jej potrzebę pozostania przez jakiś czas samej.

– Bądź tak niezależna, jak tylko możesz – zachęcał. – Bądź sobą, rób, co chcesz. Poukładaj swoje sprawy, jak tylko sobie życzysz. A jeśli pewnego dnia zdecydujesz się wziąć mnie za męża, będę najszcześniejszym mężczyzną pod słońcem.

Widywali się często, bowiem Sam niemal zawsze latał w swoje podróże przez Chicago. Rebeka odkryła nieoczekiwaną przyjemność w gotowaniu, poznała jego ulubione potrawy i zaczęła wymyślać nowe. Mieszkanie umeblowała prosto, nieco po cygańsku, na ścianach zawiesiła abstrakcyjne obrazy. Dała upust gustom, które drzemały w niej w czasach, gdy była w Nowym Jorku stateczną małżonką konserwatywnego adwokata,



a którymi wówczas nie mogła się kierować, gdyż były zbyt dalekie od przyjętego w środowisku męża stylu.

Kilka razy odwiedziła Sama w jego domu. Przedstawił ją swoim córkom – z niemal żenującą dumą – jako niezależną kobietę, zatrudnioną w Chicago. Wspomniał, że pochodzi ona z Bostonu i jest w trakcie rozwodu. Córki okazały się inteligentne i miłe – dwie starsze były o wiele bardziej zrównoważone niż narwana najmłodsza – i wszystkie trzy chętnie ją zaakceptowały. Sam powiedział im, że się poznali podczas jednej z jego podróży do Chicago. Grace Island miało ze zrozumiałych względów pozostać ich słodką tajemnicą.

Najbardziej polubiła Reбекę nieco zwariowana Christine, jawnie najbliższa ojcu. Polubiła ją może dlatego, że opierając się na retuszowanej wersji ojca, widziała w Rebecce silną, samodzielną kobietę, kierującą śmiało własnym losem. Kobietę, która ma swoją karierę, swoje zainteresowania, swoje pasje, mówiąc najkrócej – swoje własne życie.

Reбекę kusiło z początku, żeby zbyć wzruszeniem ramion ten wypaczony obraz własnej osoby i wyjaśnić Christine ze śmiechem, że tak naprawdę należy do najostrożniejszych, jeśli nie najtchórzliwszych kobiet pod słońcem. Z czasem jednak prawda o sobie, ta szczególna prawda, zaczęła jej coraz bardziej doskwierać, a coraz bardziej odpowiadać widzenie Christine. Jeśli nawet nie jest osobą odważną, to uczyniła przecież ów decydujący krok. A że popełniła przy tym błędy...

– Jednego nie rozumiem – powiedziała pewnego razu Christine. – Jak tata znalazł taką kobietę? On, taki sztywniak. Przynajmniej politycznie. I okropny antyfeminista.

– Chyba go nie doceniasz, Christine – skarciła ją Rebeka z uśmiechem.  
– Twój ojciec ma dużo szacunku dla kobiet. Może jest trochę staromodny w

okazywaniu im tego, ale ja osobiście nigdy nie czułam się tak doceniona przez żadnego mężczyznę.

Mówiąc to, miała przed oczami Damona.

– Bo nie jesteś jego córką – nie dawała za wygraną Christine. – Nie byłabyś taka skora do bronienia go, gdybyś wyrosła pod jego twardą ręką.

– Stosunki między ojcem a córką nigdy nie są łatwe – odrzekła Rebeka. – Mężczyźni często nie wiedzą, jak rozmawiać z córkami.

– Łagodnie powiedziane – mruknęła Christine i owinęła sobie wokół palca kosmyk włosów, co było u niej oznaką zdenerwowania.

– Dobry ojciec, taki jak twój, chciałby, żebyś była niezależna – mówiła tymczasem Rebeka. – Ale z drugiej strony chce cię chronić. To wymaga często nie lada akrobacji. A śmierć twojej matki nie ułatwia mu zadania.

– Skąd ta twoja tolerancja? – spytała Christine z uśmiechem.

– Błędy, moje dziecko. Popełniłam w życiu dużo błędów. Więcej, niż powinnam.

Christine poprawiła się na kanapie, rozluźniona w towarzystwie Rebeki. Odpowiedź, którą usłyszała, wyraźnie trafiła jej do przekonania, choć pewnie za nic w świecie by tego nie przyznała.

Tak oto Rebeka pozwoliła się wciągnąć w życie rodzinne Bittmanów jako przyjaciółka i powierniczka Christine. Czowała, że radykalizm polityczny dziewczyny, a szczególnie jej feminizm, ma swoje korzenie w utracie matki. Łatwiej przychodziło jej dzięki temu pobłażanie poglądom Christine, przekonana była bowiem, że czas – i jej własna rola – po trochu je złagodzi.

Niejako uwieńczeniem tego niezwykłego procesu odradzania się i budowania nowej tożsamości był dla Rebeki list od Dusty, która zapraszała ją na ślub. Było to właściwie tylko suche zawiadomienie, kiedy jednak

Rebeka odpowiedziała na nie gorącymi słowami radości i miłości, Dusty napisała obszerniej. A na Wielkanoc zadzwoniła.

Jej głos brzmiał tak samo, jak kiedyś. Rozmawiały długo, Dusty z nieznajomego mieszkania swego narzeczonego, Rebeka z pokoju zawieszzonego wysoko nad jeziorem Michigan. Odmiana lokalizacji była całkowita, pozwalała zapomnieć o ich dawnym życiu i może dzięki temu czuły się swobodniej.

Później nastąpiły dalsze telefony i nieśmiało, w nowej postaci, zaczęła się odradzać ich całożyciowa bliskość. Dusty entuzjasmowała się Cameronem i swoimi planami, Rebeka ją w tym utwierdzała, chwaliła jej nowo narodzoną samodzielność, dodawała otuchy w trudnych chwilach, które dziwnie często zdarzały się jej córce.

– Cameron bardzo chce cię poznać – powiedziała któregoś dnia Dusty.  
– Opowiedziałam mu wszystko o tobie.

Rebeka przełknęła w milczeniu implikacje tego oświadczenia, mając nadzieję, że Dusty nie powiedziała Cameronowi całej straszliwej prawdy, prawdy o Tonim. Niezupełnie była jednak tego pewna.

– Ja też się nie będę mogła doczekać, kiedy go poznam – odparła. – Dogadują się jakoś z ojcem?

– Myślę, że tak. Są zupełnie inni, ale chyba się polubili.

Rebeka doznała na te słowa dziwnej jasności w duszy.

– Cieszę się! – powiedziała szczerze.

Przez jakiś czas obawiały się obie spotkania twarzą w twarz, ale stopniowo dodawało im otuchy delikatne docieranie się ich głosów, ząbienie pytań i odpowiedzi. Zaczęły też robić konkretne plany w związku ze ślubem, który miał je zetknąć ponownie.

Wiosenne ocieplenie przychodziło do Chicago nieśmiałoymi zrywami, za każdym razem odpychane zimnym deszczem czy jeszcze jednym dniem lodowatego wiatru od jeziora. W Wisconsin wciąż leżał śnieg. Ale Rebeka czuła w każdej komórce swego ciała mrowiące życie. Nie mogła się doczekać lata.

Tymczasem wszczęli oboje z Damonem kroki rozwodowe. Jej adwokat w Chicago uzgadniał szczegóły z prywatnym adwokatem Damona w Nowym Jorku, a sprawy przebiegały zaskakująco sprawnie i przyjaźnie. Nienawiść Damona do Rebeki jakby się wypaliła po wizycie w Kanadzie. Zachowywał się teraz uprzejmie, aczkolwiek dosyć chłodno. Zdawał się bardziej zatroskany o szczęście córki niż o własne nieudane małżeństwo.

– Rozumiem, że jesteś z Dusty w stałym kontakcie? – zapytał w którejś rozmowie telefonicznej.

– Tak.

– I co o niej myślisz?

– Wydaje się bardzo szczęśliwa. A skoro tak, to Cameron musi być niezwykłym człowiekiem. Podobno go poznałeś?

– Owszem, poznałem.

Damon zdawał się mieć na baczności.

– Jaki on jest?

– Spokojny. Bardzo zaangażowany w swoją pracę.

Zabrzmiało to jak ukryta krytyka. Rebeka wiedziała, że Cameronowi nie zależy na karierze na wzór Damona i że Damonowi niewątpliwie trudno się pogodzić, że z takim mężem u boku nie czeka Dusty błyskotliwa przyszłość, jaką dla niej wymarzył.

– A jaki jest w stosunku do Dusty?

– To już sama musisz ocenić.

Kryła się w tym szpileczka, która sprawiła, że Rebeka czym prędzej przerwała rozmowę. Oboje pamiętali, jak skończyło się jej spotkanie z poprzednim narzeczonym Dusty.

Co do Damona, to był on teraz całkowicie pochłonięty swoją osobą i swoim życiem. Zostawił za sobą gorycz po odejściu żony i kroczył energicznie ku przyszłości, którą sobie zaplanował.

Projekt Hightower był coraz bliższy realizacji, przynajmniej na papierze. Dzięki staraniom Damona i ekspertów finansowych, plany przeszły przez sito legislatury stanowej. Uznano, że Hightower uczyni z Nowego Jorku finansową bonanzę, przyciągając inwestorów zagranicznych i amortyzując się w ciągu dekady. Pozostawały jeszcze do przezwyciężenia pewne problemy w Waszyngtonie, gdzie przeciwnicy projektu – prawdopodobnie z osobistych motywów politycznych – blokowali wciąż zgodę na finansowanie federalne, jednakże gubernator zdawał się pewny, że pokona swymi wpływami opory na Kapitolu, i wychwalał Damona pod niebiosą.

– Jesteś naszym orężem w tej walce – powiedział mu kiedyś. – Gdyby nie twoje mistrzowskie lawirowanie wśród tych nadętych pajaców w Ratuszu, cała sprawa dawno by upadła.

– Dziękuję, że to mówisz, Ron – odparł Damon z należną skromnością.

– Nie myśl, że nie doceniamy twego wkładu – dodał gubernator.

– Zawsze miło coś takiego słyszeć.

– Już moja w tym głowa, żeby to zauważono. Nasi przyjaciele na szczeblu federalnym umieją docenić talent taki jak twój. A propos, czy wiesz, że wiceprezydent był w Harvardzie członkiem naszej korporacji?

Upewniło to Damona, że może się spodziewać jakiejś nominacji rządowej. Gubernator już teraz zabiegał wyraźnie o to, żeby Damon nie zapomniał wówczas, komu to zawdzięcza.

Jeśli chodzi o jego życie osobiste, to tutaj także wszystko układało się jak najlepiej. Damon znów zaczął się spotykać z Alison Shore, która wybaczyła mu jego zachowanie podczas pamiętnej wymiany zdań na temat Rebeki i ich stosunki powróciły mniej czy bardziej do stanu sprzed tamtego wieczoru. Krążyły plotki, że po zerwaniu z Damonem Alison wzięła sobie bardzo młodego kochanka, prawie chłopca. Jednakże albo sprawy między nimi się nie ułożyły, albo też Alison z nim zerwała, kiedy na horyzoncie z powrotem pojawił się Damon.

Z całą pewnością Alison emocjonowała się widokami Damona na przyszłość, a on odnajdował dawną przyjemność w spotykaniu się z nią. Kojąco działały na niego zarówno jej znajome pieszczoty, jak inteligentne, dojrzałe rozmowy, często o wspólnych znajomych. Kłopoty z Rebeką wydawały się w jej towarzystwie tak odległe, jakby zegar został zawrócony do mniej skomplikowanych czasów. Damon czuł, że znów panuje nad sytuacją.

Ashley usunęła ciążę. Po zabiegu Damon starał się być dla niej szczególnie dobry i wyrozumiały. Przez pierwsze parę tygodni poświęcał jej więcej czasu, a na któryś weekend zabrał ją do uzdrowiska w Catskillach. Zdawała się trochę wyciszona, ale poza tym była dawną sobą. Bał się trochę, czy skrobanka nie odbije się niekorzystnie na jej apetytach seksualnych, ale okazało się, że jest równie chętna i pomysłowa, jak przedtem.

Jego obecna sytuacja, intymne stosunki z dwiema kobietami, nosiła pewne podobieństwo do dawnego pożycia z Rebeką i Alison. Stosownie do nastroju chwili mógł urozmaicać dojrzałe pieszczoty Alison zmysłową

frywolnością Ashley. Czuł, że czerpie to, co najlepsze, z dwu odmiennych światów – zrozumienie od starszej kobiety, a zaspokojenie zmysłów od młodszej.

Tak jak dla Rebeki, zbliżający się ślub Dusty był dla Damona sprawą wielowymiarową i ekscytującą. Uzmysławiał mu jego pozycję – rolę ojca rodziny i człowieka sukcesu. Nie przyprawiał go też wcale o poczucie, że jest stary. Żyje w końcu z dziewczyną niewiele starszą od Dusty, dziewczyną, która się pozbyła zniekształcającej ciąży, jaka się bez wątpienia prędzej czy później pojawi w wyniku małżeństwa Dusty.

Ciekaw był spotkania na ślubie Rebeki i jej nowego przyjaciela, Sama. Wiedział, że Sam Bittman jest człowiekiem starszym, starszym od niego samego. Sprawiało mu to ulgę, a także napawało czymś w rodzaju triumfu. Z jednej strony nie musi się dalej dręczyć romansem Rebeki z Tonim. Z drugiej, może być dumny, porównując swoje ciekawe życie z szarą egzystencją, jaką Rebeka sobie wysmażyła na Środkowym Zachodzie z tym Bittmanem. Czuł, że przywraca mu to zarówno poczucie godności, jak równowagę w stosunkach ze zdrożną żoną. Cóż, od początku wiedział, że prędzej czy później wszystko się ułoży.



## *Rozdział 31*

Ślub Dusty został wyznaczony na drugi tydzień czerwca. Na jej wyraźne życzenie zaproszona była tylko najbliższa rodzina i kilkoro przyjaciół. Na miejsce ceremonii ślubnej wybrano kaplicę uniwersytecką.

Po miodowym miesiącu Dusty zamierzała znaleźć sobie pracę. Przez ten czas chciała pozostać w mieszkaniu Camerona. Poszukają sobie innego lokum później, tłumaczyła Rebecce. Z tym miejscem wiąże się zbyt wiele szczęśliwych wspomnień, więc właśnie tutaj zamierza rozpocząć małżeńskie życie.

Rebeka przyjechała do Nowego Jorku dwa tygodnie przed ślubem. Czekają ją porządki zarówno w mieszkaniu na Manhattanie, jak w domu na Long Island. Na ironię losu zakrawał fakt, że część rzeczy miała stanowić przyczynek do jej nowego życia w Chicago, drugą zaś część chciała jak każda dumna matka zostawić Dusty i Cameronowi do ich przyszłego domu. Czują, że kładzie tym podwaliny pod dwie nowe egzystencje, swoją i córki, wymazując zarazem za jednym zamachem przeszłość.

Parę dni przed ślubem przyjechały z Binghampton matka i siostra Camerona. Rebeka zaprosiła je na lunch do małej restauracyjki w Greenwich Village. Były to ciche, bezpretensjonalne kobiety, miłe, ale nie tak urocze, jak córki Sama Bittmana. Widząc podobieństwo Camerona do matki, zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak temperament, Rebeka zastanawiała się nad osobą ojca – nie był on zapraszany na ślub – który też musiał mieć jakiś wkład w osobowości Camerona i jego siostry.

Najtrudniejszym momentem było dla Rebeki pierwsze spotkanie z Dusty. Doszło do niego wieczorem w dniu jej przylotu do Nowego Jorku.



Dusty udzieliła jej przez telefon wskazówek, jak dojechać do mieszkania Camerona, i Rebeka wzięła z hotelu taksówkę do Greenwich Village. O siódmej nacisnęła dzwonek.

Kiedy rozległ się brzęczyk i później, kiedy weszła do środka, poczuła się, jakby wkraczała na teren zaminowany jej własnymi poczynaniami. Szaleńcze wędrówki minionego roku zdawały się zaćmiewać schody, czynić je obcymi i niegościnnymi niczym najdalszy zakątek świata.

W otwartych drzwiach czekał na nią Cameron, uśmiechając się z wysokości swego ponad metra osiemdziesiąt wzrostu.

– Pani Rebeka Lowell, prawda?

Ścisnęła mu przez chwilę dłoń, mówiąc coś i bojąc się wejść dalej. Potem zobaczyła, że otwierają się szerzej drzwi w głębi i idzie ku niej Dusty. Rzuciła się do przodu i poczuła w ramionach znajome ciało córki. Wciąż jednak bała się spojrzeć w jej o rok starszą twarz.

– Boże – wydyszała – jak ja za tobą tęskniłam!

– Ja też, mamuś.

Rebecce ścisnęło się serce na dźwięk słowa, którego Dusty tak rzadko używała, odkąd przestała być dzieckiem.

Przeszli później do małego salonu i od twarzy córki odciągnęły Reбекę na moment pokryte książkami ściany, oprawne reprodukcje i stare meble.

W końcu przemogła się i popatrzyła uważnie na Dusty.

– Jak ty się zmieniłaś! – powiedziała przejętym głosem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Dusty.

Zmiana rzeczywiście była wyraźna. Dusty wyglądała wciąż dziewczęco, ale coś z niej uleciało i jednocześnie coś się w niej ukształtowało, coś nowego. Na pewno zeszczupiała; komplet, który Rebeka

jej kupiła na Gwiazdkę, byłby pewnie za obszerny. Promieniała szczęściem, jak każda narzeczona, ale jej dziewczęcość była jawną pozą, pokrywającą piętno cierpienia, za które Rebeka ponosiła część odpowiedzialności, może nawet całą odpowiedzialność. Serce ścisnęło jej się na tę myśl.

Ale Dusty już jej pokazywała mieszkancko, już oprowadzała ją za rękę, już trajkotała.

– Tutaj się uczę. Rzeczy Camerona są w drugim pokoju. Pamiętasz ten obraz? Brit pomogła mi go zawiesić. Ona uważa Camerona za okropnego nudziarza. Znasz Brit, prawda?

Wszystko było dobrze do momentu, kiedy Rebeka spostrzegła, że nie dociera do niej nic z tego, co mówi córka. Wciąż musiała ją prosić o powtarzanie. Dusty przyniosła jej całe pudełko chusteczek kosmetycznych, bo Rebeka, odkąd tu weszła, miała oczy pełne łez.

Uspokoila się trochę, kiedy zaczęli w maciupeńskiej kuchni przygotowywać razem kolację. Cameron spodobał się Rebecce od pierwszej chwili. Choć miał w sobie coś z naukowca – dojrzałość, dystans, ważenie słów – to jednak w jego piegowatej twarzy było zarazem coś chłopięcego, co od razu ujęło Rebeke. Widoczne było też, że bardzo kocha Dusty.

Co do Dusty, to znalazła ona matkę radykalnie odmienioną. Rebeka wydawała się spokojniejsza, pogodzona ze sobą, a zarazem bardziej energiczna niż kiedyś. Mówiła dużo, tryskała pomysłami, nie przypominała zahukanej żony z dawnych dni. Jest wolna, myślała córka. Wolna i rozluźniona.

Po kolacji Cameron przeprosił niezbyt zręcznie, że musi jeszcze wpaść do laboratorium, i zostały same. Rebeka próbowała przez chwilę przypomnieć sobie przemowę, którą przygotowywała przez całą zimę, po czym rzuciła nagle:

– Czy ty mi kiedyś przebaczysz?

– Już ci przebaczyłam.

Odpowiedź Dusty padła szybko, jakby i ona się przygotowała. Te prosto słowa znaczyły jednak dla Rebeki wszystko.

– Złamałam ci życie – powiedziała. – Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Dusty zdawała się świadoma, że to dwie różne rzeczy, i skomentowała tylko pierwsze zdanie.

– Nic mi nie złamałaś. Znalazłam szczęście. Cameron jest cudownym człowiekiem, mamo.

Rebeka otarła oczy.

– Widzę to, kochanie. Tak się cieszę z twego szczęścia.

Rozmawiały długo, siedząc na starej kanapie, chociaż rozmowa stała się wkrótce powtarzaniem tego, co już sobie zdążyły powiedzieć przez telefon od wiosny. Prawdziwa wymiana myśli nie była jeszcze możliwa. Zbyt wiele się wydarzyło. Ich uwagi nie mogła ująć paradoksalność sytuacji, że oto obie znalazły szczęście w wyniku tego, do czego doszło między Rebeką a Tonim. Lecz gdzieś w toku ich rwanej rozmowy rodziła się podstawa przyszłego porozumienia. Rebeka miała w jednej chwili łzy w oczach, by w następnej śmiać się jak pensjonarka. Kiedy przyszedł Cameron, pożegnała się. Wróciła do hotelu wyczerpana.

Na dwa dni przed ślubem przyleciał do Nowego Jorku Sam. Dusty chciała go jak najprędzej poznać, więc Rebeka uległa i zaraz go przywiozła. Patrząc, jak Sam ściska dłoń Camerona, nie mogła się ponownie oprzeć wrażeniu nierealności. Wszyscy są tak odlegli od miejsc, jakie zajmowali przed rokiem, myślała. Mimo woli na myśl nasunęła jej się fascynacja Sama ruchami tektonicznymi. Jak dwa odległe punkty skorupy ziemskiej, które się schodzą, gdy jedna warstwa nasuwa się na drugą, tak Sam i Dusty zostali

zderzeni ze sobą przez kosmiczne nieprawdopodobieństwo jej przygody z Tonim.

Ku jej ogromnej uldze Sam stanął na wysokości zadania, od razu znajdując wspólny język zarówno z Cameronem, jak z Dusty. Camerona rozpytywał z zainteresowaniem o jego eksperymenty chemiczne, Dusty chwalił za jej wybór dziennikarstwa.

– Zawsze podziwiałem ludzi, którzy umieją pisać – powiedział do Dusty. – Ja nigdy nie miałem do tego talentu. Spaliłbym się ze wstydu, gdybyś przeczytała któryś z moich listów do twojej mamy. Brzmiały, jakby wyszły spod pióra ośmioklasisty.

Na prośbę Dusty pokazał zdjęcia córek. Nie omieszkał przy tym podkreślić podziwu Christine dla Rebeki.

– Nie mogła niestety przylecieć ze mną, bo ma egzaminy. Żałuje diabelnie, możesz być pewna. Ale będzie jeszcze niejedna okazja. Christine marzy, żeby cię poznać, Dusty.

Opowiedział też o domu, który zamierza wybudować w Lake Geneva.

– Po trzydziestu latach przejadło mi się Madison – mówił. – Chciałbym urządzić sobie nowe życie w nowym miejscu, ale chcę pozostać niedaleko rodziny. Muszę zresztą myśleć o Christine, przynajmniej dopóki nie ukończy studiów.

Uśmiechnął się do Dusty.

– Twoja mama zadeklarowała mi swoje talenty przy urządzaniu nowego domu. Będę jej dogonnie wdzięczny, zapewniam cię. Bo ja mam gusty jaskiniowca, jakby powiedziała Christine.

Chociaż wieczór przebiegał spokojnie, przyprawiał zarazem o zawrót głowy swoim nieprawdopodobieństwem, tak jakby wszyscy zostali uniesieni przez huragan i znów cało i bezpiecznie postawieni na twardym gruncie.

Rebeka wciąż nie mogła uwierzyć, że los okazał się na tyle wyrozumiały, że jej zwrócił córkę. I że obok stoi Sam, pogrążony w męskiej rozmowie z Cameronem o wymogach doktoratu, szukaniu pracy, życiowych szansach. Choć jest to rzeczywiste, to jest zarazem zbyt piękne, by było prawdziwe.

Kilka dni przed ślubem Damon i Rebeka zdecydowali się spotkać na lunchu. Przez kilka minut rozmawiali o rozwodzie, który jak na ironię miał się sfinalizować w przeddzień ślubu. Potem przeszli do miłszego tematu

I zaczęli rozmowę na temat Dusty.

– Co sądzisz o Cameronie? – spytał Damon.

– Zrobił na mnie znakomite wrażenie – odparła Rebeka. – Nie będzie może błyszczał towarzysko, ale ma zdaje się silny, zrównoważony charakter.

– Też mi się tak wydaje.

– Ma poza tym serce chłopca – dodała. – Otwarte i szczere. To cecha, która dobrze rokuje na przyszłość.

Oblała się lekkim rumieńcem, uświadomiwszy sobie, że oboje porównują go w myślach z Tonim. Wiedziała, że Toni odpowiadałby Damonowi bardziej od Camerona, który pochodzi ze skromnej prowincjonalnej rodziny. Nawet jeśli się wybije w świecie akademickim, nigdy nie zdobędzie takiego znaczenia i takich wpływów, jak Damon.

– A jakie wrażenie robi na tobie Dusty? – spytał po chwili, patrząc na nią badawczo.

– Jest szczęśliwa – odparła Rebeka. – Silniejsza. Jestem z niej dumna.

Damon odwrócił wzrok, potem popatrzył na nią znowu.

– Więc jest z tobą ten twój przyjaciel?

Rebeka skinęła głową.

– Możecie się poznać, jeśli chcesz. Nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby był na ślubie.

– Skądże znowu! Przyprowadź go. Wszyscy twoi znajomi są mile widziani. Dusty się podobno podobał – dodał bez widocznej zazdrości.

– Tak – przyznała. – Istotnie.

Damon przyglądał się żonie. Za kilka dni ich małżeństwo zostanie rozwiązane, a jedynym łączącym ich ogniwem pozostanie Dusty. Już teraz Rebeka wydawała mu się odległa o tysiące mil. Wydarzenia ostatnich miesięcy bardzo ją zmieniły. Wtedy, w Kanadzie, zrobiła na nim wrażenie zbuntowanej, zdeterminowanej, ale nieszczęśliwej. Teraz była spokojna, uśmiechnięta, pogodzona ze sobą w sposób, którego nigdy by się po niej nie spodziewał. Ten cały Sam musi na nią dobrze działać.

Nie miał serca robić jej więcej wyrzutów. Spróbował tego w Kanadzie i nic to nie dało. Teraz, zaskakująco, nie było powodu nie życzyć jej szczęścia. Nie tylko ze względu na Dusty, ze względu na nią samą także. W końcu stać go na wielkoduszność. Wszyscy wyszli przecież z tego cało, a on ma nawet swoje korzyści.

– Będzie mi ciebie brak – powiedział.

– Mnie też, Damonie.

Uścisnęła mu mocno dłoń. Poczul nieoczekiwane ukłucie gdzieś pod pancerzem swojej męskiej dumy, ale przywołał na wargi krzywy uśmiezek.

Ślub był skromny. Garstka obecnych niknęła w kaplicy uniwersyteckiej. Pierwszą drużną była Brit, drużbą młody człowiek z rodzinnego miasta Camerona. Do ołtarza prowadził córkę Damon.

Sam siedział obok Rebeki. Damon zamienił z nim rano parę słów i teraz zachodził w głowę nad wyborem byłej żony. Sam był z grubsza ciosany, niemal prowincjonalny, pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku czy

dystynkcji. I to ten mężczyzna miał uszczęśliwić Rebeke? Wydawało się to nie do wiary.

Pastor udzielający ślubu był unitarianinem; nie pokusił się o parę osobistych słów. Rebeka nie przekazała córce swego katolicyzmu, a rodzina Camerona nie miała określonego stosunku do religii.

Kiedy stula związała ręce Dusty i Camerona, Sam ujął dłoń Rebeki.

– Czy ty, Dusty, chcesz wziąć sobie tego oto Camerona za męża, pozostać z nim na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć was rozdzieli?

Rota przysięgi ugodziła Rebeke w samo serce. W oczach zakręciły jej się łzy. Łzy nad sobą i nad córką. Takie ogromne obietnice, myślała, cała wieczność w tych kilku krótkich słowach. Przypomniało jej się własne ślubowanie, złożone tyle lat temu Damonowi, i sposób, w jaki się zakończyło ich małżeństwo.

– Tak.

Rebeka nie widziała twarzy Dusty. Czowała, że Sam ścisną jej dłoń, i była mu wdzięczna za wsparcie. Wkrótce będzie po wszystkim, pomyślała. Państwo młodzi będą dziękować zgromadzonym gościom, nie mogąc się przy tym doczekać, kiedy wreszcie wyruszą w podróż poślubną.

Co do Damona, czuł on pewną wyższość wobec tego, czego był świadkiem. Zarówno w tej skromnej ceremonii, jak w równie skromnej przyszłości rysującej się przed Dusty było coś, co obrażało jego honor. Był zawsze człowiekiem ambitnym, chciał odcisnąć swoje piętno na świecie. Ten ślub stanowił zaś dziwne zawężenie jego horyzontów. Mąż z kredą na rękawach i pełen dzieci dom przy jakimś prowincjonalnym college'u – czy to są aspiracje jego córki?



Jednakże kaplica uniwersytecka zdawała się tego ranka pełna szczęścia. Dusty promieniała, Camerona rozpierała duma i podniecenie, Rebeka wyglądała nadspodziewanie ładnie ze łzami ciekącymi po policzkach.

– Ogłaszam was oto mężem i żoną – oznajmił z uśmiechem pastor.

Kiedy Cameron całował Dusty, Damon poczuł mimo woli wagę tej chwili. Dusty i Cameron zeszli się wbrew wszystkiemu i wkraczają oto śmiało w życie mimo okrutnej niepewności czasu. Co do Rebeki, to chociaż zgrzeszyła przeciw swojej rodzinie i swojej religii, odnalazła wolność czy też przynajmniej to, co uważa za wolność. Sam Bittman zaś, otrząsnąwszy się mężnie po stracie żony, znalazł teraz Rebekę. Jest to, musiał przyznać Damon, nie byle jakie znalezisko.

Damon wyczuwał w obu tych związkach pewien rys nieprawdopodobieństwa. A także odwagę potrzebną do jego przezwyciężenia. Wszyscy tu są niedoskonali, ułomni – i wszyscy się trudzą, żeby dokonać właściwego wyboru. Słabość i siła współżyją w blasku miłości malującym się na twarzach. A miłości nie można oddzielić od nadziei. Damon to rozumiał – i nie był w stanie powstrzymać ogarniającego go wzruszenia.

Wieczorem, po przyjęciu weselnym, zadzwonił do Ashley i ostatecznie z nią zerwał. Słuchała w milczeniu jego argumentacji, która – po prawdzie – była równie mętna dla niego, jak dla niej. Potem, z jednym jedynym wyzwiskiem, odłożyła słuchawkę.



## *Rozdział 32*

Wkrótce po ślubie Rebeka i Sam wyjechali z powrotem na Środkowy Zachód. Mieli mnóstwo do zrobienia. Chcieli zbudować dom, urządzić go, musieli dopatrzeć mnóstwa drobiazgów.

Christine znalazła czas, by spędzić z Rebeką długi weekend w Chicago. Wybrały się razem na sztukę Davida Mameta w Steppenwolf Theatre, spędziły cały dzień w Instytucie Sztuki. Mimo oporu Christine, Rebeka kupiła jej w jednym z eleganckich sklepów spódnicę ze swetrem. Widząc ją wychodzącą z przymierzalni, przypomniała sobie, jak pomagała Samowi kupować dla niej prezent gwiazdkowy u Harpera w Grace Island. Cóż, niedługo będzie znała jej wymiary równie dobrze, jak zna wymiary Dusty.

Rebeka dość często odwiedzała Sama w Madison. Pilnowała wraz z nim dzieci jego starszych córek, robiła z Gretchen zakupy na Zachodniej Stronie miasta, spacerowała z Samem po State Street, poznała mieszkancko Christine koło kampusu. Pogoda była balsamiczna, jeziora piękne, tak że z uśmiechem niedowierzania przyjmowała ostrzeżenia Sama, iż za kilka miesięcy ostra zima uniemożliwi takie spacerowanie.

Nowe wrażenia coraz dalej odsuwały wydarzenia przeszłości, zacierają niedawne zdumienie nad nieprawdopodobnym ułożeniem się życiowych losów. Rebeka powoli przyjmowała do wiadomości, że nie jest jedyną kobietą w Ameryce, której małżeństwo się rozpadło i która została rzucona w nowy świat, między nowych ludzi. Życie współczesne przemieszcza w podobny sposób miliony kobiet, myślała. Czy w dzisiejszym świecie istnieje w ogóle coś, co jest niezmiennie i trwałe?

Zdawała sobie sprawę, że do niej szczęście się uśmiechnęło. Weszła w ciepłą rodzinę Bittmanów, którzy ją przyjęli z otwartymi ramionami. A co najważniejsze, mimo swego grzechu nie utraciła Dusty. Rozmawiała z nią przez telefon co najmniej raz w tygodniu, dziękując za każdym razem niebiosom, że przywróciły jej córkę.

Zerwawszy z Ashley, Damon miał więcej czasu dla Alison. Rad był w zasadzie, że się pozbył tej coraz bardziej natrętnej dziewczyny, zerwanie odświeżyło jednak echa żałoby po odejściu w zeszłym roku Rebeki. Nie lubił samotności. Poza tym Ashley była w jego życiu potężną siłą pobudzającą, zarówno psychicznie, jak fizycznie. Pozostała po niej pustka, która czasem przyprawiała go o frustrację.

Alison chyba nie zauważyła tej zmiany. Pozostała sobą i jak dawniej bawiła Damona zabawnymi złośliwościami pod adresem wspólnych znajomych. Damon coraz bardziej doceniał jej inteligencję i dowcip. Nie mógł odmówić jej rozumu i przenikliwości, nawet jeśli jej ostry języczek zwracał się przeciwko niemu, jak w tamtej pamiętnej sprzeczce o Rebece. Alison z pewnością była wyjątkową kobietą.

Przyszła mu nawet do głowy myśl, żeby jej się oświadczyć. Myśl ta zaczęła nabierać ciężaru gatunkowego, kiedy od adwokata Rebeki otrzymał papiery rozwodowe. Alison jest kobietą naprawdę wyjątkową, zaczął powtarzać sobie coraz częściej, szkoda, żeby wiedła w samotności. On będzie miał dużo pożytku z takiej żony, a dla Alison korzyść będzie tym większa wobec jego widoków na karierę polityczną. Mogliby się razem przenieść do Waszyngtonu.

Spotkali się tam podczas weekendu i obejrzelili kilka domów w dzielnicy Georgetown. Alison wydawała się podzielać jego entuzjazm odnośnie perspektywy małżeństwa, zaś Damon doznawał w jej towarzystwie

budującego uczucia wspólnoty. Jak elegancko wygląda w swoim kostiumie, z tą gustowną apaszką na szyi, zachwycał się na jej widok, jak wnikliwie rozpytuje pośrednika o dom i sąsiedztwo. Już jest ekspertem, jeśli chodzi o Waszyngton. Jako żona będzie nieocenioną pomocą.

Latem widywał się regularnie z Dusty i Cameronem – co jakiś czas zapraszał ich na weekendy do domu na Long Island. Wydawali się szczęśliwi, swobodni w jego towarzystwie. Rebeka zabrała stąd wprawdzie sporo swoich rzeczy, jednakże dom nie zmienił przez to zbytnio charakteru. Dziwnie tylko było odnajdować wszędzie jej ducha, dziwnie, ale nie jakoś specjalnie boleśnie. Wszyscy mają teraz to, czego chcieli, myślał Damon, Rebeka również. Ich przeszłość jest inna od ich dnia dzisiejszego – i tyle.

Co do Dusty, to zdawała się okazywać mu teraz więcej uczucia niż kiedykolwiek. Tak jakby, znalazłszy sama męża, przestała się lękać ojca, była bardziej rozluźniona w stosunkach z nim. Cieszyło to Damona, czuł się bliższy córki.

Prawie też polubił Camerona. Powoli, lecz nieuchronnie stawali się rodziną. Brakowało tylko Rebeki. Dzięki Bogu, z jej wyłącznej winy. To przecież ona uciekła. W pewnym sensie Damon był jej za to wdzięczny. Jej odejście nie zamknęło mu drogi do kariery politycznej, a wyzwoliło go z duszącego związku i pozwoliło wkroczyć na nowy szlak.

Kiedy na dodatek w starym budynku biur senackich w Waszyngtonie wpadła mu w oko pewna młoda osóbka, asystentka prawna w ekipie senatora Drake'a, przyszłość zaczęła się rysować jeszcze bardziej różowo. Dziewczyna, rudawa blondyneczka o piegowatej buzi i bez obrączki na palcu, znała go ze słyszenia. Wydawała się zainteresowana, kiedy jej powiedział w przyjacielskiej rozmowie, że spodziewa się bywać często w Waszyngtonie.

Któregoś dnia, mniej więcej na początku sierpnia, do gabinetu Damona wszedł bez pukania Bob Krieg. Minę miał wyjątkowo poważną.

– Muszę ci coś pokazać, Damon – oznajmił, po czym podsunął mu przez biurko kserokopię jakiegoś tekstu, który miał się ukazać nazajutrz w lokalnej gazecie.

Damon założył okulary i zaczął uważnie czytać.

*KOCHANKA NAJBLIŻSZEGO DORADCY LAZARE A UJAWNIA, ŻE DZIAŁAŁ ON PRZECIWKO PROJEKTOWI HIGHTOWER*

*Pracownica magistratu, która podaje się za byłą kochankę Damona A. Lowella, doradcy prawnego burmistrza Lazare'a, ujawniła, iż będąc wtajemniczonym w najistotniejsze poczynania burmistrza w sprawie projektu budowlanego Hightower, Lowell robił zarazem wszystko, żeby uniemożliwić realizację projektu.*

*Według naszej informatorce, Lowell działał na zlecenie pewnych nie zidentyfikowanych współpracowników gubernatora na rzecz zapewnienia mu reelekcji w przyszłorocznych wyborach. Realizacja projektu Hightower stanowiłaby dla burmistrza nobilitację, stając się orężem w jego dążeniu do wysadzenia gubernatora z urzędu.*

*Nasi reporterzy ustalili również, że rozmowy telefoniczne i wymiana pism Lowella z doradcami gubernatora zbiegały się w czasie z akcjami tych ostatnich w Albany i w Waszyngtonie przeciwko dotacjom stanowym i federalnym na realizację projektu. Według nie ujawnionych źródeł, Lowell przekazywał lobbystom gubernatora dane o spodziewanym przekroczeniu przewidywanych kosztów oraz inne dokumenty finansowe szkodliwe dla projektu Hightower. „Lowell robił wszystko dla uspienia czujności burmistrza i jego współpracowników, przekazując równocześnie*

*gubernatorowi i innym osobom informacje o słabych stronach projektu" – dowiadujemy się z naszego źródła.*

*Kancelaria Minter, Gaeth, Blacbnan, Krieg i Lowell, w której Lowell jest jednym ze wspólników, zaprzecza, jakoby wiedziała cokolwiek o knowaniach „podwójnego agenta”. „Nasza firma – oświadczył jej rzecznik – nie ma żadnych szczegółowych danych dotyczących projektu Hightower. Damon Lowell był jedynym i wyłącznym naszym przedstawicielem w tej sprawie. Uważamy całe oskarżenie za niewiarygodne. Nasza firma w całej swojej historii nie działała nigdy świadomie przeciwko interesom swego klienta, a cała odpowiedzialność za wyżej wymienioną sprawę spada wyłącznie na pana Lowella, z którym wkrótce będziemy rozmawiać”.*

*Ken Prieto, jeden z głównych doradców burmistrza, oświadczył naszym reporterom, że działalność „podwójnego agenta” została wykryta przez jego współpracowników już kilka miesięcy temu, lecz burmistrz postanowił na razie „nie ukrecać mu karku, żeby zdobyć lepsze rozeznanie”.*

*Intryga, jakby rodem z filmu płaszcza i szpady, została podana do naszej wiadomości przez pracownicę magistratu, której nazwisko nie może być na razie ujawnione w związku ze sprawą sądową, którą Zarząd Miasta zamierza wytoczyć firmie Lowella. Śledztwo w tej sprawie jest obecnie oczekiwane na szczeblu stanowym, jak również w Radzie Adwokackiej.*

Damon poszukał oczu Boba, siedzącego po drugiej stronie biurka. Jednakże Bob unikał jego wzroku.

– Cóż to za bzdura? – spytał Damon.

– Niestety, to nie bzdura. Ratusz zerwał dziś z nami wszelką współpracę w sprawie Hightower. Lazare przekazał Royowi Minterowi, żeby twoja noga nie powstała więcej w Ratuszu. Straciliśmy klienta, Damon. Damon był równie zaskoczony, co przerażony.

– Nie rozumiem. Przecież wszystko szło tak dobrze. Jeszcze przedwczoraj rozmawiałem z kluczowymi osobami związanymi z projektem.

Ze sposobu, w jaki Bob poprawił się na krześle, można się było domyślać, że to nie koniec złych wiadomości.

– Posłuchaj, Damon, znamy się nie od dzisiaj. Przekazując ci to, czuję się tak, jakbym musiał sobie uciąć rękę. Muszę ci to jednak powiedzieć. Wspólnicy żądają twojej natychmiastowej rezygnacji.

– Mojej rezygnacji? Zwariowałeś? Dlaczego miałbym składać rezygnację?

– Dla dobra firmy. Nie myśl, że łatwo to przełknąłem. Walczyłem wczoraj na zebraniu w twojej obronie do upadłego, ale wszyscy stanęli jak jeden mąż przeciwko tobie. Skompromitować się samemu to jedna rzecz, Damon, skompromitować firmę to całkiem inna.

– A w jaki to niby sposób ją skompromitowałem? – spytał Damon z niedowierzaniem.

– Na miłość boską, Damon! Nasi ludzie prowadzą ponad sto spraw dla miasta – odparł Bob. – Jak długo je teraz pociągną, kiedy wyszła na jaw ta sprawa? Straciliśmy zaufanie naszego klienta. Tym klientem jest miasto Nowy Jork. Żaden z nas nie zmrużył oka tej nocy. Stajemy na głowie, żeby ratować, co się da. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Nasze dobre imię może zostać zaprzepaszczone na zawsze.

Damon potrząsnął głową, jakby chciał się wyswobodzić z oplatającej go pajęczyny.

– Przecież to wszystko kłamstwo! – wykrzyknął. – Jak może zaprzepaścić dobre imię firmy jakaś żalosna historyjka całkowicie wyssana z palca? Ja nigdy nie działałem przeciwko Hightower. Dobrze to wiesz.



Urobiłem sobie ręce po łokcie przy tej cholernej sprawie. Wychodziłem ze skóry dla ugłaskania facetów w Albany i w Waszyngtonie, byleby tylko projekt przeszedł. Lazare wie o tym najlepiej.

Bob milczał.

– Powiedz, Bob, to nieprawda? – zapytał Damon. Bob się nie odzywał, unikał jego wzroku. Damon nie rozumiał, dlaczego.

– Nieprawda, powiedz! – powtórzył.

Bob nie odpowiedział. Dopiero teraz stało się jasne to, czego Damon jeszcze przed chwilą nie był w stanie poważnie rozważyć – burmistrz zerwał współpracę, a wspólnicy zwyczajnie go wrobili.

– Chryste – powiedział. – Więc to jednak prawda?

Bob patrzył w bok. Przez mgiełkę spalin majaczyła za oknem odległa rzeka. Jej brudne wody potrafiły z tej wysokości wyglądać czasem malowniczo, lecz teraz bardziej przypominały bajoro dla topielców.

– Wszyscy byliście w to wtajemniczeni? – zapytał Damon. – Spiskowaliście z gubernatorem? I Roy, i Tom, i Evan? Posługiwaliście się mną jako figurantem wobec burmistrza, a cały czas ryliście pod projektem?

Z trudem ogarniał rozmiary spisku. Tyle jego ciężkiej pracy, cotygodniowe spotkania z ludźmi gubernatora, niekończące się skakanie koło Lazare'a, którym pogardzał – wszystko to w imię forsowania projektu, który jego wspólnicy od początku bojkotowali.

– Dlaczego? – spytał cicho. Bob westchnął.

– Dlatego że gdyby projekt wypalił, Lazare wyszedłby na bohatera. Byłaby to karta atutowa w jego kampanii wyborczej. A my nie możemy dopuścić, żeby Lazare rządził całym stanem. Trzyma z nieodpowiednimi ludźmi. Zniszczyłby wszystko, co osiągnął gubernator.

Damon dostrzegł w tym ziarno słuszności. Faktycznie, od początku było coś zaskakującego w tym, że ludzie, którzy wyszli z ekskluzywnych uniwersytetów, tacy jak gubernator i sam Damon, działają ręką w rękę z kimś takim jak Lazare.

– Dlaczego, u diabła ciężkiego, nic mi nie powiedzieliście? – zapytał Boba. – Dlaczego pozwoliliście mi nadstawiać karku, wiedząc, że to wszystko lipa?

Rumianą twarz Boba wykrzywiło coś pośredniego między zakłopotaniem a politowaniem.

– Zamierzaliśmy ci powiedzieć – odparł. – Ale poprowadziłeś sprawę od początku tak energicznie, że nie chcieliśmy cię hamować. Gubernator chciał, żeby Lazare umoczył się po uszy, zanim... Sam rozumiesz. Chodziło o to, żeby kiedy projekt upadnie, Lazare był ugotowany.

Wzruszył ramionami.

– Z początku wszystko wydawało się w porządku. Ale kiedy cię rzuciła Rebeka, zawałiłeś sprawę. Zerwałeś z Alison, wzięłeś za kochankę tę gówniarę. Zatraciłeś instynkt samozachowawczy, opowiadałeś tej dziewczynie o szczegółach projektu. Rozeszło się to naokoło. Przykro mi to mówić, Damon, ale w tym momencie stałeś się dla nas groźny. Musieliśmy zadbać o własne bezpieczeństwo, postępować ze szczególną ostrożnością.

Damon raz jeszcze spojrzął na artykuł, który przed chwilą przeczytał: Tak, stał się dla nich niebezpieczny. Dowcipkował o Hightower, będąc z Ashley w łóżku. W końcu ona pracuje w Ratuszu, a specjalnością Lazare'a jest dobieranie sobie ludzi własnego pokroju. Z pewnością już dawno nawiązał z nią kontakt. Albo, co gorsza, ona sama się do niego zwróciła. Cokolwiek miał jej do zaoferowania, stawało się tym atrakcyjniejsze, im bardziej stygły zapaly Damona.



Postukał wypielegnowanym palcem w artykuł.

– Myślisz, że będzie z tego afera?

– Lazare żyje dobrze z prasą – odparł Bob. – Ten artykuł to dopiero początek. Drań rozbębni sprawę na całe miasto. A ma ciągle wystarczającą popularność wśród prostych wyborców, żeby upiec przy tym własną pieczeń. Wyobrażasz sobie te nagłówki? „Renomowana firma adwokacka w zмовie z Albany przeciwko miastu”.

Damon pomyślał o swojej fotografii zamieszczanej w prasie przez całą zimę i wiosnę. To samo zdjęcie będzie prawdopodobnie towarzyszyło jutrzejszemu artykułowi.

– A więc za późno, żeby temu zaradzić? – spytał

– Za późno – odparł Bob. – I nikt nie ubolewa nad tym bardziej niż ja, Damon.

– Byłbym ostrożniejszy, gdybym znał prawdę – powiedział Damon głosem dławionym wściekłością. – Jak można oczekiwać od człowieka, że poprowadzi tak skomplikowaną sprawę, nie znając jej kluczowego elementu?

Bob pokręcił głową, jakby przemawiał do krnąbrnego dziecka.

– Jak powiedziałem, mieliśmy zamiar cię wtajemniczyć...

Damonowi przypomniał się gubernator, taki pozornie przystępny i przyjacielski w ostatnich miesiącach. Dużo łatwiej byłoby współpracować z nim niż z Lazare'em, łączy ich w końcu pochodzenie i wychowanie. Uświadomił sobie jednak, że gubernator przyjaźnił się zawsze z Bobem Kriego, kolegą z Harvardu. Uznawszy, że projekt Hightower może się obrócić przeciwko niemu, zwierzył się ze swoich obaw Kriego, a ten przekazał je pozostałym współpracownikom. Tylko nie jemu, Damonowi.

– Do cholery! – Gniew Damona buchnął płomieniem buntu. – Dlaczego tylko ja mam za to płacić? Posłużyliście się mną jako kozłem ofiarnym, więc teraz powinniście stanąć za mną murem!

Bob pokręcił głową. Na jego twarzy znów odmalował się ów wyraz dobrotliwego politowania.

– Dla świata winnym jesteś ty. I zawsze nim pozostaniesz. Ty jeden utrzymywałeś oficjalne kontakty z gubernatorem i jego ludźmi.

– Chryste, nie sądziłem, że jesteście tacy przewrotni. Tak mnie podejść! Do końca życia będę sobie pluł w brodę, że was nie przejrzałem.

– Jak już mówiłem – powiedział Bob – kiedy Rebeka cię rzuciła, wszystko się odmieniło.

Damon nie mógł temu zaprzeczyć. Przed rokiem nie dałby się pewnie tak łatwo podejść. Lata praktyki nauczyły go nie ufać nikomu z branży. Faktem jest, że po odejściu Rebeki sprawy zaczęły mu się dziwnie wymykać z rąk.

Uśmiechnął się posępnie do Boba.

– A jednak Lazare przejrzał waszą grę. Dawno musiał na to wpaść...

Urwał, uświadomiwszy sobie, że chwali Lazare'a za przebiegłość i rozum, których jemu samemu zabrakło, gdy ich najbardziej potrzebował. Lazare, wprawiony w politycznych przepychankach, wyczuł pismo nosem. Intuicja mu podpowiedziała, że gubernator to zbyt dziwny sprzymierzeniec, żeby mu ufać. Możliwości zdrady dopatrywał się też pod dystynkcją Damona, w jego zdyszanych relacjach o tym, co się dzieje w Albany. Zdrady, której nie podejrzewał sam Damon, zaślepiony poczuciem własnej ważności, własnymi ambicjami, perspektywą własnego sukcesu.

Obie strony wykazały spryt, ale Lazare większy. Damon natomiast był bezwolnym narzędziem, przechytrzoną przez jednych i drugich. Wykorzystali go, a teraz rzucają wilkom na pożarcie.

– Więc chcecie, żebym złożył rezygnację? – spytał

– To najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić – odparł Bob. – Jedyna. Pomyśl, zagrożona jest pozycja tylu osób.

– Mnie obchodzi moja własna.

– Och, wyłądujesz na czterech łapach – odparł Bob.

– Nie musi być tak źle, jak ci się zdaje – dodał bez przekonania.

– Mógłbym przekazać prasie własną wersję wydarzeń.

Bob pokręcił głową.

– Zawsze byłeś równym facetem, Damon. Lojalnym członkiem drużyny. Wszyscy to wiedzą. Nie zaprzepaścisz trzydziestoletniej reputacji, mieląc językiem przed pismakami w takiej chwili. Milczenie to twoja najlepsza broń.

Damon nie mógł zaprzeczyć słuszności tego sądu. Dostatecznie już naruszył adwokacką przysięgę dochowania tajemnicy. Wylanie swoich żalów przed dziennikarzami oznaczałoby koniec jego kariery.

Zaległa cisza.

– A co z Hightower? – zapytał Damon po chwili. Bob wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem właśnie z gubernatorem. Uważa, że projekt ostatecznie przejdzie. Nie doceniliśmy wszyscy Lazare'a.

Damon zmierzył rumianą twarz starego przyjaciela. Mógłby go w tej chwili zamordować gołymi rękami.

– Jedno mnie ciekawi – odezwał się z ponurym uśmiechem. – Co byście zrobili, gdybyście sobie nie znaleźli kozła ofiarnego?

Bob wzruszył ponownie ramionami.

– Znalazłby się inny sposób – odparł. – Zawsze jest jakieś wyjście. Często to powtarzałeś, nie? Ale ty sam się podstawiałeś. Rozkleiłeś się po odejściu Rebeki, zmiękleś, zdiadziałaś. Chciałeś zaimponować małolacie, podbudować swoje ego. Takich rzeczy dorosły facet, facet na pewnym poziomie, po prostu nie robi.

Damon milczał. Patrzył w okno i myślał o Ashley. Przypomniał mu się telefon do niej w dniu ślubu Dusty. Nie brał poważnie jej rozgoryczenia – i tu popełnił kardynalny błąd. Powinien był wiedzieć, że Ashley nie jest dziewczyną, która pozwoli sobą bezkarnie pomiatać. Tym bardziej, że usunęła dla niego ciężę. Spoglądając teraz wstecz, żałował, że nie zdobył się na więcej przenikliwości. Ale czy kiedykolwiek rozumiał kobiety?

– Firma chce ogłosić twoją rezygnację przed drugą – oświadczył Bob.  
– Zostałem wydelegowany jako osoba tobie najbliższa. Mam wrócić z pismem. Mój Boże, cholernie mi przykro, Damon.

Damon popatrzył na zdjęcie Rebeki i Dusty stojące na biurku. Dawno chciał je zastąpić zdjęciem samej Dusty, ale zbyt był zaabsorbowany negocjacjami w sprawie Hightower.

– Mnie też przykro – powiedział..

## *Rozdział 33*

W grudniu, pół roku po ślubie Dusty, Rebeka wzięła tygodniowy urlop, żeby pomóc Samowi w urządzeniu nowego domu w Lake Geneva. Miejsce spodobało jej się od razu, szybko też doceniła jego główną zaletę – Sam miał stąd blisko do córek, a jednocześnie wystarczająco daleko, by czuć się niezależnym.

Najbardziej skora do odwiedzin była, rzecz jasna, Christine, wszystko wskazywało jednak na to, że nie będzie jej w domu przez całe lato. Załatwiła sobie praktykę w Milwaukee i myślała o wynajęciu tam mieszkania. Sam podejrzewał, że projekty te mają związek z jej nowym chłopakiem, który stamtąd właśnie pochodzi, nie wychodził jednak w swych opowieściach poza przypuszczenia.

Nowy dom, typowy domek podmiejski o czterech sypialniach, umożliwiający przyjmowanie gości i wnuków, został wybudowany dla Sama w ekspresowym tempie przez firmę, z którą prowadził on kiedyś interesy. Był jednak zupełnie nie urządzony wewnątrz. Chcąc tu spędzić Boże Narodzenie, Sam ściągnął meble ze swego dawnego domu w Madison, ale zobaczywszy, jak nędznie i bezbarwnie wyglądają w nowym wnętrzu, postanowił je natychmiast wyrzucić. Rebeka przekonała go jednak, żeby je na razie zostawił. Paradoksalnie, współgrały one w jakiś sposób z jej uczuciami, przeżywając tutaj swoją krótką drugą młodość w miejscu tak różnym od dawnego. – To trochę tak jak ja, kiedy się nad tym zastanowić – powiedziała do Sama.

W otoczeniu typowym dla Środkowego Zachodu, tak różnym od jej rodzinnego Bostonu i jej lat nowojorskich, czuła się nieco zagubiona i

bezradna, jak ryba wyjęta z wody. Choć może nie całkiem. W końcu taki skromny podmiejski domek byłby zapewne tym, o czym by kiedyś marzyła, gdyby po ukończeniu college'u miała szansę dokonania bardziej rozważnego wyboru.

Wietrzne miasteczko, zimne jezioro, milkliwi sąsiedzi jeżdżący jeepami i półciężarówkami – wszystko to było dla Rebeki nowe. Smakowała każdy szczegół nowej rzeczywistości. Nie było tu snobistycznych sąsiadów jak na Long Island, nie było wspólników Damona, czekających tylko okazji, żeby skrytykować umeblowanie, które Sam wybierze do nowego domu. Cieszyła się, że może on sobie pozwolić na korzystanie z prawa, którego Rebeka była pozbawiona przez całe dotychczasowe życie – prawa do bycia zwykłym człowiekiem.

Było trochę po pierwszej. W salonie trzaskał ogień na kominku, Sam zbierał się do pracy. Zanim wyszedł, pocałował Rebeke w usta i przytulił ją na chwilę.

– Nie chce mi się jechać – powiedział. – Taki dzień powinniśmy spędzić rozkosznie przed kominkiem. Dlaczego człowiek musi ślęczeć w biurze?

Traktował Rebeke z romantyczną tkliwością, napawał się każdą chwilą spędzaną z nią sam na sam. Przeklinał nową firmę, odrywającą go od Rebeki podczas jej krótkiego pobytu w jego domu. Rebeka jednak nalegała, żeby nie zanieczyścił z jej powodu obowiązków. Widziała, jak pobudzająco działają na niego nowe wyzwania.

– Ogień będzie się palił na twoje powitanie – zapewniła, klepiąc go po ramieniu.

– A ty mi wyczarujesz przez ten czas nowe wnętrze – zażartował, machając jej od drzwi.

W sprawie urządzenia domu Sam pozostawił Rebecę całkowicie wolną rękę. Podeszła do swojej roli poważnie i oto teraz przed kominkiem leżały ciężkie albumy próbek tapet i obić. Zadanie nie było błahe, gdyż Rebeka miała ambicję urządzenia domu w sposób odpowiadający nowemu życiu właściciela. Wnętrza muszą być wygodne, uznała, a zarazem niebanalne, tak by wracając z pracy, Sam miał poczucie, że wkracza w nowy, intrygujący świat.

Usłyszała mroźny chrobot opon na podjeździe, potem warkot oddalającego się samochodu. Wpatrzona w ogień, pociągnęła łyk kawy. Zerknęła na albumy próbek, zbierając siły, żeby się za chwilę wziąć do pracy. Poddała się jednak lenistwu, usadowiła wygodnie na starej kanapie i patrzyła na falujące płomienie.

Obok, na stoliku do kawy, leżał tom Prousta. „Czas odnaleziony” – ostatnia część cyklu powieściowego „W poszukiwaniu straconego czasu”. Nie miała go w ręku od lat, znalazła dopiero niedawno, przeprowadzając się do Chicago. W college'u przerzuciła go tylko – poprzednie sześć tomów cyklu stanowiło takie wyzwanie, że nie starczyło jej sił na ten końcowy. Sięgając po zakończenie historii, którą dawno już zapomniała, czuła się trochę jak występna studentka. Czytała jednak z tym większym zainteresowaniem.

Francuszczyzna Prousta była niestety dosyć trudna. Rebeka brnęła przez nią, zaglądając raz po raz do grubego słownika francusko–angielskiego, który też stanowił zabytek z jej lat studenckich. Za zakładkę służył jej ostatni list Dusty, który rozwinęła teraz ponownie. Dusty donosiła w nim, że pracuje dorywczo jako reporterka i nauczycielka angielskiego, Cameron zaś przystąpił do pisania pracy doktorskiej. Co najważniejsze, Dusty jest w ciąży...



Tknięta jakimś nagłym impulsem, Rebeka podeszła z listem w ręce do telefonu i wykręciła numer do córki. Zerknąwszy na zegarek, uświadomiła sobie, że Dusty pewnie jeszcze nie wróciła z pracy. Mimo to poczekała na połączenie. W słuchawce odezwał się nagrany głos Camerona:

– Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość. Postaramy się jak najszybciej oddzwonić.

Czekając na sygnał, Rebeka zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć. Automatyczne sekretarki wprawiały ją zawsze w panikę. Spojrzała na list trzymany w dłoni.

– Cześć, dzieciaki! – odezwała się pogodnym głosem. – Dusty, dzwonię w sprawie twojej wizyty. Wybrałam już dla ciebie najlepsze połączenie. Odbiorę cię z lotniska, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie chcę, żebyś się tłukła taksówką.

Dusty miała po Bożym Narodzeniu przylecieć do Chicago, a Rebeka załatwiała jej rezerwacje. Zawahała się chwilę. W milczeniu na drugim końcu linii niemal czuła obecność córki.

– Niemądra jestem. Tak naprawdę, to chciałam usłyszeć twój głos, kochanie. I pogadać o dziecku. O świętach... Zadzwoń, tęsknię za tobą. I ucałuj ode mnie Camerona.

Odłożyła słuchawkę, zażenowana. Nigdy nie umiała się zdobyć na szczerłość i naturalność w telefonicznej rozmowie. W osobistym kontakcie na tak wielką odległość było coś sztucznego i niepokojącego. Damon zwykł żartować, że gdy przychodzi do rozmów międzymiastowych, jest zacofana jak jej pradziadowie z Nowej Anglii. Krzyczałyby do słuchawki, gdyby jej nie powściągał.

Wróciła z listem na kanapę. Popatrzyła na charakter pisma córki, który zaczął w ostatnich latach przypominać coraz bardziej jej własny. Do listu



dołączona była fotografia Dusty i Camerona przed gmachem wydziału chemii. Cameron wydawał się na zdjęciu jeszcze wyższy niż w rzeczywistości, Dusty wyglądała bardzo ładnie. Oczy promieniały jej blaskiem przyszłej matki.

Rebeka odłożyła list i wróciła do książki. Strona, którą czytała, zadrukowana była gęsto, bez akapitów. Westchnęła nad wymęczoną składnią Prousta, z nie kończącymi się zdaniami podrzędnymi. Trzeba było nie lada cierpliwości, żeby przebrnąć przez niektóre dłuższe okresy. Wieczorem, kiedy człowiek jest zmęczony, robiło się to wręcz niemożliwe.

Przypomniała sobie teraz, że poprzedniego wieczoru przed zaśnięciem zaznaczyła sobie stronę, do której chciała powrócić, gdy będzie miała świeży i trzeźwy umysł. W środku strony znajdowało się zdanie: „Trzeba mi będzie nie lada hartu, żeby ludzi, którzy przychodzą albo zapowiadają się z wizytą, odprawiać argumentem, że mam ważne i naglące spotkanie z sobą samym”.

Zdanie to uderzyło ją nie tylko dlatego, że miała niejasne wspomnienie entuzjastycznego młodego profesora, który je cytował, lecz także dlatego, że trafiło do niej teraz z całą siłą, tak jak nie trafiało, kiedy była młoda. Tak, myślała, przychodzi w życiu czas, kiedy obowiązki wobec innych muszą ustąpić pierwszeństwa obowiązkom wobec siebie. Zbyt często, chcąc się przystosować do świata, zapominamy o potrzebach własnej duszy i zachowujemy się tak, jakbyśmy wbijali kwadratowy kołek w okrągły otwór, zatracając się, aż nic nie pozostaje z naszego prawdziwego ja. Czy to właśnie miał na myśli Proust? Nie była pewna.

Starła się znaleźć odpowiedź, ta jednak pozostawała nieuchwytna. Zmęczył ją wysiłek, więc wyciągnęła się na kanapie, z książką na piersi. Z kominka promieniowało miłe ciepło, jakie roztacza ogień, kiedy bierwiona

żarzą się już tylko, niemal wypalone i zamienione w popiół, który wprawdzie trzyma się jeszcze w dawnych kształtach, lecz już za chwilę rozpadnie się i rozsypie w bezkształtną masę. Czekwała, by nie przegapić tego momentu, wreszcie zamknęła oczy, znużona patrzeniem i uśpiona przez ciepło.

Pokolenie temu, córki Sama fikały na tej kanapie koziołki, aż wytarły obicie i uszkodziły poręcz, tak że żona Sama musiała poddać kanapę gruntownej renowacji. Siadywał na niej także Sam, oglądając z Margery telewizję, czytając gazety i pisma. Po śmierci żony unikał siadania na kanapie, tak jak unikał łóżka, w którym wraz z nią sypiał.

Rebeka myślała o tym wszystkim i niemal czuła wirujące wokół niej tysiące godzin z życia rodziny Sama, przesłonięte kurtyną czasu, niemniej jednak realne, uchwytnie w sposób bardziej namacalny niż ulotne wspomnienie.

Wszystko się zmienia. Rozwiewają się rzeczy realne, pochłaniane przez upływ tygodni, miesiący, lat. Czy też może raczej wypływają w nieprawdopodobnych miejscach i nierozpoznawalnych kształtach, tak jak szczyty górskie jednego kontynentu obracają się w łożyska jezior innego.

Tak samo zmieniają się ludzie, myślała Rebeka. Z oczami pół zamkniętymi w ciepłe kominka ogrzewającego jej policzek, widziała siebie jako dziewczynkę uganiającą się po ulicach z Josey, szukającą psoty, wabiącą chłopców. Jakże inna była w owych dniach! Zwykle to ona była wówczas prowodyrem, wciągała Josey w zakazane przygody z zuchwalstwem, które miało zostać wkrótce wymazane z jej osobowości przez czas i sytuację.

A jednak życie zatoczyło koło. Czuła znowu dreszczyk przygody nie tak bardzo różnej od doznań owego dnia, kiedy poznała w parku stanowym

beziemnego chłopca i poszła z nim do lasu. Niemal czuła na ramionach ręce tamtego nieznanego chłopaka, słyszała pod sobą trzask suchego igliwia, kiedy się poprawiała, żeby mu ułatwić zadanie. Szukanie niebezpieczeństwa, balansowanie na krawędzi bez zważania na możliwość upadku – wszystko to tkwiło wciąż w niej głęboko, gdyż kuszenie, wyzywanie losu leży w naturze ludzkiej i nic nie jest w stanie go z niej wymazać.

Przypomniała sobie, co czuła, kiedy wróciła do domu i zastała matkę siedzącą samotnie przy stole kuchennym. Stała w drzwiach w poplamionych igliwem szortach i patrzyła na płaczącą Irene; słyszała jej słowa: „Ojciec odszedł, ojciec od nas odszedł”. Lekkomyślne dziecko o ciele zbrukany ziemią i pocałunkami, stojące w bezpiecznej odległości, z szeroko rozwartymi oczami, dziecko, które panicznie ucieka, przemienione w inną osobę, kiedy Irene wyciąga do niego oskarżycielsko dłoń ze zgniecionym listem. Dziecko to nigdy już nie powróciło, przez wszystkie te lata, w których Rebeka prowadziła swoją układną grę, oddawszy w niewolę serce, w zamian za ochronę przed niebezpieczeństwami i okrucieństwem świata.

„Mam oto spotkanie z samą sobą”.

Z trudem walczyła ze snem, który ogarniał ją wzbierającą falą. Otaczały i owijały ją majaki, krzykliwe, skłócone myśli. Prowadziły jakby ze sobą dyskurs. Jeden głos przekonywał, że żyła od początku rozumnie, przykładnie. Drugi robił jej niedwuznaczne wyrzuty. „Żyłaś źle, źle” – mówił.

Ten dragi głos oskarżał, że zaparła się dawno siebie, wybierając najpierw matkę, potem Damona, potem świat znajomych i codziennych obowiązków, wreszcie Dusty. Chwalebnym jest być kochającą matką,

przekonywał, ale czy słusznym jest zatracić duszę w poświęceniu dla innych? Nawet dla własnej córki?

Stawiała wszystkich nad siebie, jakby sama była niewarta siebie. Aż nagle, gdy było niemal za późno – czy może było już za późno? – zerwała więzy, złamała prawo.

Tak, to właśnie był jej pierwszy grzech. Grzech, którego nigdy nie wyznała. Którego nie zamierzała wyznać, bo był integralną częścią jej samej. Grzech zaparcia się własnego ja na rzecz świata, do którego chciała się dopasować.

A co z drugim grzechem? Grzechem, który wyznała sama przed sobą i za który została najsurowiej potępiona? Grzechem, który zerwał krępujące ją więzy i wtrącił do czyścca, skąd jedyną ucieczką zdawało się piekło, a który wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu przywrócił ją sobie?

Droga życiowa może prowadzić do pustki, która się wydaje rzeczywista i naturalna tylko dlatego, żeśmy przywykli do swojej klatki, myślała teraz. Aż pewnego dnia, jak obudzeni ze złego snu, zdajemy sobie sprawę, że to uwięzienie nas gubi – i rzucamy się do ucieczki. Świat ciska za nami gromy nagany i potępienia, lecz za najbliższym rogiem, tak dawno zapomniane, że zdaje się widmem, czeka na nas nasze dawne ja, niepewne, czy starczy nam odwagi, by się do niego przyznać.

Ten drugi grzech skazuje nas na wygnanie. Od niego, zbyt pochopnie wyznanego, zaczyna się wszystko.

Usłyszała szmer, który wzięła za osiadanie dogasających szczap. Nie zakłócił ogarniającego ją snu, sprowadził na jej wargi uśmiech. Dobrze było tak zasypiać, sen, który nadchodził, był słodki, oczyszczający.

Kiedy chwilę później uchyliła powiek, żeby spojrzeć jeszcze raz na ogień, kiedy zamiast żarzących się węgli zobaczyła pochylającego się nad

nią Toniego, myślała, że to dalszy ciąg jej majaków, część toczonego w myśli dyskursu. Toni stanowił w końcu jego kluczowy element. To on ją pchnął do ucieczki od własnej przeszłości, do zrobienia pierwszego kroku na drodze do odkrycia na nowo swego ja, które zagubiła. Ma wszelkie prawo, by się uważać za jej przewodnika, za jej wyzwoliciele, za tego, który wskazał jej światło.

Wyraz jego twarzy świadczył jednak, że to nie sen. Toni był zmieniony. Wyglądał blado, postarzał się. Mierzył ją nienawistnym wzrokiem. Nie zaskoczył jej widok pistoletu w jego dłoni.

Coś mówił, ale głosy ze snu zagłuszały jego słowa, czyniły je niezrozumiałymi.

– Sama do tego doprowadziłaś – powiedział w końcu i to zrozumiała.

Pistolet drżał mu w dłoni. Rebeka próbowała otrząsnąć się ze snu, chciała mu przemówić do rozsądku, lecz raptem pojęła, że jest za późno i że Toni ma w swym młodzieńczym gniewie rację. Sprowadził go tu jej drugi grzech.

Kiedy naciskał spust, uśmiechała się do niego jak matka. Wybaczająco, ze zrozumieniem.

## *Rozdział 34*

Na życzenie Dusty, pogrzeb odbył się w Lake Geneva. Dusty wiedziała, że Rebeka pokochała to miasteczko i pragnęła tu kiedyś osiaść. Prawdę mówiąc, nie było innego miejsca, z którym by pozostała związana.

Z Florydy przyleciała Irene. Opalona i wypoczęta, wyglądała nad podziw zdrowo mimo choroby, którą zdawała się pokonywać siłą woli. Na lotnisku w Chicago spotkał ją Damon, polecili razem do Madison, a stamtąd zawiózł ich do Lake Geneva Sam.

Dusty z Cameronem najpierw przylecieli do Chicago, a dalszą część drogi przebyli autem. Przez cały czas jazdy dźwięczały Dusty w uszach ostatnie słowa matki, zarejestrowane na automatycznej sekretarce w Nowym Jorku. Rebeka miała ją odebrać na lotnisku O'Hare, na którym Dusty dzisiaj wylądowała. Wylądowała nie po to, by się z nią spotkać, tylko po to, by uczestniczyć w jej pogrzebie. Zachowała głos Rebeki na taśmie, choć wiedziała, że pewnie się nie zdobędzie, by go kiedykolwiek ponownie wysłuchać.

Z rodziny Toniego nie zjawił się nikt. Pochowano go poprzedniego dnia w Nowym Jorku.

Ich ciała znaleziono razem. Toni przygarnął Rebeke do piersi, nim wsunął lufę we własne usta. Nie zostawił żadnego listu. Pozostała tylko ta scena – on i ona niczym para teatralnych kochanków na tle wygasłego kominka, para odkryta przez Sama i obfotografowana przez policję.

Dzień pogrzebu był chłodny i słoneczny. Rzadkie bure chmury sunęły leniwie na zachód, zapowiadając śnieg. Drzewa zdawały się zawstydzone

swą nagością w promieniach słońca, które błyskało niekiedy w pół zamarzonej kałuży, pozostałej po zeszłotygodniowej burzy śnieżnej.

Msza żałobna została odprawiona w miejscowym kościele katolickim. Z Samem przyjechała Christine, starsze córki pozostały z dziećmi w Madison. Sam i Christine zamierzali wracać zaraz po pogrzebie, Dusty z Cameronem planowali spędzić z nimi w Madison dzień czy dwa przed powrotem na Wschód. Damon i Irene lecieli jeszcze tego samego dnia do Chicago, a stamtąd jedno do Nowego Jorku, drugie do Sarasoty.

Wszyscy ściskali sobie dłonie, nie wszyscy czuli się jednak ze sobą swobodnie. Damon, widocznie pochłonięty swoimi myślami, zamienił z Samem jedynie parę słów. Dusty trzymała się z Cameronem, Sam z Christine. Irene wisiała cały czas u ramienia Damona.

Ksiądz z Lake Geneva nie znał Rebeki, ale Dusty i Sam poinstruowali go, co mówić. Nie obyło się bez kłopotliwych momentów, bo musieli opowiedzieć co nieco o jej życiu i o przyczynie jej śmierci. Ksiądz zdawał się wiedzieć więcej, niż przyznawał; w jego zachowaniu czuło się dezaprobatę.

Cmentarz, na którym chowano Rebeke, rozciągał się malowniczo na wzgórzu za miasteczkiem. W oddali, jak błękitny klejnot, połyskiwało za nagrobkami jezioro. Nie leżał tu nikt z żadnej z dwu rodzin, grób był przeznaczony dla samej Rebeki.

Kondukt kilku aut sunął wolno pod górę, pod kołami chrzęścił zbity śnieg. Kiedy wszyscy, drżąc z zimna na lodowatym wietrze, otoczyli świeżo wykopany grób, przemknęła Dusty przez głowę absurdalna myśl, że grabarze powinni się pospieszyć z przysypaniem trumny, bo Rebecce będzie cieplej pod ziemią.

Po zwykłych egzekwiach ksiądz dorzucił kilka słów od siebie.



– Dobry i miłosierny Boże, przekazując Ci świętej pamięci Rebeke, prosimy Cię zarazem o wybaczenie i o błogosławieństwo dla niej. Prosimy Cię o wybaczenie jej grzechów i o błogosławieństwo dla jej odwagi. Bo jakkolwiek błędziła, umiała to przyznać. Miała odwagę przyznać się do swoich win przed sobą i przed Tobą. Sądząc ją, miej na względzie jej skruchę i bądź dla niej miłosierny, przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Amen.

Spuszczono trumnę, członkowie rodziny rzucili po grudce ziemi i wszyscy zaczęli się powoli oddalać. Jedna Irene płakała otwarcie. Damon stał przez chwilę przy Samie, spoglądając w otwarty dół. Potem odprowadził Irene na bok.

Przy grobie zostali Sam z Dusty i Cameronem. Stali tak, milcząc, przez kilka minut. Wiedzeni jedną myślą, obaj mężczyźni ujęli dłonie Dusty.

Pierwszy puścił jej dłoń Sam. Przeżegnał się i skierował kroki ku samochodom. Dusty poczuła ukłucie bólu, jakby prócz matki traciła właśnie kogoś bliskiego. Zdążyła w ostatnich miesiącach pokochać Sama niemal jak ojca. Teraz ta bliskość stawała się nierzeczywista. Osobą, która ich łączyła, była Rebeka, a odkąd jej zabrakło, nie było już między nimi realnej więzi. Kto wie, może nie zobaczy Sama nigdy więcej. Na tę myśl utrata Rebeki wydała się Dusty tym straszliwsza, tym bardziej ostateczna.

Popatrzyła na grób. W policzek ukłął ją płatek śniegu, przyniesiony z odległej chmury czy zaspą. Sprowadził pierwsze łzy. Światło dnia zrobiło się jaskrawsze niż przed chwilą. Był to ten rodzaj dnia, w którym mróz niesie na odległość echo dziecięcych głosów. Jezioro, chociaż na pół zamrożone, połyskiwało wśród ośnieżonych wzgórz.

– Mamuś...



Dusty schyliła się, żeby dotknąć już marznącej ziemi. Moment słabości czy wahania pozbawił ją równowagi i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał Cameron.

– Uważaj!

„Jesteś wszystkim, co mam... ”.

Pomógł jej się podnieść. Ścisnęła jego rękę, żeby wiedział, że nie może jej puszczać.

Jej ból rozpląwał się powoli w zrozumieniu przypadkowości cielesnego bytowania. Jakże wszystko jest nietrwałe! Jakże nieprawdopodobne! Jak bardzo zależne od przypadku! Nawet jej miłość, nawet Cameron pojawił się w jej życiu na skutek błędzenia Rebeki. Cameron, którego dziecko dojrzewa w jej łonie.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Tak.

Opierała się teraz o niego. Choć nie ruszyli się z miejsca, grób zdawał się odpływać, jakby coś odciągało ich już od Rebeki ku nowemu życiu.

Wszystko przychodzi z daleka, myślała, czując obejmujące jej kibić ramię Camerona. Przychodzi nie widziane, by wysunąć nam się ostatecznie z dłoni. Sięgamy na oślep, by to zatrzymać, i odnajdujemy tylko siebie. W końcu jednak los się nad nami lituje, koło fortuny obraca się jeszcze raz i stwierdzamy, że już nie jesteśmy sami.

Uśmiech szczęścia czy tylko złudzenie?

Pytanie to wisiało niepewnie na jej wargach, gdy rzucała pożegnalne spojrzenie ku matce.

Potem odwróciła się od grobu i, wspierana ramieniem męża, ruszyła w stronę czekającego samochodu.